PO ZASKAKUJĄCEJ DECYZJI BISKUPA

Sprawa księdza Lemańskiego – mocny tekst Semki

TYGODNIK LISICKIEGO

116 stron

DO RZECZY

NR 30/282 23–29 LIPCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Śledztwo „Do Rzeczy": Jak zarabia mafia śmieciowa

DODATEK SPECJALNY
POLSKIMI KOLEJAMI DO 100-LECIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Uwaga na wycofane leki na nadciśnienie!

tvn jedyna skuteczna opozycja

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

30 >

9 772299 850000

Nakład: 89 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 59fff9dc19

TORNISTER pełen UŚMIECHÓW

Spakuj tornister razem z nami

www.tornister.caritas.pl

SMS

wyślij sms:
TORNISTER
na nr **72052**
(koszt: 2,46 z VAT)

Akcję wspierają:

plus, orange, T-mobile, Play, Digital Virgo

Partner strategiczny: LIDL

Patroni medialni: TVP, Polskie Radio, wiara.pl, Gość Niedzielny, niedziela, DEON.PL

caritas

eprasa.pl 59fff9dc19

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Koniec świata i woda w jeziorze

To, że od ponad dwóch lat polityka (nie wiem, czy to słowo jest właściwe) prowadzona przez większą część opozycji i jej medialnych sprzymierzeńców przypomina tragifarsę, nie jest stwierdzeniem odkrywczym. Jednak zaskakuje mnie to, że niemal każdy dzień ową ocenę potwierdza.

Kiedy już wydawało mi się, że zdolności kabaretowe antypisu zostały wyczerpane w grudniu 2016 r. – słynna szopka w Sejmie, wcinanie pasztetów w Wigilię, niewydarzone śpiewy na pustej sali sejmowej, podróż Ryszarda Petru i Joanny Schmidt do Portugalii w czasie trwającego rzekomo zamachu stanu – początek lipca 2018 r. pokazał, że się myliłem. Może być jeszcze śmieszniej i straszniej. Najpierw prawdziwym heroizmem wykazała się pierwsza prezes Sądu Najwyższego, prof. Małgorzata Gersdorf, która od 4 lipca bohatersko udała się na urlop po to tylko, by 17 lipca go przerwać i nie mniej bohatersko wrócić do Warszawy. Oto jej komentarz po powrocie: „Bardzo wypoczęłam, pływałam w jeziorach". Do budynku Sądu Najwyższego przyszła, bo „sytuacja zrobiła się dramatyczna".

Faktycznie, aż łza się w oku kręci, kiedy słyszy się te wyznania. Z jednej strony woda w jeziorach pluszcze przyjemnie, z drugiej groza zamachu stanu kły szczerzy (o ile groza może kły szczerzyć). Stąd męki i rozterki prof. Gersdorf. Zamiast wystąpić w roli uciśnionej, prześladowanej przez PiS-owskich siepaczy ofiary dyktatury i skrzywdzonej obrończyni praw, profesor opowiada o urokach i przyjemnościach pływania po jeziorach. Nic dziwnego, że zdumiona publiczność nie wie w związku z tym, czy bardziej się śmiać czy płakać. No bo jeśli ojczyzna w potrzebie, zło szaleje, świat upada, to potrzebne są ofiara, cierpienie i bezkompromisowość. Jeśli jednak to wszystko tylko maskarada?

Opozycja potrzebuje za wszelką cenę dowodów zbrodni i prześladowań, a tu nic i nic. Co bardziej pomysłowi obrońcy demokracji wpadli więc na inny pomysł: w dniu, kiedy to z pływania po jeziorach, pełna sił witalnych i intelektualnych do stolicy zawitała prof. Gersdorf, wprowadzili na teren Sejmu kilku krzykaczy, na czele z liderem obywateli RP Pawłem Kasprzakiem. Jedna dzielna reprezentantka ludu wwiozła protestujących w bagażniku. Wcześniej ci sami obrońcy wolnego słowa zrugali i sponiewierali marszałka seniora Kornela Morawieckiego, wołając: „Precz z komuną!", „Zdrajca" czy „Będziesz siedział". To akurat śmieszne nie jest. Ciekawe zresztą, że szantaż, groźby i zapowiedź zemsty to coraz częstszy element wypowiedzi już nie tylko ulicznych aktywistów, lecz także polityków. Ostatnio wszystkich przebił na tym polu Włodzimierz Czarzasty, zapowiadając, że po swoim ewentualnym zwycięstwie w wyborach w 2019 r. opozycja przeprowadzi akcję odwetową na masową skalę.

Naprawdę trudno patrzeć na te wygibasy z dystansem. To ma być walka o demokrację? To mają być te ofiary i szacunek dla praworządności? To ma być przejaw troski obywatelskiej? Być może wprowadzając reformę sądów, PiS używa kruczków prawnych. Jednak co mam powiedzieć o drugiej stronie? Widać tam połączenie hucpiarstwa, bezczelności i tanich chwytów propagandowych. Właśnie tragifarsę. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 59fff9dc19

TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI
TELEWIZJA NA FRONCIE
Wizja świata według TVN

KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA
JUŻ POLITYK, NIE BANKIER
Hartowanie premiera

28 ROZMOWA Z PIOTREM GLIŃSKIM
KOMU ZALEŻY, BY POLSKA POSZŁA NA DNO

32 PIOTR SEMKA
KS. LEMAŃSKI – BEZ SUSPENSY I BEZ POKORY

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KULMINACJA KRYZYSÓW

36 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
ZABAWA W SEPARATYZM

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI
GANGSTERZY NA ŚMIETNIKU

41 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MARTA OD PROTESTOWANIA

KULTURA

44 ROZMOWA Z JANUSZEM MAJEWSKIM
LUDZIE LEJĄ ŁZY (Z RÓŻNYCH POWODÓW)
Wojna naznaczyła mnie na całe życie

48 KATARZYNA KOSTRZEWSKA
ARTYSTA JEDNEJ WYSTAWY

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

72 JAN PARYS
TRUMP, ROSJA I EUROPA
Po szczycie w Helsinkach

76 TOMASZ KWAŚNICKI
SŁOŃ W SALONIE

HISTORIA

80 BARTŁOMIEJ DŹWIGAŁA
KSIĄŻĘ GOTFRYD ANTYSEMITĄ?
Prawda o katolickiej Europie

83 GABRIEL MICHALIK
SCENA ALBO ŚMIERĆ

ŚWIAT

88 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
GEOPOLITYCZNE STARCIE PRAWOSŁAWNYCH
Walka o Ukrainę

92 PIOTR KOŚCIŃSKI
PARTNERSTWO Z PROBLEMAMI

EKONOMIA

96 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM
POWOŁAM RADĘ PRZEDSIĘBIORCÓW
Urzędnicy nie będą bezkarni

100 JACEK PRZYBYLSKI
GRUPA TRZYMAJĄCA PIŁKĘ

LATO „DO RZECZY"

104 JOANNA BOJAŃCZYK
NAD NIEMNEM
Litewskie uzdrowisko

O ZDROWIU

106 KATARZYNA PINKOSZ
WYCOFANE LEKI
Leczenie nadciśnienia

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (12), WARZECHA (13), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (79), ZYCHOWICZ, KOPER (86), KOWALCZUK (95), GABRYEL, RYBIŃSKI (99), KOMUDA (108), TYRMAND (112), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)

eprasa.pl 59fff9dc19

ROAMER
OF SWITZERLAND

SWISS MATIC AUTOMATIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl 59fff9dc19

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w listach różnorodność – Państwa głosy wokół trzech tematów poruszanych na łamach ostatnich wydań „Do Rzeczy". Z uwagą czytamy każdy list, zapraszamy zatem do ich nadsyłania. W formie elektronicznej na adres listy@dorzeczy.pl.

„Prawda nas wyzwoli" („DRz" 29/2018)

Szanowni Państwo,
z zainteresowaniem przeczytałam artykuł Marka Jana Chodakiewicza „Prawda nas wyzwoli" z ostatniego numeru „Do Rzeczy". Autor przytacza przykład centrum handlowego w Hamburgu, które powstało na miejscu żydowskiego cmentarza. Centrum powstało mimo protestów środowisk żydowskich, a jedynym „zadośćuczynieniem" było zawieszenie na budynku tablicy informującej o historii tego miejsca.

Chciałabym zwrócić uwagę, że z podobnym zdarzeniem mieliśmy do czynienia w Polsce. W Lublinie przy ul. Lipowej od kilkunastu lat działa centrum handlowe Lublin Plaza. Powstało w miejscu, gdzie w czasie wojny istniała filia obozu koncentracyjnego na Majdanku. W obozie tym straciło życie kilkuset więźniów. W czasie budowy Plazy nie było protestów środowisk żydowskich, być może dlatego, że sam właściciel centrum jest Żydem. Na budynku zawisła, podobnie jak w Hamburgu, tablica informacyjna. Stało się to jednak dopiero po roku od otwarcia centrum. I nie była to inicjatywa środowisk żydowskich. Wprost przeciwnie, dopiero na skutek nacisków Andrzeja Przewoźnika z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ta tablica zawisła. Notabene właściciel Plazy nie chciał się zgodzić na zamieszczenie na niej informacji, że w tym miejscu ginęli Żydzi...

Serdecznie pozdrawiam
Anna Witowska

„Hucpa wobec Polski" („DRz" 28/2018)

Szanowna Redakcjo,
z zainteresowaniem przeczytałem artykuł prof. Romualda Kmiecika pod powyższym tytułem. W pełni popieram propozycję wydania przewodnika w języku angielskim pt. „Co każdy Amerykanin powinien wiedzieć o Polsce i jej historii".

Od 30 lat zajmuję się rynkiem amerykańskim i potwierdzam powszechny w Stanach brak wiedzy na temat naszego kraju. Myślę, że gdyby do tego doszło, Amerykańska Izba Handlowa w Polsce AMCHAM mogłaby być zainteresowana tym wydawnictwem.

Z poważaniem
Tadeusz Szostak

„Czas czarnych ptaków" („DRz" 27/2018)

Szanowna redakcjo!
Z nieco mieszanymi uczuciami czytałem artykuł Łukasza Zboralskiego „Czas czarnych ptaków", ponieważ moje obserwacje – odnoszące się co prawda do innych miejscowości – są nieco odmienne, a brak zdjęć nie pozwala na rozwianie wątpliwości.

Warszawę pamiętam z czasów bardzo dawnych i jedyne ptaki, które mi się z nią kojarzą, to gołębie. Dość często bywam w Białymstoku i tu natykam się stale na gołębie i krzyżówki, widywałem też kawki.

Będąc redaktorem „Gazety Hajnowskiej", napisałem artykuł o krukowatych, a powodem jego napisania były usłyszane przeze mnie określenia „kruki", „wrony" – tak dorośli spacerujący z dziećmi nazywali spotykane ptaki. W Hajnówce stale przebywają dwa gatunki krukowatych: kawki i gawrony, ale ich obecność w parku nie przeszkadza pojawiającym się tam wiosną ziębom i kwiczołom.

Wrony pamiętam z czasów bardzo odległych, kiedy zdarzało mi się uczestniczyć w pracach polowych nieopodal Hajnówki, od tamtej pory obecności wron nie kojarzę. Sporadycznie widuję przelatujące kruki – mieszkam na peryferiach Hajnówki, nieopodal lasu – ale ich obecności w mieście nie zauważyłem.

Wróble w Hajnówce miewają się doskonale, jest też dużo kopciuszków.

Pozdrawiam
Tadeusz Topolski

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Tomek Słupski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **K. PIKLIKIEWICZ (2), T. URBANEK/DDTVN/EAST NEWS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA
PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 89 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ **Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/**

eprasa.pl 59fff9dc19

SPONSOR TYTULARNY

Enea

PARTNER STRATEGICZNY

GDYNIA sport

SPONSOR OFICJALNY

GIANT

SPONSORZY

citi handlowy

saucony

PowerBar

PARTNERZY

sailfish

SHIMANO SERVICE CENTER

VGL GROUP

CISOWIANKA

ATENDE SOFTWARE fabryka innowacji

Red Bull

WIŚNIOWSKI

LECH FREE

Mercedes-Benz BMG Goworowski

TIDAL

eprasa.pl 59fn9dc19

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jak żyć z hektycznym Trumpem?

Wyprawa prezydenta USA do Europy, delikatnie mówiąc, nie była udana. W zeszłym tygodniu pisałem o wypowiedziach przybysza zza oceanu na szczycie NATO, które mogły nas cieszyć. Ale w miarę trwania wojażu po Europie było coraz gorzej. Ostre opinie – raz deklarujące siłę i jedność NATO, drugi raz akcentujące konflikt z Europą – tworzyły chaos informacyjny. Do tego doszły nietakty wobec Theresy May i grubiańskie zachowanie w obecności królowej Elżbiety. I wreszcie spotkanie Trumpa z Władimirem Putinem, po którym prezydent USA niczym zmieszany uczniak musiał głosić, że został źle zrozumiany. Jakby tego wszystkiego było mało, Trump obraził Czarnogórę, małego, ale jednak członka NATO.

Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy parę rzeczy, które mogliśmy podejrzewać, ale bardzo chcieliśmy, aby to nie była prawda. Że Trump jest w gruncie rzeczy politykiem o mentalności biznesmena. Że problemy w jego opinii zawsze da się obejść, znajdując formułę korzystną dla obu stron. Tyle że takie myślenie nie nadaje się do relacji z Rosją, gdzie żądza dominacji jest zwykle silniejsza od chęci zysku.

Upewniliśmy się też, że dla Trumpa priorytetem jest rywalizacja z Chinami i bezpieczeństwo Izraela. I że wyznaje pogląd, że skoro USA są jedynym supermocarstwem na świecie, to musi więcej z tego korzystać.

Pytanie: Co z tą wiedzą dalej zrobić? Odwrócić się od Trumpa? Nagle i za wszelką cenę szukać porozumienia z Berlinem? Nagle zacząć wierzyć, że obroni nas Europejska Inicjatywa Obronna gromko reklamowana przez Emmanuela Macrona? Zakładać, że zrobi to Bundeswehra, która nie może doliczyć się, ile jej śmigłowców działa?

Polska prawica nie dlatego szuka porozumienia z Trumpem, że jest ideałem. Po prostu Niemcy nawet pod przywództwem mającej wiele zalet Angeli Merkel faktycznie nie akceptują PiS u władzy, ciągle czekając, kiedy do władzy powróci Platforma. A Trump – mimo wszystkich wad – jest prezydentem kraju, w którym Kongres i elity republikanów, ale i części demokratów, są wyczulone na obronę integralności Ukrainy i bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO. Kiksy Trumpa uruchomiły triumfalne głosy w obozie totalnej opozycji i w obozie realizmu politycznego: „Macie swojego Trumpa! Dalej wierzycie, że nas obroni?”.

Nie wiem, co zrobi Trump. Wiem, że do Ameryki wciąż nam najbliżej pod względem rozumienia wagi stawiania oporu przeciwnikom, a nie ich obłaskawiania. To się może w Ameryce zmienić, ale tym bardziej pracujmy, by się tak nie stało, przy okazji wzmacniając swoje siły obronne.

Trump nie jest ideałem. Ma w swym charakterze bardzo wiele niepokojących cech. Ale zadajcie sobie pytanie: Czy inni mają aż tyle zalet, by przebiły one wady egotyka z Nowego Jorku? ©℗

FOT. MICHAEL STEELE/GETTY IMAGES

WIMBLEDON DLA MŁODEJ POLKI

17-letnia Iga Świątek wygrała juniorski Wimbledon, pokonując w finale zawodniczkę ze Szwajcarii. To największy sukces w karierze młodej tenisistki z Polski, choć blisko triumfu była już też podczas ostatnich zawodów French Open (odpadła w półfinale). Zwycięstwo w juniorskim turnieju często jest zapowiedzią dobrego wkroczenia w świat seniorskiego tenisa. Wimbledon dla juniorek wygrywały wcześniej takie późniejsze sławy, jak m.in.: Justine Henin, Caroline Wozniacki czy Wiktoria Azarenka. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Syndrom odstawienia, czyli już za cztery lata

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Potworny ten syndrom odstawienia. Syndrom odstawienia mistrzostw świata. Człowiek niby wiedział, że muszą się skończyć, ale jak się skończyły, to jednak ciężka depresja, drżenie powiek, bezcelowe chodzenie między lodówką a telewizorem. I te rozpaczliwe próby przeskakiwania po kanałach, że może gdzieś chociaż jeden meczyk się ukrył i będzie można z 90 minut zażyć, ale nie, nie ma. Skończyło się. Nadziejo, żegnaj. Trzeba do pustki podejść po męsku. Na drążące pytanie: „Jak żyć?" wewnętrzny figlarz odpowiada „Weź kredyt, kup jeszcze większy telewizor", ale przecież Polska wie, jak prekursor figlarza skończył, więc zrobię po prostu kawę. I przebiegnę po synapsach, jak ja ten piękny mundial 2018 zapamiętam.

Zapamiętam tysiącem zdjęć. Na przykład to jedno, podsumowujące: urywa się niebo po finale Francja – Chorwacja, woda leci na wszystkich, na łeb na szyję, wiadrami, a parasol tylko nad Putinem. Metafora z epopei. Cały zakłamany świat w strzale migawki. Wybaczą ci wszystko oprócz słabości. Reguły obowiązujące między innymi w sporcie. Jeśli tyran się przewróci – to rozerwą go na strzępy i oplują, ale w szczycie potęgi poklepuje się go po plecach, gratuluje mu i robi z nim zdjęcia oraz interesy. Putin jest taki fajny, a mundial wszyscy chwalą. Brawo!

Zapamiętam te mistrzostwa tysiącem urzeczeń. Na przykład to. Jeden z najlepszych piłkarzy Francji N'Golo Kante to prywatnie niezwykle skromny człowiek. Tak skromny, że po zwycięstwie z Chorwacją wstydził się wziąć złoty puchar od kolegów, bo przecież inni brali. Zauważył to Steven Nzonzi, podszedł z pucharem do Kante, żeby ten uroczy chłopak z pięknym uśmiechem mógł pozować z najcenniejszym trofeum piłkarskiego świata. To nie wszystko, na jego cześć Paul Pogba ułożył piosenkę na melodię znaną każdemu „Les Champs-Elysées" ze słowami: „Jest mały, jest miły, zatrzymał Messiego, ale i tak wszyscy wiedzą, że N'Golo Kante to kanciarz". Ponoć ten przemiły chłopak oszukuje kumpli w karty… Życie po prostu.

Zapamiętam Lukę Modricia nie tylko dlatego, że to Chorwacja powinna wygrać, a nie Francja. W ogóle zapamiętam Chorwację, bo cholernie chcę zapomnieć tych naszych i ich spacery po boisku. Nawet pracuję nad wmówieniem samemu sobie, że nasi się niestety na mundial w Rosji nie dostali, jak np. Włosi, wtedy mniej mnie boli.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wróćmy do Modricia. Na trzy miesiące przed mistrzostwami świata w Rosji prokuratura oskarżyła piłkarza Realu Madryt o składanie fałszywych zeznań w procesie przeciw Zdravko Mamiciowi, byłemu szefowi Dinamo Zagrzeb. W skrócie chodzi oczywiście o to, żeby przy transferach piłkarzy jak najmniej pieniędzy trafiało do fiskusa. Mamić został skazany na więzienie, ale zwiał z Chorwacji. Modrić mógł go pogrążyć, ale w zeznaniach był lojalny. Sam o sobie mówi, że ma czyste sumienie. Dlaczego o tym piszę? Bo chociaż Modriciowi grozi więzienie, naród już mu wybaczył. Nie sądzi się zwycięzców…

Niewiarygodne, jak wielkie emocje w całej Polsce wzbudził fragment tekstu o mundialu opublikowany w poprzednim numerze „Do Rzeczy". Zupełnie przypadkowo, akurat ja byłem autorem. Przypomnę, chodziło o ten fragment, w którym przekornie chwalę wybór na trenera reprezentacji Brzęczka, bo jak mu w kilku poprzednich pracach trenerskich nie wyszło, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że wyjdzie mu teraz. Matematycy i umysły przyciśnięte zareagowały na taką tezę szczerym oburzeniem, że przecież prawdopodobieństwo jest cały czas 50 proc. I weź teraz tłumacz matematykom, czym jest „paradoks hazardzisty", ironia czy subiektywne postrzeganie rzeczywistości przez publicystę. Ech. Kończąc mój mundialowy cyklik, nadziei nie gaszę, a z rachunku prawdopodobieństwa dla mnie osobiście wynika, że już za cztery lata, już za cztery lata, Polska będzie mistrzem… ©℗

Autor był redaktorem naczelnym „Super Expressu", obecnie jest prezesem firmy R4S.

20/2018
epl.pl 59fff9dc19

FOT. PIOTR KORCZAK/REPORTER

eprasa.pl 59fff9dc19

ZAŁAMANIE POGODY NAD POLSKĄ

Tysiące połamanych drzew, setki zalanych lub podtopionych domów, dziesiątki uszkodzonych przez pioruny budynków, zerwane przez wzburzone rzeki drogi i całe wsie odcięte od świata. To wynik gwałtownych ulew, burz i wichur, które w zeszłym tygodniu przeszły nad Polską.

W pobliżu podhalańskiej wsi Małe Ciche (na zdjęciu) woda porwała część drogi i zniszczyła jeden z przyczółków mostu. Z podobnymi problemami zmagali się też mieszkańcy kilku innych wsi w województwie małopolskim.

W kilku miejscach Polski przeszły też trąby powietrzne. W województwie kujawsko-pomorskim padał zaś grad wielkości kurzych jaj.

Jak poinformował rzecznik prasowy Państwowej Straży Pożarnej, tylko w czwartek strażacy byli wzywani do ponad 1,5 tys. interwencji. W akcjach udział brało ponad 6,5 tys. strażaków i 1,5 tys. pojazdów.

Na szczęście w tym tygodniu pogoda w przeważającej części kraju ma się znacząco poprawić. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl:59ffi9dc19

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Unia wiecznie żywa

Ciekaw jestem, czy przez ponad tydzień, który od tego czasu minął, Rafał Trzaskowski zrozumiał, jaki błąd popełnił we wpisie na swoim Facebooku, którym chciał uczcić pamięć prof. Geremka. Wpis wypadałoby zacytować w całości, na co brak tutaj miejsca, bo żaden krótki fragment nie odda jego urody, ale sądzę, że czytelnicy znają go już, a jeśli nie, to łatwo znajdą. Bo opowieść Trzaskowskiego o tym, jak u profesora zdawał celująco w języku francuskim, przed 10 laty opanowanym jeszcze nie tak dobrze jak dziś, cywilizację europejską, zakończony wyjaśnieniem, dlaczego warto było czytać Morina, autentycznie „wygrał internety". Wykpiony, ośmieszony i parodiowany bezlitośnie nie tylko przez PiS-owców, lecz także przez lewicowe Miasto Jest Nasze i nawet przez należące do Tomasza Lisa portale NaTemat.pl i ASZdziennik.pl.

Trzaskowski ma w sobie wiele ze Smerfa Lalusia. Jednak jego narcyzm nie jest osobisty, jest narcyzmem całego środowiska

Skojarzono ten wpis z wpadką Trzaskowskiego u Moniki Olejnik, gdzie strofowany był za podziwianie w czasie rozmowy swego odbicia w monitorze i, generalnie, uznano to za przejaw narcyzmu kandydata. Moim zdaniem to zły trop. Owszem, Trzaskowski ma w sobie wiele ze Smerfa Lalusia, ale przecież jego wpis doskonale rymuje się z wieloma innymi publicznymi wypowiedziami przedstawicieli salonu III RP. Ot, choćby z tymi słowami Marcina Króla, że PiS-owcy nie będą nigdy prawdziwymi Europejczykami, bo na to trzeba poznać smak toskańskiego wina i bretońskich ostryg. Albo z cytowanym tu niedawno wywodem Jana Hartmana, że z chama nie da się zrobić inteligenta nawet w trzecim pokoleniu.

Narcyzm okazany przez Rafała Trzaskowskiego nie jest jego, by tak rzec, narcyzmem osobniczym – jest narcyzmem całego środowiska, które po prostu jest we własnym przekonaniu, jak to określają Anglicy, „entitled", z zasady lepsze i predestynowane do rządzenia. Środowiska, które samo określa się jako „światłe elity", względnie „ludzie przyzwoici i na pewnym poziomie".

Myślę, że śp. Bronisław Geremek wcale by Trzaskowskiego nie wyśmiał. Przeciwnie – ucieszyłby go ten wpis, jako dowód, że Unia Demokratyczna wciąż żyje. Bo Unia Demokratyczna to nie partia, nie program polityczny, nawet nie salon czy konstelacja towarzyska – to stan umysłu. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Urzędowa amnezja

Nie ma bardziej dotkliwego obnażenia nieudolności państwa polskiego niż to, które wypływa z zeznań świadków występujących przed komisją śledczą ds. Amber Gold. Czas tylko się zastanowić, czy funkcjonujące pod egidą Donalda Tuska służby specjalne, skarbowe i prokuratura rzeczywiście tworzyły wyłącznie „państwo z dykty" czy przeciwnie – w części były zorganizowaną grupą przestępczą.

W ubiegłym tygodniu przed komisją zeznawał były wiceminister finansów Andrzej Parafianowicz, odpowiedzialny za nadzór nad urzędami kontroli skarbowej. Zaprezentował kompromitujący show. Pytany o brak działań gdańskiego UKS wobec spółki Amber Gold mówił, że nie wie, nie potrafi odpowiedzieć i w ogóle się nie poczuwa. Tyle że rzeczywistość skrzeczy.

Urzędniczką UKS, jak wynika z zeznań pracowników tej instytucji, odpowiedzialną za nieprawidłowości w działaniach skarbówki wobec Amber Gold, była Małgorzata Bogumił. Zaufana Parafianowicza – bo to o niej mówił „Gośka" w rozmowie ze Sławomirem Nowakiem, gdy zapewniał, że postara się pomóc żonie ówczesnego ministra, której firmę kontrolowała skarbówka. Tejże Bogumił bronił w 2009 r., gdy członkowie Komisji Sprawiedliwości pytali o bezzasadne, nadgorliwe działania UKS w głośnej wówczas sprawie zniszczenia przez prokuraturę i skarbówkę firmy Bestcom. Trudno uwierzyć, by nie informowała go, nie konsultowała z nim działań w dużo poważniejszej aferze Amber Gold.

Nic nie pamiętać, do niczego się nie przyznawać. To pierwsza zasada, którą słyszą od swoich adwokatów oskarżeni. W sprawie Amber Gold wydaje się, że oskarżenia czas już zacząć formułować. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gorzkie zwycięstwo

Mogę mieć osobistą satysfakcję: po wielu miesiącach ostrego sporu, walki, przekonywania – wreszcie partia rządząca zadeklarowała, że wycofuje się nie tylko z pomysłu zakazu hodowli zwierząt futerkowych, lecz także z zakazu uboju rytualnego. Wciąż pozostaje w projekcie nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt wiele głupich, złych i szkodliwych przepisów, głównie dotyczących uprawnień organizacji prozwierzęcych, ale to i tak zwycięstwo. Pracowało na nie wiele osób rozsądnych, przeciwnych coraz wyraźniejszym w PiS lewackim tendencjom, które objawiły się m.in. w tym przypadku.

Nikt nie odda przedsiębiorcom straconych miesięcy ani nerwów

Nie mam jednak złudzeń: projekt, firmowany przez cynicznych ekolobbystów i nawiedzonych ekooszołomów, nie upada dlatego, że Naczelnik zrozumiał, że się myli. Upada, bo gdyby przeszedł, PiS wszedłby w otwarty konflikt i z polską wsią, i ze środowiskiem o. Rydzyka, który zakazowi był szczęśliwie od początku przeciwny. To zmiana kursu nie z rozsądku i namysłu, nie z powodu zrozumienia własnego błędu, ale z politycznego przedwyborczego musu.

Mimo to jest to zwycięstwo, choć jednak gorzkie zwycięstwo. Trzeba sobie bowiem zadać pytanie, jak to w ogóle możliwe, że projekt tak zły, tak szkodliwy – ba, wyglądający wręcz na sabotaż kwitnącej gałęzi polskiego rolnictwa, z niemieckimi firmami utylizacyjnymi w tle – w ogóle się pojawił w partii, która frazesów o patriotyzmie gospodarczym ma pełne usta. W promowanie tego projektu byli zaangażowani również europosłowie PiS, w tym profesorowie Legutko i Krasnodębski (ciekawe, co teraz mają w tej sprawie do powiedzenia). Nikt nie odda przedsiębiorcom straconych miesięcy ani nerwów, gdy w perspektywie mieli zagładę firm, na które pracowali latami. Jednak to nie tylko szkody moralne, bo przedsiębiorcy prowadzący hodowle z powodu projektu zakazu stracili dostęp do kredytów (oby go teraz odzyskali), a w niektórych przypadkach banki zaczęły się domagać szybkich spłat lub odmawiały prolongaty zobowiązań. To są konkretne szkody, można mieć tylko nadzieję, że do odrobienia.

Minister rolnictwa zapowiada teraz ostrzejszy reżim kontrolny ferm futrzarskich – i dobrze. Z tym żaden solidny przedsiębiorca nie ma problemu. Fermy i tak były już najpilniej kontrolowaną gałęzią rolnictwa.

I tylko jedno pytanie wciąż powraca: Po co to, u licha, w ogóle było? ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Polityczne graffiti

Obiecuję, ostatni raz o piłce, ale nie mogłem się powstrzymać. „Mistrzem Świata została najbardziej wielokulturowa drużyna! #Imigranci ciężko pracują na sukces kraju, jeśli ten kraj jest na tyle mądry, by dać im szansę i wykorzystać ich potencjał. #ViveLeFrance" – napisał Marcin Antosiewicz, były niemiecki korespondent TVP. Pech chciał, że wysyłał tweeta w momencie, gdy na ulicach Paryża rozpoczynały się zamieszki, plądrowanie sklepów i wybijanie szyb w samochodach.

Podobne rozminięcie z rzeczywistością zaliczył również Jean-Claude Juncker. „Szef Komisji Europejskiej tłumaczy niedyspozycję na szczycie NATO skurczem w nodze. Wcześniej KE twierdziła, że to rwa kulszowa. Jaka wersja będzie w przyszłym tygodniu?" – zastanawiał się Michał Szułdrzyński. „Najgorsze skurcze to są, jak białą mieszasz z winem i poprawiasz browarem. Mocne skurcze nogi też są, jak walniesz na czczo na słońcu" – tłumaczył Junckera Michał Majewski.

Trudno będzie jednak wybronić posłanki z koła Ryszarda Petru, które w bagażniku auta wwiozły na teren Sejmu protestujących, kibicując równocześnie innemu demokracie, robiącemu graffiti na ścianie. „Dwie osoby nielegalnie przemycone na teren Sejmu przez posłankę Scheuring-Wielgus. Wygląda niczym porwanie w jakimś tanim filmie. Jednak jedyne, co tu porywa, to głupota tego pomysłu" – podsumowała Beata Mazurek, rzecznik KP PiS. „Jak dobrze upchać, to i całe koło poselskie Liberalno-Społeczni zmieści się w bagażniku" – dodał z kolei dziennikarz Jan Kunert.

Pisałem, że wybronić będzie je trudno, ale nie, że to niemożliwe. „Ale jak Wałęsa skakał przez płot Stoczni, to było w obronie demokracji czy nie było?" – zastanawiała się Anna-Maria Żukowska, rzeczniczka SLD.

Na koniec optymistyczny akcent. „Mężczyzna czytający »Gazetę Wyborczą« pyta mnie, czy aby na pewno z tego peronu odjeżdża pociąg do Gdyni. Mogłem skierować go na inny peron, a jednak odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Wspólne obchody #11listopada2018 zaczynają się od rzeczy małych. Dobrej soboty wszystkim! :)" – napisał Eryk Mistewicz. Przy okazji przypomniał mi się stary dowcip o Stalinie, który zamiast dać dzieciom cukierki, rozgonił je na cztery wiatry. „A mógł zabić" – głosiła puenta. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Celebrytka Monika Richardson, teraz już Zamachowska, powróciła do tego, co lubi najbardziej, czyli udzielania wywiadów. Miała taki czas, że jacyś spece od wizerunku powiedzieli jej, iż nie powinna zbyt często mówić tego, co myśli, bo wychodzi to źle. Monika posłuchała połowicznie, to znaczy na jakiś czas rzeczywiście ograniczyła swoją aktywność, ale natura okazała się być silniejsza i znów udzieliła „szczerego wywiadu" jednemu z kobiecych magazynów. Opowiada w nim nie tylko o sobie, lecz także o swoich dzieciach. – Tomek ma 17 lat, a Zosia kończy 14, ale jest bardzo dojrzała, rozumie i czuje dużo więcej, niż powinna w tym wieku. To chyba tradycja kobiet w naszej rodzinie, zawsze były naddojrzałe. Zosia ma po mnie niestety swoistą nadświadomość, taką dość męczącą umiejętność oceny emocjonalnej tego, co się wokół dzieje. To dowód przenikliwości, ale też obciążenie – chwali się Richardson. Monika mówi też o swoich lękach dotyczących dorastających dzieci. – Boję się takiej sytuacji, gdy dziecko zacznie się za mnie wstydzić, jak wyglądam, jak się ubieram, jak się maluję, gdzie pracuję – wylicza. Bez obaw, pani Moniko. Będą się wstydzić głównie za to, co pani mówi, a nie jak wygląda. Nie ma się czym martwić!

SKROMNA I WRAŻLIWA

Wreszcie ukazał się zapowiadany od kilku tygodni przez samych zainteresowanych okładkowy wywiad Jacka Rozenka (pierwszego męża Małgorzaty Rozenek-Majdan) oraz jego nowej partnerki Roxi Gąski (złośliwie określanej przez plotkarskie portale jako „obecna dziewczyna byłego męża obecnej żony byłego męża Dody"). Mówią oczywiście o swojej wielkiej miłości. – Roksana jest chyba najmniej zepsutą osobą, jaką znam. Niesamowicie skromną. W warszawskim światku to rzadkość. A Roksanie już na pierwszym spotkaniu powiedziałem, że widać w niej niezwykłą wrażliwość – wyznaje Rozenek. Roksana skarży się na media i to, jak ją zaszufladkowały. – Już przypięli mi łatkę głupiej blondynki, która przykleiła się do znanego aktora, by wejść w świat celebrytów. A ja wręcz nie lubię bywać w miejscach, gdzie strzelają flesze. Bardzo rzadko daję się Jackowi wyciągnąć na oficjalne imprezy – zapewnia. Z tego wynika, że do tego wywiadu to siłą musieli ją chyba zmuszać. Bo jak inaczej?

FOT. PAWEŁ GRONADA

WYWIAD NA TEMAT WYWIADU

Roxi Gąska w swej skromności i wrażliwości tak bardzo stroni od show-biznesu, że jeszcze zanim ukazał się tak szeroko przez nią reklamowany wywiad w „Gali", udzieliła innego wywiadu na temat szykowanego wywiadu. – Wywiad był udzielony tylko po to, aby zdementować wszystkie plotki, które krążyły na nasz temat, a szczególnie na mój temat. Zależało mi, żeby przedstawić moją wersję. Od roku jestem z Jackiem. Nawet słowa nie pisnęłam na mój temat. Myślałam, że tak po prostu będzie lepiej – mówi w „Fakcie" Gąska. – Miałam już tego dość po prostu – dodaje. Jak wiadomo, najlepszym, sprawdzonym sposobem na przecięcie wszystkich plotek jest opowiadanie o nich w gazecie. A najlepiej od razu w kilku.

UWAGA, KRET POLUJE!

Pogodynek Jarosław Kret podobno już pogodził się z myślą o tym, że nie odzyska Beaty Tadli. Przypomnijmy – para niedawno rozstała się w dość spektakularny sposób tuż przed startem tanecznego show, w którym mieli oboje wziąć udział. W dużym skrócie było tak, że Kret porzucił Tadlę, ta się o tym dowiedziała z mediów, wszyscy jej współczuli, a na Kreta pomstowali, co zaowocowało tym, że pogodynek odpadł z programu jako pierwszy, a Tadla go wygrała. Po wszystkim Kret poszedł po rozum do głowy i próbował odzyskać Beatę. Pisał do niej listy, prosił, nagabywał. Ta pozostała jednak niewzruszona. A skoro tak, to – jak donosi „Fakt" – Kret postanowił się rozejrzeć za kimś nowym. – Im będzie młodsza, tym lepiej – mówi informator „Faktu". – Według Jarka młode kobiety nie nalegają tak bardzo na stały związek i wykazują w tej materii więcej luzu. Tego brakowało mu u Beaty. Był na kilku randkach, ale żadna z dziewczyn go nie zainteresowała i szuka dalej. Koledzy podsyłają mu kolejne kandydatury spośród znajomych swoich partnerek – dodaje. Widać muszą ich bardzo, ale to bardzo nie lubić! ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, za nami już mniejsze pół wakacji, a pogoda niestety nam nie dopisuje :(Zapewne ma to związek z łamaniem w tym kraju konstytucji oraz demokracji, chociaż z drugiej strony ma swoje dobre skutki, bo np. takie janusze i grażyny wraz ze swoimi wąsatymi osobodziećmi raczej nie wychodzą na deptaki i plaże modnych kurortów, więc celebryci i mieszkańcy wielkich ośrodków mogą moknąć w niczym niezmąconym spokoju, pijąc sojowe latte na deszczu.

Razi nas beka z Junckera, który był zapewne dotknięty atakiem choroby filipińskiej albo urazem goleni. I to obu

Wobec deszczu mamy jednak ambiwalentne odczucia, iż powszechnie znany fakt dowiedziony naukowo głosi, iż im więcej wody znajduje się w Europie, tym mniej wody ma Afryka. Jak widzieliśmy na mundialu, Europa, a konkretnie Francja, już wydrenowała Afrykę z talentów piłkarskich, a teraz ten kraj pozbawia Afrykę wody.

Zastanawiamy się, czy podobna zasada ma zastosowanie do demokracji, tzn. im mniej demokracji występuje w tym kraju, tym więcej demokracji będzie na pigmentalnie uposażonym lądzie, a nawet na Bliskim Wschodzie. Mamy nadzieję, iż znajdzie się jakiś politolog, który wyjaśni to za unijne granty.

Razi nas beka z osoby Junckera, który był prawdopodobnie dotknięty atakiem choroby filipińskiej albo urazem goleni, i to zapewne obu. Zwłaszcza irytuje nas, kiedy śmieje się z niego taki przeciętny janusz, imputując przewodniczącemu chorobę alkoholową.

Otósh Juncker nie może mieć choroby alkoholowej z prostego powodu: światli i nowocześni Europejczycy nie są w stanie uzależnić się od alkoholu. Of kors to przykre i nieestetyczne uzależnienie dotyka wciąż np. mieszkańców tego kraju, którzy pijają powszechnie denaturat i płyny do chłodnic (aż dziw, że nie podniosła tego tematu jeszcze zagraniczna prasa).

Tymczasem prawdziwy Europejczyk może się uzależnić najwyżej od muzyki Wagnera, demokracji i praw człowieka. Dlatego być może Juncker się chwiał, iż będąc uzależnionym od powyższych, nie był w stanie znieść ich braku w tym kraju. Dlatego prosimy się z niego nie śmiać.

Podobno naukowcy odkryli w Jordanii (to gdzieś koło Rabki?) pozostałości chleba, które mają aż 14 400 lat. Według naszych obliczeń jest to bardzo, bardzo stary chleb.

Nas interesuje jednak coś innego: Czy w pozostałościach tego chleba została stwierdzona obecność glutenu? Jeśli nie, okaże się, iż ludzkość przed kilkunastoma tysiącami lat była już świadoma żywieniowo, bardziej niż przeciętny janusz z tego kraju.

Natomiast jeśli w pozostałościach jest gluten, oznacza to, iż obecnie mamy do czynienia ze wspaniałym postępem, który odcina się od prehistorycznych upodobań. Jeszcze gdyby tylko się udało odnaleźć liczące kilkanaście tysięcy lat latte na mleku ryżowym i wegańskie pierożki!!! ©®

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 59fff9dc19

dwaj panowie g

Cuda, cuda ogłaszają. Okazało się, że rząd prowadził negocjacje jeszcze tajniejsze od tych z Izraelem. Wiewiórki mówią, że tym razem delikatne pertraktacje wziął na siebie osobiście premier Mateusz. Pertraktował, negocjował, prosił, namawiał, aż wreszcie się udało – i Kaczor Dyktator zgodził się na ocalenie branży futerkowej w Polsce. A nawet na ubój rytualny.

Wiadomość tę poddajemy pod rozwagę tym, którzy wątpią w prawdziwość komendy: „Skracamy fronty" wydanej przez Kaczora Dyktatora. Jak tak dalej pójdzie z tym skracaniem, to niedługo jedynym otwartym frontem będzie frontowa strona „Gazety Wyborczej".

Ludzie małej wiary uważali też, że nie jest możliwe skrócenie frontów w telewizji Jacka Kury-Kurskiego. A tu bęc! Zamiast ostrego jak broda Antoniego M. Miszela Rachą (jak z francuska nazywamy Rachonia Michała) we wtorki program „Minęła 20" będą prowadzić na zmianę Krzysiek Ziemiec i Danka Holecka, łagodni niczym uśmiech premiera Mateusza. Źli ludzie opowiadają, że to dopiero początek.

Z okazji ostatnich wydarzeń w Sejmie mamy dla państwa taki oto dowcip. Jaka jest różnica między włoską mafią a Aśką Schmidt? Żadna. Jedna i druga specjalizuje się w przewożeniu ludzi w bagażnikach samochodów.

Oczywiście żart nie jest do końca uzasadniony. I nazbyt łaskawy wobec Aśki Schmidt. Bo musimy zwrócić uwagę, że mafia włoska jest skuteczniejsza. Jej przynajmniej nikt z bagażnika nie ucieka i nie szwenda się potem po parlamencie.

Tymczasem tragedia! Chodzi o partnera Aśki Schmidt, niejakiego Ryśka. Jesteśmy w kropce. Towarzysz Leszek Liberałowicz Balcerowicz powiedział, że Rysiek Petru to szkodnik o zbyt wielkim ego. No i nie wiemy, co zrobić. Bo towarzysz Balcerowicz mówi od lat same koszmarne bzdury, więc i jego opinia o Ryśku musi być tym samym bzdurna. Ale Rysiek faktycznie jest szkodnikiem o zbyt wielkim ego. Wychodzi więc na to, że Balcerowicz ma rację. Idziemy po wino.

Liberalno-Społeczni. To oficjalna nazwa nowej partii, którą Rysiek chce rejestrować. Długo zastanawialiśmy się, do czego porównać to interesujące połączenie. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej zaskakującą dwoistość nowej tożsamości oddaje sformułowanie Trzeźwo-Pijani.

Zaskakującą dwoistość nowej tożsamości partii Liberalno-Społeczni najlepiej oddaje sformułowanie Trzeźwo-Pijani

My w sprawie „nowego Leppera". Przyglądajcie się uważnie jego karierze. Nie, nie chodzi o świński ryj, z którym Michał Kołodziejczak przyjechał na demonstrację rolników do Warszawy. Chodzi raczej o jego skłonność do demonstrowania pod ambasadą USA i protesty przeciwko skłócaniu Polski z „rosyjskimi przyjaciółmi". A Unia Europejska to może i OK, ale nie na dotychczasowych zasadach. Przewidujemy szybkie nadejście doktoratów honoris causa z Moskwy, wzorem starego, oryginalnego Leppera.

My tu żartujemy, a sprawa poważna, bo tajemnicza Unia Warzywno-Ziemniaczana oprócz kontestowania USA i UE ma tak na serio tylko jeden punkt programu: „PiS jest zły". I dziwnym przypadkiem w każdym miejscu, gdzie jakichś czterech wiejskich miglanców drze japę na rząd, ten piąty okazuje się kolegą od Warzywno-Ziemniaczanych. Ot, przypadek.

Ciekawa rzecz – „nowy Lepper" ogłosił, że jest także przeciwko PSL, co nie przeszkodziło, jak mówią źli ludzie, naszym zielonym braciom zwieźć mu na demonstrację autokarami coś koło tysiąca gniewnych ludzi. Źle się bawicie, panowie, źle się bawicie.

Pyszna plotka dotarła do nas z Poznania. Otóż tamtejszy liberalno-społeczny oraz wielkomiejsko-platformerski lud podaje sobie z ust do ust własną teorię na temat psychodelicznego zamku budowanego w puszczy nad Notecią. W tej teorii główną rolę odgrywa złowrogie

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 59fff9dc19

Opus Dei, które ma się kryć za inwestycją. Opowiadamy o tym, bo zawsze uważaliśmy, że z analizy plotek są dwa pożytki. Sporo mówią o ich bohaterach, ale jeszcze więcej o tych, którzy je puszczają w obieg.

Dalej Poznań. Miał być Piotr Barełkowski, a będzie nie wiadomo kto. Mnożą się bowiem kandydaci kukistów na prezydenta miasta. Obecnie stan chętnych na Warcie w Poznaniu wynosi cztery. Same chłopy, więc kukiści potwierdzają, że z parytetami u nich kiepsko. Podobno jakoś kobitki się nie zgłaszają. Zupełnie tego nie rozumiemy. Jak można być kobietą i nie ulec chłopięcemu urokowi Tyszki Stanisława?

À propos kukistów. Szczególnie cieszy nas, kiedy pojawiają się w mediach, by wieszać psy na PiS z powodu ustawy zezwalającej samorządom na podnoszenie opłat parkingowych. Kukiści kwalifikują ten czyn jako „podnoszenie podatków". Głupia sprawa, jako zwolennicy samodzielności samorządów kukiści głosowali swego czasu za tą ustawą. Dlaczego więc cieszy nas ich obecna krytyka? Bo zawsze miło spotkać ludzi, którzy potrafią przyznać się do błędu.

Siepacze z PiS nie próżnują. Przez ich okrucieństwo radca prawny Gersdorf musiała przerwać urlop. Smuteczek. Powód? Poprawki w ustawie o Sądzie Najwyższym. Udało nam się chyba rozszyfrować prawdziwy cel siepaczy. Jeśli doprowadzą do tego, że przy okazji każdej ustawy i każdej poprawki ktoś z Eine Totalopposition musi przerwać urlop, to wkrótce opozycja zniknie, gdyż wskutek braku odpoczynku zejdzie na karōshi.

Jeśli przy okazji każdej ustawy ktoś z Eine Totalopposition musi przerywać urlop, to wkrótce cała opozycja zejdzie na karōshi

Wiewiórki z okolic PeŁo tymczasem próbowały nas ostatnio przekonać, że zapadła decyzja, by nie organizować kolejnych zadym pod siedzibą Sądu Najwyższego. Oczywiście wierzymy. Tak jak Grzegorzowi Schetynie, kiedy mówi, że nie jest tylko antypisem.

Ciąg dalszy opowieści o okrucieństwach dobrej zmiany. Nie dość, że prokuratura w Krakowie postawiła byłemu szefowi CBA Pawłowi Wojtunikowi zarzuty, to jeszcze państwo PiS znęcało się nad nim na zupełnie innym polu. Chodzi o operację kolana, której musiał się poddać popularny Gazor. Operacja była potrzebna w efekcie pewnego nietypowego procesu schodzenia po schodach. Przy czym słowo „schodzenie" należałoby ominąć. Tak przynajmniej mówią źli ludzie.

Ci sami źli ludzie twierdzą, a my oczywiście im nie wierzymy, że nietypowy proces schodzenia po schodach miał coś wspólnego z zajęciami, od których wzięła się ksywa Wojtunika, czyli Gazor. Niezorientowanych informujemy, że nie ma ona nic wspólnego z gazrurką.

Mało kto wie, że dyktatura PiS będzie miała wkrótce także wymiar kosmiczny, a dokładnie mówiąc – satelitarny. W ramach innowacji resort rolnictwa zamierza stosować satelity do sprawdzania, kto i co tak naprawdę hoduje, gdzie i czy na pewno jest susza oraz czy nie pobiera dopłat na plastikowe drzewa. Oczekujemy, że ten zamach na demokrację spotka się z natychmiastowym odporem ze strony prawdziwych przyjaciół rolników. Na początek mogą być Tomasz Lis i Zbigniew Hołdys.

Na zakończenie – o wakacyjnych lekturach. Odkryliśmy, że minister zdrowia Łukasz Szumowski namiętnie czyta fantastykę, szczególnie polską. Oprócz „Wiedźmina" lubi zwłaszcza cykl „Narrenturm" Andrzeja Sapkowskiego oraz serię „Ostatnia rzeczpospolita" Tomasza Kołodziejczaka, z którym, jak się okazuje, grał nawet za młodu w koszykówkę. To najciekawsza wiadomość literacko-polityczna od czasów, kiedy dowiedzieliśmy się, że Kaczor Dyktator i Bogusław Wołoszański byli kolegami z roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Telewizja na froncie

Maciej Pieczyński

TVN24 subtelnie przedstawia manichejską wizję świata podzielonego na dwa obozy: niedemokratyczną władzę i demokratyczną opozycję, wspierającą szlachetnych sędziów. A co ponadto (czyli symetryści), to od złego pochodzi...

Mam już dość bycia workiem treningowym w »Loży prasowej« TVN24. Mam dosyć robienia ze mnie propagandzistki PiS-u, którą nie jestem, i ustawień 4-1. Jestem normalną dziennikarką, która ma jakieś poglądy, raczej bliższe rządu niż opozycji (choć to zależy od zagadnienia), i mam takie prawo. Przestali już chodzić do »Loży prasowej« Piotr Zaremba, Skwieciński, czas na mnie" – ogłosiła Agnieszka Romaszewska-Guzy, dyrektor TV Biełsat. Decyzję podjęła po występie w niedzielnym programie „Loża prasowa", wyemitowanym 1 lipca. Publicystka zapewniła, że nie chodzi o bojkot stacji. W rozmowie z branżowym portalem Wirtualnemedia.pl stwierdziła, że nie odpowiadają jej „formuły telewizyjnych show" w TVN24. Tłumaczyła, że w „Loży prasowej" z reguły jest obsadzana w roli obrończyni partii rządzącej, podczas gdy wszyscy pozostali goście zazwyczaj są do PiS nastawieni bardzo negatywnie. „Wszystkie trzy osoby się zgadzają, oczywiście z różną intensywnością, a ja jedna się nie zgadzam. Na dodatek pani Małgorzata Łaszcz [prowadząca – przyp. red.] zawsze jeśli temat dotyczy PiS-u, to najpierw pyta mnie. Jestem ustawiana jako rzecznik PiS, którym się nie czuję. Pozostaję krytyczna wobec działań tej partii, ale nie chcę przyłączać się do chóru. Mam własne poglądy" – komentowała Romaszewska-Guzy dla Wirtualnych Mediów.

W swoim ostatnim występie w „Loży prasowej" dyrektor Biełsatu rzeczywiście była w mniejszości. Głównym tematem dyskusji był spór wokół zmian w Sądzie Najwyższym. Prowadząca Małgorzata Łaszcz praktycznie nie pytała o działania opozycji, skupiając się na konsekwencjach decyzji władz oraz na prawnych zawiłościach. Wyraźnie nakreślona została narracja, wedle której spór toczy się pomiędzy łamiącą konstytucję partią rządzącą a broniącym jej środowiskiem niezależnych politycznie sędziów. Widać to było we wprowadzającym do dyskusji felietonie. Sprawę skomentowali przedstawiciele obu stron sporu. Tyle że po jednej stronie wypowiadali się wicemarszałek Ryszard Terlecki, prezydenccy ministrowie Andrzej Dera i Krzysztof Łapiński, po drugiej – rzecznik Sądu Najwyższego Michał Laskowski, sędzia SN Dariusz Zawistowski, a także Bartłomiej Przymusiński ze stowarzyszenia Iustitia, który sędziów mianowanych przez PiS nazwał uzurpatorami, prof. Marcin Matczak, który z kolei działania rządzących nazwał przemocą konstytucyjną. Politycy vs. Prawnicy. Władza vs. Prawo. Przekaz był jasny: władza wypowiada wojnę sędziom.

Nie trzeba nawet sięgać po pilota, żeby zgadnąć, jak felieton na ten sam temat wyglądałby w TVP Info. Okiem kamery telewizji publicznej linia frontu przebiega bowiem pomiędzy władzą, która w absolutnie dobrej wierze chce wymiar sprawiedliwości reformować, a totalną opozycją, która sięga po wszelkie – legalne i nielegalne – środki, żeby te niezbędne zmiany zablokować. Jednak o ile TVP Info potrafi znaleźć i poprosić o komentarz prawników o poglądach zbieżnych z poglądami PiS, o tyle TVN24 tworzy wrażenie, że każdy prawnik uważa pomysły partii rządzącej za skandaliczne.

W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Nie można jednak powiedzieć, że Małgorzata Łaszcz prowadziła program z jakąś ideową, antyrządową ostentacją. To nie jest styl Agnieszki Gozdyry czy Tomasza Lisa. Pod tym względem dziennikarstwo w TVN stoi na wysokim poziomie – nawet jeśli prowadzący przedstawiają wydarzenia z absolutnie jednostronnej perspektywy, robią to jednak z reguły w białych rękawiczkach i z kamienną twarzą, w samym sposobie narracji nie zdradzając śladów emocji, ideowego zacietrzewienia. W programach

eprasa.pl 59fff9dc19

Agnieszka Romaszewska-Guzy (druga od lewej) zapowiedziała, że nie będzie już pojawiać się w „Loży prasowej" TVN24 FOT. TVN SA

publicystycznych to zapraszani goście najczęściej pozwalają sobie na bardzo ostre antyrządowe tyrady. W „Loży prasowej" z 1 lipca Piotr Stasiński z „Wyborczej" wszedł w niewybredny spór z Agnieszką Romaszewską-Guzy. Publicystka stwierdziła, że Małgorzata Gersdorf powinna podlegać postępowaniu dyscyplinarnemu za swoje zaangażowanie polityczne, za to, że stoi po jednej stronie sporu. – Ta jedna strona broni zasad liberalnej demokracji, trójpodziału władzy oraz szanowania instytucji demokratycznych zapisanych w konstytucji. Po co tutaj rozmawiać o stronach – ripostował Stasiński, zgodnie ze wspomnianą już, mniej lub bardziej subtelnie forsowaną przez TVN narracją.

Romaszewska-Guzy nie jest pierwszą rezygnującą z występów w „Loży prasowej". Piotr Zaremba przestał chodzić do TVN, bo – jak to ujął – „sytuacja zmagania się z trójką gości (a takie składy bywały coraz częściej) i z nieudającą bezstronnej ani na moment prowadzącą" wydawała mu się „jałowa".

Z kolei Piotr Skwieciński z „Sieci" trzy lata temu demonstracyjnie wyszedł ze studia, gdy został zaatakowany przez Pawła Wrońskiego. Poszło o szczególnie wówczas gorący temat uchodźców. Skwieciński argumentował, że ich przyjmowanie to potencjalne zagrożenie terrorystyczne. W odpowiedzi publicysta „Wyborczej" ironizował, że gdyby w przyszłości polskie wojsko było zaangażowane w ochronę południowej granicy Unii Europejskiej na Morzu Śródziemnym, dowódcą takiego oddziału powinien zostać właśnie Skwieciński. – Chciałbym, żeby ze swoimi przekonaniami stanął na tym statku i zobaczył tonącą łódkę z uchodźcami. W tym momencie Piotr Skwieciński dojdzie do wniosku: chrześcijanie na pokład, wszyscy inni toną, prawda? – pytał Wroński. Skwieciński spokojnie odpowiedział, że w tej sytuacji odholowałby łódź z uchodźcami do granicy Algierii z zapasem benzyny. Publicysta „Wyborczej" prowokował dalej: – I utoną na granicach wód terytorialnych Algierii z miłosierdziem chrześcijańskim, gulgul. A może strzelamy od razu? Szybciej będzie. Strzelamy czy tylko topimy? – pytał. Skwieciński w proteście opuścił studio, mimo prób załagodzenia sporu przez prowadzącą.

DWÓCH NA JEDNEGO

Prowadząca „Loży prasowej" i tak, jak na standardy TVN24, zachowuje relatywną przezroczystość pod względem poglądów. Trudno to samo napisać o jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy tej stacji – Andrzeju Morozowskim.

Prowadzący „Tak jest" bardzo często komentuje obecną sytuację polityczną na łamach prasy. W październiku zeszłego roku wraz z Dominiką Wielowieyską i Jackiem Żakowskim udzielił „Newsweekowi" obszernego wywiadu pod dramatycznie brzmiącym tytułem „Trzeba się bić o wolność słowa!". Miesiąc później Morozowski pisał w „Super Expressie", że PiS cofa Polskę do czasów PRL. Nic więc dziwnego, że dyskusję we własnym programie prowadzi zazwyczaj w kierunku ostrej krytyki działań obecnej władzy. Gdy zaprasza dwoje gości (ze strony władzy i ze strony opozycji), to

eprasa.pl 59fff9dc19

reprezentantowi obozu władzy zadaje trudne pytania, reprezentanta (czy też sympatyka) opozycji traktuje zaś jako „niezależnego" eksperta, którego rolą jest komentowanie działań obozu władzy. Tak było, gdy o raporcie ONZ krytykującym polskie zmiany w sądach dyskutowali Sebastian Kaleta i Ryszard Kalisz. Poseł PiS tłumaczył, że podobne rozwiązania funkcjonują w innych krajach unijnych. Dlaczego to, co gdzie indziej jest normą, w Polsce uważane jest za niszczenie demokracji? „Ekspert" Kalisz, zamiast na to pytanie odpowiedzieć merytorycznie (jako prawnik), sięgnął po argument ostateczny, czyli: „cały demokratyczny świat jest przeciwko PiS". Nie skomentował też zarzutu rozmówcy, że za rządów SLD można było łatwiej odwołać prezesów sądów niż obecnie, a nikt wówczas nie mówił o zagrożeniu demokracji.

W stosunku do Kalisza Morozowski nawet nie udawał dociekliwości. Wrażenie było takie, że obaj podzielili się rolami: prowadzący zadaje ostre pytania przedstawicielowi władzy, „ekspert" wygłasza zaś ogólnikowe tyrady o zagrożeniu demokracji i czasem wyśmiewa PiS. Morozowski powtarzał przez cały program jak mantrę pytanie o mniej więcej takiej treści: „PiS tak chwalił ONZ, gdy okazało się, że Polska będzie przewodniczyć Radzie Bezpieczeństwa. To dlaczego nie chcecie się zastosować do raportu ONZ?". I to pomimo to że już za pierwszym razem polityk Zjednoczonej Prawicy odpowiedział, tłumacząc, że chwalenie instytucji nie oznacza akceptacji wszystkich jej decyzji. Gdy zaś Kaleta postawił tezę, że międzynarodowa krytyka reform PiS wynika z tego, iż polscy (niechętni władzy) sędziowie mają dobre kontakty za granicą, prowadzący nazwał to teorią spiskową.

Rozmawiając z Adamem Michnikiem na temat zeszłorocznego przemówienia Beaty Szydło na temat sytuacji w UE, Morozowski nazwał słowa ówczesnej premier podsycaniem lęku przed obcymi. Gdy Michnik określił styl polityki Kaczyńskiego mianem zarządzania strachem, prowadzący program „dopytywał": – To się może skończyć jakąś tragedią. No w Turynie się skończyło… Takie lęki się skończyły w sobotę paniką. Tysiąc pięćset osób rannych… Dzięki Bogu nikt nie został zabity. A w Polsce?

Gdy gościem jego programu był Andrzej Seweryn, Morozowski podawał kolejne przykłady, świadczące jego zdaniem o cenzurowaniu kultury przez PiS. Seweryn, wydawałoby się, jest zaprzeczeniem takiej diagnozy rzeczywistości. Pomimo swojego otwarcie krytycznego stosunku do PiS, pomimo udziału w antyrządowych demonstracjach dyrektor Teatru Polskiego otrzymał dotację z ministerstwa kultury, za którą publicznie podziękował wicepremierowi Glińskiemu. Dodatkowo przyznał, że za poprzedniej władzy nie dostał żadnej pomocy. Morozowski zasypywał go takimi pytaniami: „Nie ma pan poczucia, że został pan wykorzystany jako listek figowy?", „Pan firmuje to, co robi minister Gliński", „Nie ma pan wrażenia, że władza kupiła pana?", „Nie ma pan poczucia, że jest pan potraktowany instrumentalnie?". A gdy Seweryn tłumaczył, że dzięki dotacji może wystawić więcej spektakli, a władza nie narzuca mu repertuaru, prowadzący program stwierdził, że dotacja dla znanego artysty i jego wdzięczność dla władzy ma „wzmacniać pana ministra, który jest nielubiany".

Grzegorz Kajdanowicz, rozmawiając z Grzegorzem Schetyną, zadawał takie pytania, z którymi zgadzał się szef PO FOT. TVN SA

NERWOWA OLEJNIK

Z bezkompromisowego przesłuchiwania swoich rozmówców – szczególnie jeśli należą do obozu PiS – słynie również Monika Olejnik. Niedawno zaprosiła do „Kropki nad i" Patryka Jakiego, by porozmawiać o ustawie o IPN. Trudno się dziwić – nowelizacja powstała przecież w Ministerstwie Sprawiedliwości. Pod koniec wywiadu Jaki stwierdził, że miał nadzieję, iż Olejnik zapyta go o Warszawę. – Ale zauważył pan, że jeszcze nie ma kampanii wyborczej? Ja zauważyłam – ironizowała dziennikarka. – Ale z Rafałem Trzaskowskim to pani nie przeszkadzało, żeby porozmawiać o Warszawie, kiedy również nie było kampanii wyborczej. Myślałem, że o tym będziemy rozmawiać, a pani postanowiła mnie dzisiaj grillować – ripostował Jaki.

Zdarza się, że Olejnik w rozmowie puszczają nerwy. Wówczas, w emocjach, staje się jeszcze ostrzejsza od Morozowskiego dla gości z odmiennym światopoglądem. Tak było w dyskusji o aborcji. – Niech pani się zajmie sobą, a nie zmusza innych, żeby przeżywali dramat! – rzuciła w pewnym momencie do Kai Godek.

Trzeba jednak przyznać, że Monikę Olejnik z równowagi wyprowadzić potrafią również politycy wspieranego przez nią antypisu. Rafałowi Trzaskowskiemu podczas rozmowy zwróciła uwagę, że nie utrzymuje z nią kontaktu wzrokowego.

Niedawno z TVN odszedł uważany za konserwatystę Bogdan Rymanowski, być może najbardziej wyważony dziennikarz stacji. Zastąpił go Konrad Piasecki, któremu zwolennicy antypisu niejednokrotnie zarzucali „symetryzm". Rzeczywiście, Piasecki, w odróżnieniu od absolutnej większości dziennikarzy TVN, potrafi zadawać ostre pytania zarówno politykom władzy, jak i opozycji.

Swoich poglądów raczej nie ukrywa Grzegorz Kajdanowicz. Jako reprezentatywny przykład jego stylu niech posłuży wydanie „Faktów po Faktach" z 12 lipca. Pierwszym gościem programu był Grzegorz Schetyna. Liderowi Platformy Obywatelskiej dziennikarz TVN24 zadawał równie „trudne" pytania, jakie w TVP Info słyszy np. Jarosław Kaczyński. Głównym tematem rozmowy była oczywiście awantura o Sąd Najwyższy. Schetyna wystąpił w roli rzecznika tej siły politycznej, która twardo stoi po stronie sędziów. – Czy dzisiaj jesteśmy w sytuacji, w której musimy liczyć na determinację i mocne nerwy pani Gersdorf? – pytał Kajdanowicz.

Jak nietrudno przewidzieć, lider PO zgodził się z taką diagnozą. Wyraził nadzieję, że broniących konstytucji sędziów powinien wesprzeć Trybunał Sprawie-

eprasa.pl 59fff9dc19

dliwości Unii Europejskiej. Dziennikarz dopytywał, czy to nie jest tak, że PiS specjalnie przejmuje SN właśnie w lipcu, korzystając z tego, że „Polacy jadą na wakacje" i nie będą w stanie się zmobilizować do protestów. Na tak postawione pytanie Schetyna znów odpowiedział twierdząco.

Dalej Kajdanowicz prorokował: „Ten PiS-owski walec, za którego kierownicą siedzi albo prezes Kaczyński, albo minister Ziobro, albo kto inny, jedzie dalej i będziecie mieli w Sejmie najprawdopodobniej kolejne projekty nowelizacji prawa dotyczącego SN. I tam jest rzeczywiście ciekawa sytuacja, bo kandydaci do Sądu Najwyższego będą mogli być odrzuceni bez jakichkolwiek kryteriów, bez jakichkolwiek możliwości odwołania się. Co więcej, kandydatów do Sądu Najwyższego będzie można odrzucać po kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu, a nawet kilkuset, jak się uda. To będzie do zrobienia bardzo szybko".

Rzecz jasna, także z tą tezą dziennikarza zgodził się lider Platformy. Zapewnił też, że jego ugrupowanie będzie robiło wszystko, żeby ten – jak to zgrabnie określił prowadzący – „walec PiS-owski" zatrzymać. Kajdanowicz słusznie zauważył, że opozycja nie ma szans na zablokowanie zmian w parlamencie. Nie była to jednak ironia w stosunku do politycznych deklaracji Schetyny, a raczej szczere zmartwienie, że sejmowa arytmetyka nie sprzyja Platformie.

„Przywódca opozycji" zapewnił, że wobec tego zrobi wszystko, by rozbudzić emocje i zaangażować w spór instytucje unijne. Schetyna argumentował, że niezależność Sądu Najwyższego to „podstawowa wolność", „najpoważniejsza rzecz", „sól demokracji parlamentarnej", ponieważ to właśnie SN daje gwarancje legalności wyborów. Być może, gdyby w tym momencie po drugiej stronie stołu siedział wspomniany „symetrysta" Konrad Piasecki, mógłby tę górnolotną deklarację Schetyny zbić argumentem w stylu „no dobrze, ale demokracja parlamentarna to też wybory do parlamentu, a te wygrał PiS". Nawet nie tyle po to, by „przywódcę opozycji" zaatakować, ile by pobudzić do jeszcze ciekawszych odpowiedzi i obrony swoich racji. Kajdanowicz wybrał jednak inną drogę. W reakcji na deklaracje „obrońcy demokracji" stwierdził, rozwijając narrację swojego rozmówcy: – Czyli ulica, te protesty, o których pan mówi, i zagranica, czyli instytucje europejskie?

Jak wiadomo, zbitka „ulica i zagranica" to raczej termin z arsenału narracyjnego zwolenników PiS, gdzie ma znaczenie pejoratywne. Dlatego też Schetyna już zaczął się z tych działań tłumaczyć, gdy wyręczył go częściowo Kajdanowicz: – Nie ma się czego może wstydzić, bo to jest traktowane jak zarzut wobec opozycji – „ulica i zagranica", takie hasło. I znów przewodniczący PO był łaskaw zgodzić się z tezą goszczącego go dziennikarza: – Tak, ale to jest coś podstawowego: jeżeli w parlamencie nie ma debaty, jeżeli parlament jest zdemolowany, jeżeli jesteśmy karani za zabieranie głosu, wyłączane są mikrofony, ograniczona jest debata, ograniczone są pytania […] to jest kabaret, a nie parlament. I wtedy to jest coś podstawowego i fundamentalnego, jeżeli chodzi o wolności w kraju demokratycznym czy w kraju walczącym o to, by był demokratycznym, że trzeba demonstrować na ulicy – mówił Schetyna, tłumacząc również, że skoro Polska jest częścią UE, to Trybunał Sprawiedliwości UE powinien „podjąć sensowne decyzje w bardzo ważnej dla nas wszystkich sprawie".

Prowadzący nie próbował dopytywać, co dla Polski oznaczałby ewentualny wyrok TS UE. A przecież takie pytanie nie musiałoby być atakiem na zwolenników „ulicy i zagranicy" – Schetyna mógł spokojnie przekonać telewidzów, że nic Polsce ze strony TS nie grozi, że wszelkie unijne procedury wymierzone są nie w Polaków, ale w rząd PiS. Być może jednak widzów TVN przekonywać nie trzeba. Rozmowa odbywała się dzień przed uroczystym posiedzeniem Zgromadzenia Narodowego, z okazji 550-lecia polskiego parlamentaryzmu. Jak wiadomo, PO i Nowoczesna to posiedzenie zbojkotowały. Kajdanowicz nie dopytywał, czy aby na pewno konieczny jest ten bojkot i czy pogłębiający się rozłam na scenie politycznej szkodzi czy nie szkodzi polskiemu parlamentaryzmowi. Po raz kolejny pomógł rozmówcy w argumentacji: – Nie weźmiecie jutro udziału w Zgromadzeniu Narodowym… To jest oczywista demonstracja także przeciwko temu, o czym pan mówi, przeciwko temu, jak funkcjonują dziś Sejm i Senat? Na to pytanie znów padła odpowiedź pozytywna. Schetyna dowodził, że nie można brać udziału w uroczystości wspólnie z tymi, którzy łamią demokrację. Dodał też, że zawsze powtarza politykom PiS, iż „pycha kroczy przed upadkiem". Dzisiaj już mało kto pamięta – a już na pewno nie widzowie TVN24 – że to powiedzenie było popularne w 2015 r., tyle że wówczas dotyczyło „upadku" Platformy (a padało z ust większości komentatorów, także tych antypisowskich).

Kajdanowicz dopytywał: – Ale zorganizujecie coś na kształt alternatywnych… to może źle brzmi, konkurencyjnych… też źle… swoje własne obchody, zebranie, spotkanie? – próbując tym samym w możliwie najlepszym świetle przedstawić bojkot oficjalnych uroczystości. W całej rozmowie nie padło ani jedno zdanie wyrażające troskę ze względu na pogłębiające się podziały, niebezpieczeństwo dwuwładzy itp. Diagnoza sytuacji była jasna, choć wyrażona w dość zawoalowany, niepozostawiający wątpliwości sposób: – Polska jest areną manichejskiego sporu dobra ze złem, czyli opozycji demokratycznej z niedemokratyczną władzą.

AUTORYTET BODNAR

8 lipca gościem Diany Rudnik w „Faktach po Faktach" był Adam Bodnar. Rzecznik praw obywatelskich jest dla antypisowskiej opozycji i sprzyjających jej mediów postacią jednoznacznie pozytywną, a ponadto nie jest czynnym politykiem, co powoduje, że pochwał pod jego adresem nie można uznać za dowód zaangażowania w bieżący spór. Pisząc wprost: Bodnar to dla tej strony sceny światopoglądowej niekwestionowany autorytet. Stąd też nie może dziwić – i w zasadzie nie powinien oburzać – styl rozmowy. – Owacje na stojąco od

Duże pieniądze, wielki zasięg

W 2017 r. Grupa TVN zanotowała 1,81 mld zł wpływów (wzrost o 7,3 proc. w stosunku do roku poprzedniego) i 466 mln zł zysku (rok wcześniej było to 34,99 mln zł). W pierwszym półroczu 2018 r. „Fakty" były liderem oglądalności wśród programów informacyjnych. Flagowy program informacyjny TVN oglądało w tym okresie średnio 2,66 mln widzów. To zapewniło TVN 20,89 proc. udziału w rynku telewizyjnym. Na drugim miejscu uplasowały się „Wiadomości" TVP – średnio 2,51 mln widzów. Trzecie miejsce zajął „Teleexpress" – 2,50 mln widzów, a czwarte „Wydarzenia" Polsatu – 2,13 mln widzów. Na koniec 2017 r. grupa kapitałowa TVN zatrudniała 1550 pracowników.

eprasa.pl 59fff9dc19

publiczności Openera… miło? – zaczęła rozmowę Diana Rudnik, nawiązując do spotkania z Bodnarem na gdyńskim festiwalu, gdzie w ramach cyklu „Opener Obywatelski" RPO opowiadał m.in. o sądownictwie. Prowadząca nazwała ten cykl „dobrym poligonem, jeśli chodzi o taką próbę wytłumaczenia, bo chyba o to teraz rzecz idzie, żeby wytłumaczyć Polakom, że Sąd Najwyższy to jest ich sprawa". Gdy Bodnar argumentował, że przejęcie SN przez polityków to powrót do poprzedniego ustroju, Rudnik dopytywała: – Łatwo odsunąć od siebie myślenie o tych pojęciach… W jaki sposób powiedzieć, nie obrażając nikogo, przeciętnemu festiwalowiczowi: tak, to co dzieje się z Sądem Najwyższym, to jest twoja sprawa. Znów: problemem nie jest to, kto w sporze o sądy ma rację, ale to, jak zmobilizować masy do obrony jednej ze stron sporu. Bo racja tej jednej strony jest poza wszelką wątpliwością.

Wreszcie warto zwrócić uwagę na styl narracji i dobór tematów we flagowym programie informacyjnym TVN i TVN24. – To może być długa i skuteczna blokada zmian w Sądzie Najwyższym, ale zgodna z prawem. Jeśli kilku sędziów zgłosi swoje kandydatury, a później np. odwoła się od niekorzystnej decyzji KRS, to prezydent i PiS nie przejmą Sądu Najwyższego jeszcze długo. Na razie walczą o przejęcie fotela prezesa – tak prowadzący „Fakty" 10 lipca wprowadził do tematu sporu o SN. – Od dzisiaj nowa KRS może zadecydować o przyszłości Sądu Najwyższego – relacjonował reporter Jakub Sobieniowski. W materiale pojawia się jedna wypowiedź sędziego Wiesława Johanna, przedstawiciela prezydenta Dudy w KRS. Johann przyznał, że kto nie dopełni formalności wynikających z nowej ustawy, ten nie będzie przez radę pozytywnie zaopiniowany. Sobieniowski komentuje: – Ale w Sądzie Najwyższym i w ogóle wśród prawników, i w Komisji Europejskiej, i nawet w Parlamencie Europejskim te działania widziane są tak – i dalej padają ostre wypowiedzi ekspertów nieprzychylnych zmianom o naruszeniu niezawisłości sędziowskiej. Z teoretycznie „informujących" słów reportera wynika wprost następująca ocena sytuacji: wszyscy prawnicy potępiają proponowane przez PiS zmiany. Co prawda w materiale pojawiają się komentarze wspomnianego sędziego Johanna czy sędziego Mitery, ale nie jako głos prawników, tylko jako głos władzy.

W jednym z wydań gorącym tematem była tzw. czarna lista Pawłowicz. Posłanka na posiedzeniu KRS zwróciła uwagę na konkretnych sędziów, angażujących się w protesty przeciwko zmianom. – Od dziś, od tego wystąpienia (poseł Pawłowicz), sędziowie już wiedzą, że jeśli kiedyś byli w tym tłumie, jeśli ich zdjęcia znajdzie Krystyna Pawłowicz, ich kariera może się załamać – komentował reporter Krzysztof Skórzyński. Informacja wzmocniona została komentarzem Waldemara Żurka: – Dzisiaj sędziowie nazywają KRS Komitetem Represjonowania Sędziów.

CZARNO NA BIAŁYM

Sposób naświetlania tematów politycznych przez TVN jest w znacznej mierze przewidywalny. O skandalu wokół budowy zamku w Puszczy Noteckiej, na obszarze objętym programem Natura 2000, informuje lakonicznie, obiektywnie, pomijając jakiekolwiek szersze tło, tak jakby chodziło o zwykły lokalny materiał interwencyjny. Ani słowa o tym, co dla TVP Info było najważniejszym elementem tej afery – że budowę poparli ci sami ekolodzy, którzy tak zawzięcie bronili Puszczy Białowieskiej przed wyrębem.

TVN24 nie ukrywa swojego ogólnego zaangażowania światopoglądowego

TVN24 nie ukrywa też swojego ogólnego zaangażowania światopoglądowego. W jednym z materiałów wyśmiane zostało złożenie do prokuratury zawiadomienia w sprawie profanacji polskiego godła poprzez wpisanie go w tęczowe barwy podczas parady w Częstochowie. – Prokurator uważa, że orzeł biały na tęczowym tle zasługuje na więzienie – ironizował dziennikarz stacji. Zauważył przy tym, że być może sprawa byłaby niezauważona, gdyby machiny państwowej nie poruszył minister spraw zagranicznych, który swoje oburzenie wyraził na Twitterze. – Podsumujmy: do sprawy oddelegowany zostanie prokurator, obejrzy orła z każdej strony, policja sprawdzi miejski monitoring, potem prokuratura, czyli podatnicy, zapłacą biegłemu od symboli narodowych za opinię. Czyli potężna machina śledcza zostanie zaprzęgnięta w sprawie flagi. Nie spalonej czy podeptanej, ale niesionej przez aktywistów – kpi dziennikarz TVN. Dodaje przy tym, że prokuratura, tak czuła w przypadku tęczowych barw, do dziś sprawdza i sprawdzić nie może, czy rasistowskie transparenty na Marszu Niepodległości 11 listopada nawoływały do nienawiści, czy też nie.

Narracja TVN jest spójna również w ocenie polskiej polityki zagranicznej czy sytuacji międzynarodowej. Gdy Andrzej Duda czcił polskie ofiary Wołynia, a Petro Poroszenko, budując symetrię win, pojechał tego samego dnia oddać hołd ukraińskim ofiarom Sahrynia, widzowie „Faktów" mogli się dowiedzieć, że Donald Tusk przywołuje obu skłóconych prezydentów do porządku i namawia, by porozumieli się ponad podziałami. Z tej perspektywy szef RE wychodzi niemal na męża stanu.

W charakterystyczny sposób przedstawiony został też szczyt przywódców państw NATO. Prowadząca Justyna Pochanke informowała o słownym starciu Trumpa i Merkel. Dodawała przy tym, że prezydent USA szykuje się do rozmowy z Putinem. – Pytanie, czy będzie równie ostry – dodała.

Od reporterki Katarzyny Sławińskiej można było usłyszeć, że Trump ostro krytykuje Niemcy za to, że wolą wydawać pieniądze na współpracę gospodarczą z Rosją, zamiast na swoje zobowiązania w NATO. Na nagraniu z rozmów podczas szczytu słychać, jak amerykański prezydent podaje Polskę jako przykład kraju, który w odróżnieniu od Niemiec „nie chce być zakładnikiem Rosji". A więc przywódca największego na świecie mocarstwa chwali nasz kraj. TVP Info – czemu trudno się dziwić – każdy taki przykład przedstawia jako wielki sukces Polski na arenie międzynarodowej. A TVN? Ani słowa komentarza do propolskiej wypowiedzi. I jednoznaczna krytyka Trumpa za to, że poucza Niemcy. Bo skoro poucza Niemcy, to zapewne „dąży do izolacjonizmu".

Trudno się więc oprzeć wrażeniu, że TVN24, podobnie jak TVP Info, nie oddziela informacji od komentarza, choć robi to w bardziej wysublimowany sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

SPONSOR

PGNiG

PARTNER

PKP INTERCITY

WSPÓŁORGANIZATOR

eprasa.pl 59fff9dc19

Już polityk, nie

Kamila Baranowska

Premier Mateusz Morawiecki sprzed kilku miesięcy i ten dzisiejszy to dwie różne osoby. Sztywny bankier przeobraził się w pełnokrwistego polityka. I przy okazji twardego PiS-owca

Pielgrzymka na Jasną Górę to dla środowiska Radia Maryja najważniejsze wydarzenie w roku. Przygotowania do niej trwają miesiące i są traktowane bardzo poważnie. W tym roku na Jasnej Górze na głównych uroczystościach, które były zwieńczeniem dorocznej pielgrzymki, z zaproszonych najważniejszych polityków w państwie nie pojawili się ani prezydent Andrzej Duda, ani prezes PiS Jarosław Kaczyński. Obaj przepraszali, obaj napisali serdeczne listy do zgromadzonych. Pojawił się jedynie premier Mateusz Morawiecki, czym już na starcie zapunktował u uczestników pielgrzymki.

Dobrze wykorzystał tę sposobność, wygłaszając przemówienie, które idealnie trafiło w oczekiwania publiczności. Uderzał w nuty, które dla tego środowiska są szczególnie ważne, umiejętnie grał na emocjach. – Tak jak wieki temu, poza normalnym obstrzałem klasztoru, wróg próbował podkopać się podstępem, zrobić przekop, tak samo już w czasach wolnej Polski przez 25 lat, ale nawet i do dzisiaj, jeszcze cały czas, różni nasi przeciwnicy ideowi i inni próbują zrobić podkop pod Polskę, podkop pod polskość, pod nasze tradycyjne wartości: rodziny, patriotyzmu, pod marzenia o wielkiej, wspaniałej Polsce – mówił, dodając, że to właśnie zgromadzonym na Jasnej Górze rodzinom „zawdzięczamy, że polskość przez wieki, ale również w ostatnich dziesięcioleciach przetrwała, rozwija się i kwitnie". Dziękował rodzinom wielopokoleniowym, ubolewał nad tym, że przez lata dyskredytowane były rodziny wielodzietne, które nazwał „dobrodziejstwem narodu", i mówił, że o Polskę trzeba wciąż walczyć.

eprasa.pl 59fff9dc19

bankier

Wcześniej środowisko Radia Maryja było sceptyczne w stosunku do Mateusza Morawieckiego. Po przemówieniu premiera na Jasnej Górze uczestnicy pielgrzymki RM śpiewali mu: „Życzymy, życzymy, i zdrowia, i szczęścia, i błogosławieństwa"

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

– To dla was, szanowni państwo, to podziękowanie za to, że ta polskość zawsze była w waszych sercach, dbaliście o nią – dziękował. Widać i słychać było w tym przemówieniu emocje. Ktoś, kto pamiętał wcześniejsze wystąpienia premiera, mógł czuć się zaskoczony. I pozytywnie zaskoczony był tłum na Jasnej Górze, który co chwila przerywał premierowi brawami i okrzykami „Dziękujemy!". A na koniec odśpiewał mu pieśń „Życzymy, życzymy, i zdrowia, i szczęścia, i błogosławieństwa", co można było odczytać jako ostateczny dowód akceptacji i sympatii.

To o tyle istotne i ciekawe, że akurat to środowisko odnosiło się do Mateusza Morawieckiego dość sceptycznie. Wystarczy przypomnieć, że „Nasz Dziennik" w momencie wymiany premiera pisał na pierwszej stronie, że to niezrozumiałe i niepotrzebne, a dzwoniący do Radia Maryja słuchacze apelowali do Jarosława Kaczyńskiego, by nie odwoływał Beaty Szydło.

OBJAZD PO POLSCE

Mateusz Morawiecki, obejmując funkcję premiera, miał duży problem z wiarygodnością w tzw. twardym elektoracie PiS. Chodzi nie tylko o słuchaczy Radia Maryja, choć oni są dobrym przykładem, bo stanowią najbardziej zorganizowaną grupę. Decyzja o tym, że to Morawiecki ma zastąpić Szydło, nie budziła entuzjazmu także w szeregach samej partii. Były wątpliwości i duże obawy, czy nie skończy się to katastrofą, zważywszy na popularność, którą wśród sympatyków prawicy cieszyła się premier Szydło. A Morawiecki był jej dokładnym przeciwieństwem.

Szydło miała łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi, umiała z nimi rozmawiać. Dla wyborców PiS była kimś z tego samego świata, co oni. Na tym tle Morawiecki jawił się jako ktoś z innej galaktyki. Bankowiec w drogim garniturze – co on może wiedzieć o zwykłym życiu? Nie budził ani sympatii, ani zaufania. A na dodatek mówił technokratycznym, nieprzystępnym językiem, skupiając się na wielkich wizjach i projektach, a nie na tym, czym żyli ludzie tu i teraz.

Jednak im więcej Mateusz Morawiecki zaczął podróżować po Polsce, im więcej odbywać spotkań z wyborcami w kraju, tym lepiej zaczął na nich wypadać. – Zaczyna czuć ludzi – komentuje jeden z polityków PiS. – Na tych spotkaniach mówi innym językiem, używa innych argumentów. Jednocześnie jednak gdzieś w tym wszystkim zachowuje swój własny styl – mówi nam polityk PiS, który obserwuje te wyjazdy.

Inny z naszych rozmówców z kręgów premiera zapewnia, że nie dostrzega zasadniczej zmiany, jeśli chodzi o styl wystąpień premiera. – Szybciej to ludzie się przyzwyczaili do jego stylu i zaakceptowali go – uważa. – Wcześniej był porównywany z Szydło, teraz jest już tego porównywania mniej – dodaje.

Rzeczywiście, nawet na spotkaniach lokalnych Morawiecki kładzie duży nacisk na sprawy gospodarcze i to je akcentuje najbardziej. Zawsze jednak stara się też dorzucić coś, co do czego ma pewność, że spodoba się ludziom. Niedawno w Łodzi długo mówił o zaletach Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, budowie Centralnego Portu Lotniczego, programie odbudowy szkolnictwa zawodowego i o bezpieczeństwie. – Warto zadać sobie pytanie: czyja ma być Polska – czy różnych grup interesów, czy wszystkich obywateli? – rzucił na koniec. I dodał: – Chcemy słuchać głosu ludzi i prowadzić takie działania, aby Polska była wielka nie tylko dziś i jutro, ale również za 20 lat.

Z kolei w Olsztynie mówił m.in. o przekopie Mierzei Wiślanej, odbudowie linii

eprasa.pl 59fff9dc19

kolejowej, by na koniec w kontekście dyskusji o praworządności stwierdzić, że „jesteśmy jednym z krajów najbardziej doświadczonych w budowaniu demokracji i nikt nie musi nas uczyć, czym jest demokracja, bo my doskonale to wiemy". – To nie są emocjonalne przemówienia w stylu Beaty Szydło, ale rzeczywiście są mniej sztywne niż na początku – słyszymy od polityka z KPRM. – To człowiek, który bardzo szybko przyswaja wiedzę i który potrafi wyciągać wnioski, a do tego jest otwarty na rady i pomysły innych. Potrafi słuchać, a to wcale nie jest takie częste u ludzi, którzy pełnią wysokie funkcje – dodaje.

Morawiecki przypomina tu trochę Andrzeja Dudę z okresu kampanii wyborczej. Jego też budowały spotkania z wyborcami, w ich trakcie uczył się, jak przemawiać, by być uważnie słuchanym, jakich słów i argumentów używać, co wzbudza największy entuzjazm na sali. Później z sukcesem powtarzał to samo na wielkich wyborczych konwencjach.

JAK PRZEKONAĆ PARTYJNE DOŁY

Celem objazdu po kraju było dla premiera nie tylko przekonywanie do siebie wyborców, lecz także partyjnych dołów. Podczas takich wizyt jest okazja, by porozmawiać z lokalnymi działaczami, posłami z danego okręgu i dać się im poznać.

Morawiecki ma świadomość, że to wciąż jego słaby punkt. Od początku nie budził zaufania u części partyjnych kolegów dlatego, że był człowiekiem z zewnątrz. Nie łączyła go z PiS wspólna historia – historia przegranych wyborów, spędzonych w opozycji lat, medialnej niechęci, rozłamów, odejść, zdrad, powrotów itd. To wspólne doświadczenie jest elementem mocno spajającym PiS i dlatego podwójnie ważnym. Wszyscy w partii byli przekonani, że jeśli dojdzie do rekonstrukcji rządu, to premier Szydło zastąpi sam Kaczyński. To, że prezes wyznaczył Morawieckiego, było szokiem. Z ust niektórych polityków można było wręcz usłyszeć, że Morawiecki „przyszedł na gotowe" i że to niesprawiedliwe nie tylko wobec Szydło, lecz także partii.

Dzisiaj takich głosów w partii jest już coraz mniej. – Morawiecki na dzień dobry dostał taki chrzest bojowy, że zmazał wszystkie swoje winy – śmieje się jeden z naszych rozmówców. Obejmując funkcję premiera, Morawiecki był przygotowany na batalię z Komisją Europejską w sprawie praworządności. Zminimalizowanie strat, które wynikały z ciągnącego

Im bardziej Polska była atakowana, na tym większe wsparcie ze strony własnego obozu mógł liczyć Morawiecki. To był swego rodzaju przełom w postrzeganiu Morawieckiego jako twardego PiS-owca

się konfliktu z Brukselą, było jednym z najważniejszych zadań, jakie postawił przed nim prezes Kaczyński. Niemiłym zaskoczeniem był jednak cios w postaci międzynarodowego zamieszania wokół ustawy o IPN. – Wtedy Morawiecki po raz pierwszy poczuł, co to znaczy być PiS-owcem i mieć przeciwko sobie wszystkich naraz – ocenia jeden z jego partyjnych kolegów. Mocno frustrowało go to, że musi tłumaczyć się z czegoś, co nie jest jego winą, nie był przyzwyczajony do takich sytuacji. Miał też świadomość, że od tego, jak poprowadzi tę sprawę, może zależeć przyszłość całego obozu politycznego. Także Jarosław Kaczyński patrzył z zaciekawieniem, czy człowiek, na którego postawił, sprawdzi się rzucony od razu na tak głęboką wodę.

CHRZEST BOJOWY

Różnie można oceniać skutki wizerunkowo-polityczne sporu Polski z Izraelem wokół ustawy o IPN, jednak w PiS panuje dziś przekonanie, że w ostatecznym rozrachunku zysków i strat Morawiecki dał radę. Tak też uważa prezes Jarosław Kaczyński. – Premier, który od razu wszedł, potocznie mówiąc, w ogień, bardzo dobrze się sprawdził. Jestem bardzo rad z jego pracy i współpracy z nim, która się doskonale układa. Jest, jak każdy z nas, człowiekiem i zawsze są sprawy, które trzeba rozwiązywać, ale to jak szukanie pyłku na pięknym dywanie. Zaznaczam, że to w żaden sposób nic nie ujmuje premier Beacie Szydło, której ogromne zasługi doceniam. Nadszedł po prostu nowy etap – zachwalał Kaczyński w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci".

Cała sprawa z ustawą o IPN paradoksalnie wzmocniła też pozycję Morawieckiego w samym PiS i w tzw. twardym elektoracie. Im bardziej Polska była atakowana, na tym większe wsparcie ze strony własnego obozu i jego sympatyków mógł liczyć Morawiecki. To był swego rodzaju przełom, po którym zaczęto postrzegać Morawieckiego jako twardego PiS-owca, który broni wizerunku i prawdy o Polsce – bo tak PiS początkowo ten spór przedstawiał.

Współpracownicy Morawieckiego wskazują na jeszcze jeden moment przełomowy. To niedawne (z początku lipca) wystąpienie w Strasburgu na forum Parlamentu Europejskiego, w którym bronił Polski przed zarzutami o łamanie praworządności. – Tam już nie było nic z bankowca czy menedżera, tam wystąpił polityk z krwi i kości – rozpływa się jeden z naszych rozmówców.

EGZAMIN ZA ROK

Polityk coraz częściej wychodzi z Morawieckiego także podczas wystąpień sejmowych. W czerwcu, broniąc Beaty Szydło i Elżbiety Rafalskiej przy okazji wniosku opozycji o wotum nieufności wobec nich, wygłosił pean pochwalny pod adresem polityki rządu PiS, nie szczędząc przy tym opozycji złośliwości i gorzkich słów. – My wprowadziliśmy politykę, co do której wy mówiliście: „to się nie da", „to się nie uda", „na pewno na to nie ma pieniędzy" – wytykał. – Prawda o polityce społecznej jest taka, że my nie musimy jakoś szczególnie bronić naszej polityki społecznej. Dzieło Beaty Szydło i Elżbiety Rafalskiej broni się samo – przekonywał.

Prawdziwy egzamin z polityki wciąż przed Mateuszem Morawieckim. To kampania wyborcza w 2019 r., której będzie twarzą. Morawiecki nigdy w żadnej kampanii nie brał udziału i tego w PiS się obawiają. – Kampania to trudny czas, wymaga gigantycznej odporności, schowania ego do kieszeni i nieprzejmowania się bzdurami. Nie wiem, czy to udźwignie. To jednak ogromne ryzyko – mówi nam jeden z posłów.

To ryzyko Jarosław Kaczyński postanowił ponieść. W wywiadzie dla „Do Rzeczy" z lutego prezes PiS zapytany, czy to Mateusz Morawiecki poprowadzi PiS do wyborów w 2019 r., odpowiedział: – Sądzę, że jeśli jakiś grom z jasnego nieba nie spadnie, to tak. Mam nadzieję, że nie spadnie, bo bardzo sobie cenię Mateusza Morawieckiego. Chociaż jest w polityce świeży, to dobrze sobie radzi. Sprawdza się, jest bardzo pracowity, nabiera doświadczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

„Wisła" i „Narew" obronią polskie niebo

Zaangażowanie polskiego przemysłu w realizację programów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej pozwoli na rozłożenie nad Polską parasola chroniącego przed wszelkimi zagrożeniami z powietrza

Budowa kompleksowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej to największy polski program zbrojeniowy. Jego założenia przewidują, że terytorium kraju będzie chronione aż przez trzy warstwy obrony przeciwlotniczej. Pierwsza z nich – przeciwlotniczy system rakietowy bardzo krótkiego zasięgu (VSHORAD) – przeznaczona jest do obrony konkretnych obiektów lub oddziałów wojska. Druga, czyli zestawy krótkiego zasięgu (SHORAD, do 25 km), poza zwalczaniem samolotów i śmigłowców będzie – opcjonalnie – zwalczała również pociski manewrujące. Tworzyć ją będą zestawy „Narew". W tym programie polski przemysł gra wiodącą rolę. Posiada już praktycznie gotowe podstawowe elementy systemu.

Jest to ogromna szansa dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej, gdyż wiele państw sojuszniczych rozgląda się obecnie za systemami tej klasy. Trzecią warstwę obrony przeciwlotniczej stanowić będzie system „Wisła". Jego podstawowym zadaniem będzie zwalczanie taktycznych rakiet balistycznych krótkiego zasięgu (w tym manewrujących), rakiet samosterujących oraz pilotowanych środków napadu powietrznego w całym zakresie prędkości i wysokości lotu, wykorzystywanych przez lotnictwo taktyczne.

POLONIZACJA SYSTEMU

Umowę na realizację pierwszej fazy programu pozyskania przeciwlotniczych i przeciwrakietowych zestawów rakietowych średniego zasięgu „Wisła" szef MON Mariusz Błaszczak podpisał 28 marca 2018 r. Pierwsza faza programu dotyczy kupna za 4,75 mld dol. dwóch baterii Patriot w nowoczesnej konfiguracji 3+ wraz z systemem zarządzania polem walki IBCS. System Patriot to nowa jakość dla polskiej armii, zwłaszcza że nasz kraj chce pozyskać nie tylko wyrzutnie, lecz także cenne technologie. 23 marca 2018 r. MON podpisało umowy offsetowe do programu „Wisła". Transfer technologii wyceniony na ok. 950 mln zł (46 zobowiązań offsetowych) wzmocni możliwości polskiego przemysłu obronnego, a także – przez wzrost potencjału technologicznego rodzimej zbrojeniówki – trwale zwiększy bezpieczeństwo państwa. Dla Grupy PGZ kluczowe jest pozyskanie w ramach programu „Wisła" technologii, które pozwolą na możliwie jak największą autonomiczność naszego kraju w eksploatacji systemów i pozyskanie jak najszerszych kompetencji dotyczących ich serwisowania. Równorzędnym celem jest włączenie Grupy do międzynarodowego łańcucha dostaw zagranicznych producentów systemu Patriot.

TRZY ROLE PGZ

Negocjacje umów o wykonanie zobowiązań offsetowych i ich podpisanie z offsetodawcami powinny zakończyć się już jesienią. W tym samym czasie wynegocjowane i zawarte powinny być umowy podwykonawcze, dzięki czemu realizacja projektu rozpocznie się już od 2019 r. Grupa PGZ chce wykorzystać offset jako okazję do wejścia na segment rynku, w którym prym wiodą największe światowe koncerny zbrojeniowe. Podział realizacji programu „Wisła" na dwie fazy pozwoli stopniowo wdrażać technologie i uruchamiać produkcję gotowych rozwiązań oraz komponentów dedykowanych do konkretnych systemów.

Część PGZ dostarczy bezpośrednio jako dostawca dla MON. W ramach programu „Wisła" zastosowanie znajdą produkty opracowane całkowicie przez polskich inżynierów i produkowane przez spółki z Grupy PGZ. To zarówno pojazdy Jelcz, jak i wysokozaawansowane technologie, takie jak półprzewodnikowe radary wczesnego wykrywania, zdolne do detekcji samolotów trudno wykrywalnych tzw. stealth (radar P-18PL) czy całkowicie niewykrywalne przez przeciwnika radary pasywne (radar PET/PCL). Z kolei jako poddostawcy dostawców rządu USA PGZ będzie odpowiadać za produkcję m.in. wyrzutni M903, elementów do rakiet PAC- 3 MSE oraz do radiolinii dla systemu IBCS.

Przy realizacji pierwszej fazy programu „Wisła" zespół negocjacyjny postawił na pozyskanie produktów mających za zadanie stanowić podstawowy element wszystkich ośmiu baterii systemu: wyrzutni rakiet M903. W wyniku negocjacji polsko-amerykańskich Grupa PGZ pozyska technologię i know-how pozwalające na uzyskanie ponad 90 proc. produkcji wyrzutni M903 i jej komponentów. Część z zobowiązań offsetowych pomoże również w absorpcji newralgicznych dla sukcesu całego programu technologii, które są głównym elementem negocjacji dotyczących drugiej fazy „Wisły" – niskokosztowego efektora (pocisku) oraz radaru dookólnego, tj. o polu widzenia 360 stopni. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

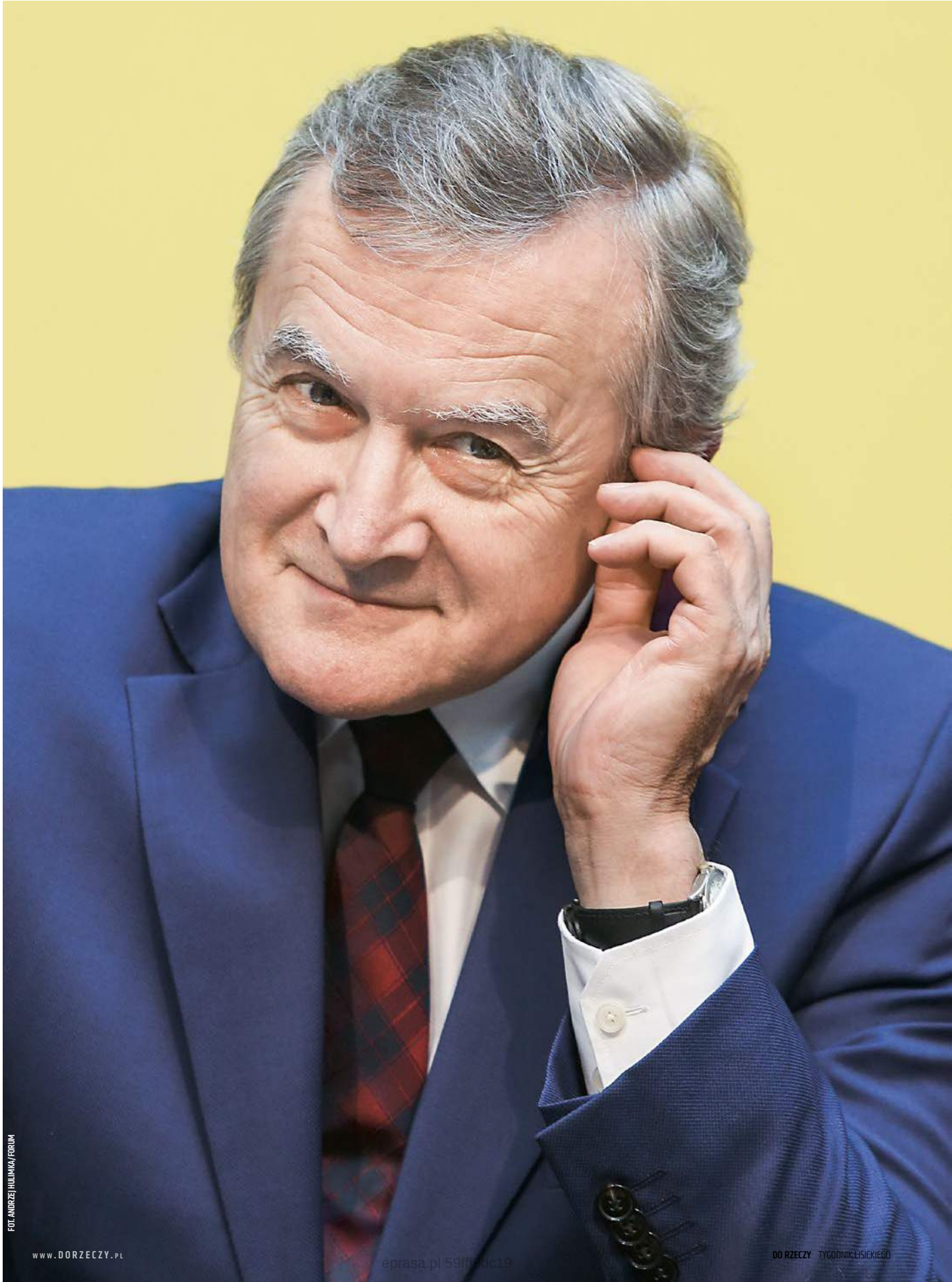

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl 59ff0dc19

Z wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego Piotrem Glińskim
rozmawia Marcin Makowski

Komu zależy, by Polska poszła na dno

MARCIN MAKOWSKI: Kto pana zdaniem jest dzisiaj I prezesem Sądu Najwyższego?

PIOTR GLIŃSKI: Myślałem, że będziemy rozmawiać o kulturze.

Będziemy, ale jest pan również wicepremierem, więc nie da się uciec od polityki.

W kulturze dzieją się jednak ciekawe rzeczy, a spektakl totalnej opozycji staje się już nudny. Sprawującym obowiązki I prezesa jest sędzia Józef Iwulski. To wynika z prawa, najstarszy sędzia przejmuje rolę pani Małgorzaty Gersdorf, która jest już, również na mocy prawa, w stanie spoczynku.

Nie ma pan żadnych wątpliwości? Opozycja stawia sprawę zero-jedynkowo: konstytucja została złamana, ponieważ kadencja prof. Gersdorf trwa sześć lat.

Przecież to jest zupełnie oczywiste, że od tego rodzaju zapisów zawsze są wyjątki, zresztą mówi o tym jasno art. 8 ust. 2 konstytucji. Gdyby ktoś, nie daj Boże, ciężko zachorował, stracił zmysły albo popełnił istotne przestępstwa – jego kadencja nie byłaby pełna. Jednym z takich wyjątków jest zapis dotyczący wieku emerytalnego sędziów, który zgodnie z art. 180 ust. 4 określa ustawa. Każdy rzetelny prawnik interpretuje prawo poprzez odniesienie do wszystkich zapisów regulujących daną kwestię. Nie jest zatem tak, że konstytucja stanowiąca także prawo, bezpośrednio interpretowana jest wyłącznie automatycznie, z pominięciem delegacji ustawowych, jeżeli takie w niej są zapisane. Tutaj nie ma pola na spekulacje. Cała „awantura" to zwykła polityczna retoryka naszych przeciwników, którzy nie mają argumentów i nie mogą pogodzić się z tym, że przegrali demokratyczne wybory.

Ma pan 64 lata, 65. urodziny w kwietniu. Gdyby stosować logikę wieku emerytalnego również do funkcji ministra albo posła, musiałby się pan pożegnać z pełnionymi stanowiskami.

Owszem, gdyby jakaś ustawa to narzucała. Na razie takiej ustawy nie ma.

A jak przyjdzie nowy, młody rząd i stwierdzi, że dzięki temu wyeliminuje jedną trzecią opozycji?

Jak to zrobi, to wtedy będziemy rozmawiać. Ale nie zrobi, bo – inaczej niż w przypadku wieku emerytalnego sędziów – nie ma takiej delegacji w konstytucji, więc tu też nie ma analogii. Wszyscy podlegamy w państwie pewnym regulacjom. Ja, jako profesor uniwersytecki, jeśli nie zachoruję na głowę, mógłbym pracować pewnie do 80. roku życia, ale i tak po 70. muszę przejść na emeryturę. Obywatele podporządkowują się ustawom w państwie demokratycznym i tyle. Lepszego systemu nie wymyślono.

Czy pana zdaniem PiS poradzi sobie z oskarżeniami polityków unijnych i światowych mediów o „zamach na państwo prawa"?

Rząd już sobie z tymi oskarżeniami poradził. To, o czym pan mówi, to zwykła histeria opozycji oraz części polityków i mediów zagranicznych, którzy nie mają pojęcia, co się dzieje w Polsce. Zachód nie doświadczył pół wieku komunizmu i wydaje się, że nie zauważył tego, iż u nas wyjście z tego systemu wyglądało zupełnie inaczej niż np. w Niemczech, gdzie członkowie partii nie mogli być nauczycielami czy sędziami, nie mogli uczyć swych następców, a elity po 1989 r. tworzyli przede wszystkim ludzie z demokratycznej RFN – nie nomenklatura i służby. Zachód nie pojmuje albo jest mu wygodniej udawać, że tego nie rozumie, jakie szkody wyrządził brak dekomunizacji i sensownej lustracji. Nasza reforma sądownictwa jest konsekwencją właśnie tego braku rozliczeń, w wymiarze personalnym, systemowym czy instytucjonalnym.

Myśli pan, że to będzie trwała dekomunizacja? Te same ustawy mogą dać furtkę do obsadzenia instytucji „swoimi" ludźmi i odwrócenia reform o 180 stopni.

To jest bardziej pytanie do futurologa. Ja nie przewiduję szybkiej zmiany rządów w Polsce, choć w polityce nic nie jest pewne i trzeba przede wszystkim ciężko pracować oraz zachować pokorę. Jednak jesteśmy chyba jedynym rządem, który wywiązuje się ze swoich zobowiązań i ma dobry kontakt ze społeczeństwem. Władzę zdobyliśmy dzięki poparciu zwykłych ludzi, bez zaplecza instytucjonalnego, medialnego, finansowego i zagranicznego, które mieli Platforma oraz jej akolici. Myślę, że to będzie procentować.

W Parlamencie Europejskim upadł projekt Komisji Europejskiej zmierzający do regulacji praw autorskich, zwany potocznie ACTA 2. Rządowi dostało się za niejednoznaczną postawę w sprawie opłaty za linki – również ze strony środowisk prawicowych.

Zacznijmy od istoty problemu – w Unii od dawna mamy do czynienia z deficytem demokracji, który objawia się przede wszystkim właśnie w funkcjonowaniu Komisji Europejskiej. Ci urzędnicy i eksperci chcieli stworzyć wątpliwe prawo dla reszty kontynentu, nie mając żadnego

eprasa.pl 59fff9dc19

bezpośredniego mandatu od wyborców, często ulegając za to lobbystom. Dyrektywa KE o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym jest tego przykładem. Nie zgadzam się jednak z krytyką wobec ministerstwa, którą formułowali również panowie Karnowscy, bo nie wszyscy chyba dobrze rozumieją, że projekt, który my warunkowo poparliśmy, autorstwa Rady Europejskiej, jest inny i nie ma wielu kontrowersyjnych zapisów Komisji. Nikomu nie udzieliliśmy jednak bezwarunkowego poparcia. Jeśli okaże się, że zagrożenia dla wolności w Internecie będą wyraźne, wtedy mu się także sprzeciwimy.

Mimo tego padają opinie, że rząd gra na rzecz interesów niemieckich koncernów medialnych.

To po prostu kłamstwo. Rząd się nikomu nie podporządkował i dba tylko o interes Polaków. Niestety, w zbiurokratyzowanej Unii różne warianty dyrektyw funkcjonują równolegle, pogłębiając chaos informacyjny, któremu niekiedy ulegają dziennikarze upraszczający rzeczywistość. My żadnego „podatku od linków" nigdy nie poprzemy, nie zostaną zagrożone wolnościowe serwisy internetowe, w tym prawicowe oczywiście. Kilka razy ostrzegano mnie już, że jeżeli nie poprę projektu Komisji, to pewne media się za mnie wezmą. I to niekoniecznie tylko w tej kwestii…

Ktoś się chyba Boga nie boi.

Mówię ogólnie, nie wskazując na osoby ani tytuły, bo nie chcę zadrażniać sytuacji, musimy być odpowiedzialni. Nie damy się jednak zaszantażować. Może to normalne, że politycy poddawani są podobnej presji, ale ja się nie ugnę i będę działać zgodnie ze swoim sumieniem oraz stanowiskiem wynegocjowanym w naszym ugrupowaniu politycznym. Nawet jeśli wolność w Internecie może nieść pewne zagrożenia, stoimy na stanowisku innym niż Wielki Inkwizytor w „Braciach Karamazow". Czasami lepiej mieć więcej własnej swobody, niż oddawać ją na rzecz zewnętrznych instytucji. Pisał o tym również Alexis de Tocqueville, mówiąc o samej istocie demokracji. Nam w Polsce, tak doświadczonej rządami dyktatorów i systemami totalitarnymi, podobne ciągoty raczej jednak nie grożą.

Profesor Andrzej Friszke by się z panem nie zgodził. Całkiem niedawno nazwał obecny system rządów „quasi-faszystowskim". A skoro tak, to musi być „quasi-dyktator" – Jarosław Kaczyński.

Cóż, jeśli ktoś stawia podobne tezy, to myślę, że mamy do czynienia z – używając parlamentarnych słów – wzmożeniem psychiatrycznym. Takie opinie nadają się w zasadzie tylko do leczenia, natomiast trudno z nimi polemizować, ponieważ są absurdalne. Z przykrością obserwuję zmiany emocjonalne u wielu osób o podobnych koneksjach towarzyskich co prof. Friszke.

Przecież jednak nawet Mick Jagger podczas koncertu Rolling Stones w Warszawie „odpowiada na apel Lecha Wałęsy", mówiąc o wieku emerytalnym sędziów.

Ja bym się tym nie przejmował – nie powinno się wymagać od artystów zajmowania stanowiska w sprawach, na których się po prostu nie znają. Z całym szacunkiem – ani lider Rolling Stones, ani Lech Wałęsa nie są dzisiaj osobami, które istotnie wpływają na bieg życia publicznego w naszym kraju. A gdyby Mick Jagger znalazł chwilę czasu, to polski minister kultury mógłby mu wytłumaczyć, że w sporze o reformę polskich sądów Lech Wałęsa stoi teraz po stronie tych, którzy pałowali polskich studentów przed Salą Kongresową w 1967 r.

Wałęsa obrońcą komuny? Nie za ostro?

Chcę powiedzieć jasno, to bohater polskiej historii, niezależnie od jego oczywistych uwikłań esbeckich. Jednak to także wielki szkodnik historii, którego dzisiaj mało kto bierze na poważnie. To smutne i przykre. W ogóle nie lubię na ten temat rozmawiać. Moim zdaniem Lech Wałęsa to dzisiaj postać kultury popularnej i tyle. Nie ma co się nad nim pastwić. A im częściej występuje po stronie „totalnych", tym więcej im sprawia kłopotu.

Spodziewał się pan „wstrząsów wtórnych", które nastąpiły w relacjach polsko-izraelskich po publikacji w mediach oświadczenia premierów Morawieckiego i Netanjahu?

Niestety, można się było spodziewać, że tak zareagują ci szaleńcy, którym zależy na zakłamywaniu historii. Z drugiej strony może inaczej się nie dało? To jest moim zdaniem oświadczenie epokowe, od którego nie ma już odwrotu, bo wreszcie powiedziano na głos, że obok antysemityzmu istnieje również antypolonizm. Ostrą reakcję m.in. instytutu Yad Vashem czytałbym jednak także w kontekście wewnętrznych rozgrywek partyjnych i politycznych w Izraelu. Wiadomo przecież, że Beniamin Netanjahu to prawica, a Szewach Weiss, któremu, zdaje się, ostatnio jakiś kiks się przytrafił, był związany z lewicą.

Rozumiem, że odnosi się pan do wypowiedzi Weissa, który skrytykował porozumienie i miał stwierdzić, że „rząd RP na uchodźstwie uczestniczył w mordowaniu Żydów".

Niestety co najmniej niefortunna wypowiedź, ale być może nie znam jej prawdziwego kontekstu.

Wracając do publikacji wspólnego oświadczenia w zagranicznych mediach. Dlaczego zostało one opłacone z pieniędzy Fundacji PKO, a nie ze środków Polskiej Fundacji Narodowej?

PFN też zaangażowała się w upublicznianie oświadczenia. Z tego co wiem, decydowały tu względy organizacyjno-komercyjne. PKO ma stałą umowę, która powodowała, że ogłoszenia można było wykupić szybciej i taniej. Myślę, że to jednak mniej istotne, kto zapłacił, ale istotne, iż świat dowiedział się o wspólnym głosie premierów. Tylko wariaci i ludzie, którzy nienawidzą Polski, mogą je krytykować.

Mam wrażenie, że część krytyki nie dotyczy jego treści, ale faktu publikacji bez konsultowania z izraelską stroną negocjacji, która wydawała się zaskoczona, a ruch Polski odebrała jako „manifestacyjne celebrowanie sukcesu". Nie zabrakło zimnej krwi?

Nie sądzę. Jak mielibyśmy się nie cieszyć z tego ogromnego sukcesu w relacjach polsko-izraelskich. Mam nadzieję, że wszyscy ludzie dobrej woli w Izraelu też są z niego dumni, a „ludzi dobrej woli jest więcej".

Przy okazji – znamy już nową obsadę kierownictwa Polskiej Fundacji Narodowej. Z funkcją wiceprezesa żegna się Maciej Świrski, jego miejsce zajmuje dotychczasowy prezes Cezary Jurkiewicz, z kolei stery PFN przejmuje Filip Rdesiński. Powiało optymizmem?

Mam nadzieję, że te zmiany będą dobre dla fundacji.

Taki skromny komentarz?

A jaki ma być inny? To element kontynuacji działań PFN, ponieważ dotychczasowy prezes pozostał w zarządzie, a Maciej Świrski – według mojej wiedzy – pozostaje jej pracownikiem.

Wielokrotnie stawał pan w mediach w obronie Świrskiego i dotychczasowego dorobku fundacji. Może jego odwołanie to przyznanie się do błędu?

eprasa.pl 59fff9dc19

Nie doszukiwałbym się tutaj żadnej sensacji. Wraz ze zmianami oczekiwań wobec PFN może również nastąpić zmiana personalna, co dzieje się w wielu instytucjach, które doświadczają czarnego PR. Czasami trudno z tym walczyć i trzeba cofnąć się o krok.

Polska Fundacja Narodowa pana zdaniem „przegrała z hejtem"?

Nie wiem, czy przegrała. Bywa, że trzeba dokonywać zmian, aby przyczyniły się one bardziej racjonalnej działalności danego gremium. W przypadku PFN zdecydowano, że będzie ona działała lepiej bez dotychczasowego obciążenia wizerunkowego. Obojętnie co Maciej Świrski by zrobił, media i tak sformatują to w sposób negatywny. To wobec niego po ludzku niesprawiedliwe, ale trudno kopać się z koniem. W polityce też następuje czasami konieczność nowego otwarcia.

Opozycja już wytyka jednak Filipowi Rdesińskiemu, że kandydował z list PiS do Sejmu, działał w prawicowych mediach, a jako prezes Radia Poznań miał przyczynić się do zwolnienia dziennikarzy ze względów politycznych. Będzie powtórka z rozrywki?

Nie interesują mnie takie absurdalne oskarżenia. Jeżeli oni liczyli, że na prezesa PFN będzie powołany Cezary Tomczyk, to faktycznie się pomylili. Pan Rdesiński zasługuje na kredyt zaufania, bo „po owocach ich poznacie".

„Niestety, nasz przeciwnik to nie jest normalna opozycja. Proszę zwrócić uwagę: w Hiszpanii ludzie, którzy wzywali do buntu przeciw demokratycznemu rządowi, siedzą w więzieniu z perspektywą kilkunastoletnich wyroków" – powiedział Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Sieci". Ciśnie się na usta, aby dopowiedzieć: „U nas też powinni". Uzupełniłby pan tę myśl?

No właśnie wręcz przeciwnie. W Polsce opozycja nie powinna siedzieć w więzieniu. Mam nadzieję, że tego unikniemy. Tyle że opozycja, korzystając z tolerancji naszej demokracji, pozwala sobie na działania antypaństwowe. I pewnie bardzo chciałaby umierać na pluszowych krzyżach… My mamy jednak mocne nerwy i poparcie społeczeństwa i nie musimy na szczęście spełniać tych „oczekiwań". Zwracamy jednak uwagę, że ktoś igra z ogniem. Niszczy polską demokrację. Jak sądzę, to miał na myśli prezes Prawa i Sprawiedliwości. W Hiszpanii za takie czyny grożą wysokie wyroki, a protestujący na ulicy są brutalnie pacyfikowani, w Polsce – nie, choć przedstawia się nas w roli gwałciciela demokracji i opresora. To PO za swoich rządów strzelała gumowymi kulami do górników, zatrzymywała dziennikarzy i napadała na redakcje. A obecna władza, mimo ciągłych prowokacji, nie daje się sprowokować. Mimo awantur, obstrukcji, donosów na Polskę za granicą, kłamstw i manipulacji medialnych. To jest najgorsze, co może dzisiaj Polskę spotkać – niszczenie tkanki i kultury demokratycznej. Bo co? Ta druga strona myśli, że jeśli wygra wybory, to przegrany podporządkuje się zasadom, których sama teraz nie respektuje? To jest początek spirali śmierci. Komu na tym zależy, żeby niszczyć polską demokrację? Przegrali wybory, ktoś inny steruje łódką, a oni wybijają siekierami dziury w zęzie, żebyśmy wszyscy poszli na dno. Pytam powtórnie: Komu zależy na tym, żeby Polska poszła na dno? Na szczęście udaje nam się w porę powstrzymywać tę katastrofę. I niech nikt nawet przez moment nie myśli, że będzie inaczej.

Przegrali wybory, ktoś inny steruje łódką, a oni wybijają siekierami dziury, żebyśmy wszyscy poszli na dno

Obiecałem, że będzie też o kulturze. 20 czerwca podpisał pan umowę z fundacją Lux Veritatis, która gwarantuje jej 70 mln zł z budżetu państwa na budowę muzeum Jana Pawła II. Opozycja twierdzi, że rząd spłaca polityczny dług wobec o. Tadeusza Rydzyka.

Panie redaktorze, prostuję po raz enty: to nie są pieniądze dla jakiejkolwiek fundacji. To wkład publiczny do inwestycji, która jest tworzona wspólnie przez resort i fundację Lux Veritatis (fundacja wnosi grunty, projekt i zbiory – o wartości ponad 100 mln zł). A więc będzie to muzeum „państwowo-prywatne", podobnie jak budowane obecnie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku i wiele innych. Tak, to kolejne muzeum Jana Pawła II. Chyba drugie albo trzecie mu poświęcone. A jaka liczba tego typu muzeów w Polsce jest wystarczająca? Kiedy jest ich za dużo, kiedy za mało? Umie pan powiedzieć? Bo ja nie. Moim zdaniem im więcej muzeów poświęconych temu największemu – według badań opinii społecznej – z Polaków, tym lepiej. Nie będę się natomiast odnosił do jakichś insynuacji o „spłacaniu długów".

A może jednak?

Moglibyśmy zacząć spekulować, jakie długi i komu spłacali nasi poprzednicy, np. likwidując polskie stocznie albo budując za pół miliarda wspomniane Muzeum II Wojny Światowej, w którym powstanie warszawskie było prezentowane jako jedno z kilku powstań europejskich, takich jak paryskie, słowackie czy praskie… A AK liczyła tylu samo członków co francuski Résistance.

Muzeum w Toruniu to będzie muzeum historii Polski opowiedzianej poprzez aksjologię Jana Pawła II. Będzie tam również wyjątkowa ekspozycja dokumentów i świadectw na temat relacji polsko-żydowskich z czasów wojny. To ponad 40 tys. unikatowych notacji, zbieranych przez ośrodek toruński od 1996 r. Moim zdaniem to uzasadniony powód, aby taka instytucja powstała pod auspicjami państwa. Jeśli inny rząd uzna kiedyś, że nie spełnia ona swojej misji, i będzie miał ku temu argumenty, to będzie mógł ją zamknąć. Tak funkcjonuje demokracja. Poza tym to jedna z ponad 30 nowych instytucji, które stworzyliśmy przez ostatnie 2,5 roku w ministerstwie. Naprawdę dużo się u nas dzieje, mamy bardzo wiele do nadrobienia, bo było zbyt wiele niezrozumiałych zaniechań i białych plam pozostałych po naszych poprzednikach.

Działa pan w resorcie jak Kazimierz Odnowiciel.

Powtórki z historii pachną farsą (śmiech). My po prostu spełniamy swój obowiązek wobec polskiej wspólnoty.

Od razu farsą. Pana dystans do siebie jest już legendarny.

A wie pan, ja uważam, że mam do siebie dystans. Natomiast Polska to rzecz poważna i faktycznie czasami może zbyt nerwowo reaguję, pewnie niepotrzebnie, na niekompetencję, złą wolę albo „jazdę na gapę" niektórych, tzw. prawicowych dziennikarzy i wydawców. Stąd pewnie zszargana opinia (śmiech).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Piotr Semka

To koniec suspensy ks. Lemańskiego, który atakuje polityków PiS oraz wchodzi w ostre konflikty ze swoimi przełożonymi. Kara zostaje zdjęta, mimo że kapłan staje się coraz bardziej ordynarny

Bez suspensy i bez pokory

Komunikat biura prasowego diecezji warszawsko-praskiej wydany 11 lipca br. był lakoniczny: „Ks. Wojciech Lemański zwrócił się z prośbą o skierowanie go do pracy duszpasterskiej poza diecezją warszawsko-praską. Wolę przyjęcia go na czas próby do archidiecezji łódzkiej wyraził ks. abp Grzegorz Ryś. W związku z powyższym ks. bp Romuald Kamiński postanowił o zawieszeniu do odwołania zastosowania kary suspensy nałożonej na ks. Wojciecha Lemańskiego na terenie archidiecezji łódzkiej. Ksiądz Lemański od dnia 11 lipca 2018 r. znajduje się pod jurysdykcją ks. abp. Grzegorza Rysia i na terenie archidiecezji łódzkiej może sprawować posługi duszpasterskie". Komunikat podkreślał, że „podjęte rozwiązanie stanowi próbę i szansę dla ks. Wojciecha Lemańskiego, aby w nowych okolicznościach pastoralnych powrócić do pełnej posługi kapłańskiej".

W wypowiedzi dla PAP bp Romuald Kamiński skomentował swoją decyzję. „Trzeba próbować ludzi ratować, wykorzystać wszystkie możliwości pomocy. Tak jak się człowieka leczy – i tym, i tamtym, i do sanatorium (się go wysyła), i do szpitala. Matka jak ma dziecko chore, to też zachodzi w głowę, jak mu pomóc na różne sposoby. Więc i ja nie mogłem nic nie robić" – stwierdził bp Kamiński. Zaznaczył, że od tej chwili ks. Lemańskiego „bierze w opiekę" metropolita łódzki.

Niewiele więcej można było dowiedzieć się od abp. Grzegorza Rysia. Metropolita łódzki zaznaczył, że jeśli chodzi o zadania ks. Lemańskiego w archidiecezji łódzkiej, to „na ten moment ogólna informacja wystarczy". – Szczegóły są jeszcze wypracowywane w porozumieniu z ks. Lemańskim – dodał.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Informacja o zawieszeniu suspensy dla ks. Lemańskiego zaskoczyła wielu ludzi Kościoła. Jednak niewielu zabrało głos publicznie. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski zwrócił uwagę, że w nowej sytuacji bynajmniej nie ustał agresywny styl wypowiedzi ks. Lemańskiego. 11 lipca o godz. 22.05, czyli u schyłku dnia, w którym bp Kamiński ogłosił zawieszenie suspensy, ks. Lemański pisał na Facebooku tak: „Biedna ta nasza para prezydencka. Póki milczą, to jeszcze jako tako. Czasem tylko jakieś tam nocne kontakty męża z nomen omen »ruchadełkiem«. Czasem wygibasy małżonki przed sekretarzem KEP [Konferencja Episkopatu Polski – przyp. P.S.] w Balicach. On bardzo lubi występować i plecie czasem bardziej, to znów mniej do sensu. Ona zazwyczaj milczy i uśmiecha się. [...] Oboje dobrze wiedzą, jaką wyznaczono im rolę – nic od nich nie zależy. On ma podpisywać, ona może mu w tym asystować. Wizyta w USA nie wyszła. Wybrali się więc do amerykańskiej enklawy na ziemi polskiej – do KFC. A tu proszę bardzo, suweren ośmielił się zadać pytanie. I co? I strach w oczach, i konsternacja, i kompromitacja, i rejterada".

Ksiądz Isakowicz-Zaleski pisał na Twitterze: „Pytanie do biskupów ordynariuszy @ArchLodz i @Diecezja_DWP, czy ks. WL przed ponownym podjęciem posługi przeprosi tych, zwłaszcza kobiety, których znieważył? Czy zerwie konszachty z KOD i GW? Czy wobec prawa kanonicznego będzie równy czy „równiejszy"?

Do wątpliwości ks. Isakowicza-Zaleskiego nikt z hierarchów się nie odniósł. Przebywający na urlopie rzecznik prasowy diecezji warszawsko-praskiej Mateusz Dzieduszycki odsyła jedynie do zwięzłego tekstu komunikatu kurii.

„SPOKORNIEĆ? NIE MA TAKIEGO TEMATU"

Dzieje ks. Lemańskiego to przykład spirali konfliktu, w której kapłan o niełatwym charakterze wszedł w konflikt ze swoim zwierzchnikiem abp. Henrykiem Hoserem. Spór nakręcany dodatkowo przez media krytyczne wobec Kościoła, takie jak Radio TOK FM czy „Gazeta Wyborcza".

Zachęcany z różnych stron do nieustępliwości wojowniczy kapłan został w końcu zsuspendowany 22 sierpnia 2014 r. przez abp. Hosera, co oznaczało m.in. zakaz odprawiania mszy czy spowiedzi. Odwołania ks. Lemańskiego do Watykanu zostały odrzucone.

Co się działo z byłym proboszczem z Jasienicy po nałożeniu kary? Kapłan starał się być wciąż jak najbardziej widoczny. Już w maju 2015 r. pokazał się w stroju liturgicznym wśród kapłanów koncelebrujących mszę pogrzebową po śmierci Władysława Bartoszewskiego, choć jedynie asystował przy sprawowaniu liturgii. W grudniu 2015 r. pojawił się na wielkiej demonstracji Komitetu Obrony Demokracji i od tego czasu był już stałym uczestnikiem kolejnych protestów przeciw rządom PiS.

Chętnie przyjmował też zaproszenia na spotkania organizowane przez KOD, m.in. w Koszalinie, Poznaniu czy Dębicy.

Jego wpisy na Facebooku aż buzowały od politycznych emocji. W sierpniu zeszłego roku pisał o Beacie Szydło tak: „Skoro zdecydowała się ta marionetka, która porażkę nazywa zwycięstwem, niedorajdę – geniuszem, tchórza spod Smoleńska

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. PAWEŁ WISNIEWSKI/EAST NEWS

– reformatorem polskiej armii – napluć w twarz tysiącom ludzi, którzy wyszli na ulice w obronie wolnych sądów i powiedzieć, że protestowali za pieniądze i pod czyjeś dyktando, to odpowiadam jej słowami Ludwika Dorna: »łże jak bura suka«".

Ksiądz Lemański przeprosił potem za ten wpis, ale nie obniżyło to stopnia złych emocji. W styczniu tego roku kpił z deklaracji przywiązania do wiary nowego ministra zdrowia. I robił to w stylu godnym tygodnika „Nie": „Już sobie wyobrażam podwyżki dla kapelanów i dotacje na kaplice szpitalne. Różaniec zamiast śniadania. Pielgrzymka wokół szpitala w ramach rehabilitacji. Naturalne porody. Ziołoterapia wspomagana naprotechnologią. Z Białorusi i Ukrainy sprowadzimy »babki szeptuchy«".

Lemański nie zapomniał też zaatakować abp. Hosera. Gdy ten skrytykował formę protestu niepełnosprawnych w Sejmie, Lemański pisał: „To nie jest głos polskiego Kościoła, to tylko głos jednego z biskupów". A jak pokazał obraźliwy wpis wobec głowy państwa z 11 lipca o parze prezydenckiej – poziom agresji ks. Lemańskiego pozostaje taki sam jak przed zawieszeniem suspensy.

O żadnej skrusze nie ma mowy. Dziennikarz Wirtualnej Polski dotarł do kapłana z pytaniem, czy teraz spokornieje. Lemański odpowiedział: „Ja mam spokornieć? Nie ma takiego tematu. Jestem umówiony z łódzkim biskupem, że po prostu wracam do normalnej aktywności kapłańskiej. W jednej z łódzkich parafii będę mógł znów odprawiać msze święte i spowiadać".

Jak pisze portal: „Pierwsza msza święta poprowadzona przez ks. Lemańskiego odbędzie się w połowie sierpnia. Duchowny nie przygotował jeszcze sobie kazania na to wydarzenie. Czeka w domu, aż abp Grzegorz Ryś, ordynariusz diecezji łódzkiej, wskaże parafię, do której się uda".

COŚ POWAŻNIEJSZEGO

Dlaczego abp Ryś zdecydował się na przyjęcie kapłana, który nie tylko nie przeszedł żadnego wyciszenia, żadnej przemiany duchowej, a wręcz na odwrót – staje się coraz bardziej ordynarny i agresywny?

Wśród księży, którym zadałem to pytanie, zgoda panuje tylko co do jednego – że bp Romuald Kamiński z ulgą pozbył się kłopotliwego kapłana.

To, co wzbudziło wśród biskupów niesmak, to fakt, że decyzję ogłoszono tuż po wyjeździe abp. Hosera do Medjugorie w Bośni, gdzie obejmuje funkcję specjalnego wizytatora apostolskiego.

„Takich rzeczy się nie robi, wygląda to jak dawanie księdzu Lemańskiemu okazji do triumfowania nad jednym z najbardziej szanowanych polskich hierarchów" – mówi jeden z członków episkopatu.

Jakie intencje przyświecały abp. Rysiowi przy podejmowaniu decyzji o przyjęciu do swojej diecezji ks. Lemańskiego? Tutaj zdania są podzielone zależnie od postrzegania ambitnego metropolity łódzkiego.

Jedni hierarchowie wskazują, że abp Ryś wykazuje się naiwnością, licząc na to, że ks. Lemański się zmieni. Jeden z nich mówi: „Arcybiskup łódzki bardzo ryzykuje. Oczywiście można cieszyć się, że kapłan wraca do posługi, ale to zamykanie oczu na niedobre cechy charakteru ks. Lemańskiego. Arcybiskup Ryś już ma problem, bo o ile wiem, żadna z łódzkich parafii go nie chce. Księża doskonale rozumieją, że przyjęcie pod dach plebanii kapłana, który kompletnie „odleciał", to gotowa recepta na jakiś konflikt. A w razie jakiejś awantury niechętne Kościołowi media zawsze wezmą jego stronę i oczernią adwersarza ks. Lemańskiego".

Inni uznają, że abp Ryś, wyciągając dłoń od ks. Lemańskiego, chce przypodobać się liberalnym mediom. Stale współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym" i powoli wyrasta na lidera nurtu „postępowego" w episkopacie. Nie jest tajemnicą, że w kręgu „Więzi" czy „Tygodnika Powszechnego" silne są nadzieje na kardynalski kapelusz dla abp. Rysia jako promotora „rewolucji Franciszka" w polskim Kościele. Arcybiskup Ryś otrzymał paliusz w tym samym czasie, gdy nominację kardynalską w Watykanie otrzymał kard. Konrad Krajewski.

Koincydencję tę tłumaczono jako wyraźną demonstrację – awans w Rzymie dla Polaka rezonującego w linię nowego papieża z jednoczesnym ukłonem dla reprezentanta tej linii w polskim episkopacie.

Tacy promotorzy „Kościoła otwartego" jak Jarosław Mikołajewski na łamach „Gazety Wyborczej" już sugerują, że zawieszenie suspensy dla ks. Lemańskiego to wynik dyskretnej interwencji Watykanu i samego Franciszka.

Jeszcze dalej idzie Jarosław Makowski, inny publicystyczny sufler postępu w Kościele polskim. Wprost ogłasza on powstanie czwórprzymierza hierarchów na linii Polska – Watykan, jak pisze „na rzecz wygnania PiS z Kościoła".

Makowski chwaląc ostanie wypowiedzi abp. Muszyńskiego na temat ksenofobii, pisze: „Przekonania, jakie dziś publicznie głosi abp Henryk Muszyński, wspierają linię, jaką w polskim Kościele reprezentuje obecny prymas i metropolita gnieźniki abp Wojciech Polak, metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś czy nominowany ostatnio przez Franciszka kardynałem papieski jałmużnik Konrad Krajewski. [...] Jest to w końcu wizja Kościoła, który większą radość czerpie z okazywania miłosierdzia niż rzucania potępień, Kościoła, który buduje mosty, a nie mury". Tekst Makowskiego pozwala przewidywać, jak przedstawiane będzie przybycie ks. Lemańskiego do archidiecezji łódzkiej.

Tak zwyczajnie, po ludzku, wielu księży mówi, że chciałoby wierzyć, iż abp Ryś skłoni ks. Lemańskiego do wyciszenia i skupienia się na posłudze duszpasterskiej. Niewiele jest jednak przesłanek, by móc stwierdzić, że są na to jakieś wyraźne widoki.

Dla wielu członków polskiego episkopatu sprawa byłego proboszcza z Jasienicy to przykład rozregulowania hierarchii w Kościele polskim. Oficjalnie jednak biskupi milczą. Sprawa formalnie dotyczy tylko dwóch biskupów i dwóch diecezji. Wszyscy jednak wiedzą, że chodzi o coś znacznie poważniejszego. Pozostają złe przeczucia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. WOJCIECH BARCZYŃSKI/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

Kończy się efekt świeżości PiS, a liczba kryzysów narasta

Kulminacja kryzysów

Swego czasu używaliśmy określenia kumulacji kryzysów wobec Unii Europejskiej, na którą zwaliły się mniej więcej w tym samym czasie skutki działań i decyzji podejmowanych wcześniej w różnych okresach, każda z osobna. Kryzys strefy euro, kryzys migracyjny, kryzys przywództwa itd. Istota kumulacji polegała i polega na tym, że żaden z kryzysów nie znajduje rozwiązania, tylko jest po prostu „przykrywany" kolejnym kryzysem.

Podobnie zaczyna wyglądać sytuacja dobrej zmiany. Kryzysy nie mijają, tylko schodzą z pierwszych stron gazet i czołówek dzienników albo po jakimś czasie przestają na ludziach robić wrażenie, bo nie ma opozycji, która umiałaby je w mądry sposób pokazać, objaśnić wyborcom i zaproponować dającą się poważnie traktować alternatywę. To zresztą zarazem największe szczęście PiS i jego największe przekleństwo. Każdy kolejny wygłup PO i Nowoczesnej, tak jak „równoległe" obchody 550-lecia parlamentaryzmu, każde „przegrzanie" najbardziej nawet uzasadnionych wątpliwości co do działań władzy histeryczną retoryką, tak jak w wypadku Sądu Najwyższego, umacniają PiS w poczuciu, że „nie ma z kim przegrać". Tym samym, które uczyniło z poprzedników partię niewybieralną do dziś.

@

Po ponad dwóch latach rządów formacji Jarosława Kaczyńskiego kończy się efekt świeżości, wyczerpuje się kredyt zaufania i przestaje działać argument, że „przez osiem ostatnich lat…". A tymczasem państwo jak było z dykty, tak dalej jest. Nadal pozostaje ową „kamieni kupą", jak kiedyś diagnozował je w tych słowach Bartłomiej Sienkiewicz. Można by obrazowo rzec, że zamiast z kupy kamieni coś sensownego zbudować, a przynajmniej próbować, PiS zadowolił się tylko jej „odzyskaniem".

Przykład z ostatnich tygodni: nagle okazało się, że na mocy decyzji podjętych w latach 2011–2014 tajemnicza spółka postawiła, prawie już „pod klucz", gargamelowate, ogromne zamczysko w chronionej unijną Naturą 2000 Puszczy Noteckiej. Ta budowla, sposób, w jaki do niej dopuszczono, byłaby fantastycznym prezentem i argumentem dla PiS rok, dwa lata temu, jako podobny do sprawy Amber Gold przykład „bantustanizacji" Polski pod rządami PO-PSL. Szczególnie przydatnym w sprawie Puszczy Białowieskiej, bo rujnowanie przyrody odbyło się tu rękami tych samych antypisowskich „ekologów", którzy używali wycinki zarażonych drzew do ściągania na Polskę i jej rząd sankcji Unii Europejskiej.

Jednak sprawa wyszła na jaw dopiero teraz. W jaki sposób? Ktoś wrzucił do sieci zdjęcie lotnicze z ogólnodostępnej bazy, ktoś zwrócił na nie uwagę, rzecz stała się głośna w mediach społecznościowych, z których przeskoczyła do tradycyjnych, i wtedy dopiero dowiedziała się o niej władza. Sprawa, wydawałoby się, stworzona dla siły politycznej szermującej hasłami oczyszczenia Polski z patologii i układów, budowy „silnego państwa" umknęła jej podobnie jak swego czasu sprawa warszawskiej reprywatyzacji – ujawniona

eprasa.pl 59fff9dc19

wysiłkiem społeczników ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze i podchwycona dopiero po nagłośnieniu przez media.

Podobnie nie zauważył PiS przez dwa lata, że jesteśmy dla całego świata składowiskiem śmieci, że zwozi się je do nas w gargantuicznych ilościach nie tylko z Niemiec i innych krajów Europy, lecz także nawet z Nigerii i z australijskich antypodów (!) – a potem płoną one przy kompletnej bezradności państwa, które za taki pożar może „właściciela" śmietniska, przeważnie tzw. słupa, „ukarać" grzywną w kwocie kilku tysięcy złotych.

Dopiero fala medialnych doniesień o kolejnych, sezonowych pożarach wysypisk i o śmieciowej mafii prosperującej dzięki przepisom, które miały problem rozwiązać, a wręcz wepchnęły gminy do symbiozy z przestępcami, zaowocowała obietnicą „zajęcia się sprawą". Zajęcie się sprawą miało polegać na przyjęciu w tempie ekspresowym „ustawy śmieciowej" – tyle że zapowiedź ta okazała się jedynie wybiegiem, by bez przedwczesnego ujawnienia sprawy zwołać nadzwyczajne posiedzenie Sejmu dla szybkiego „klepnięcia" kapitulacji kończącej wojnę z Izraelem o ustawę o IPN. „Ustawa śmieciowa" nie wyszła nawet z komisji – i na mocy wyżej opisanego mechanizmu o sprawie zapomniano, zapewne do przyszłorocznego sezonu pożarów.

@

Zarówno sama idea „ustawy śmieciowej", jak i wspomniana nowelizacja nowelizacji (w dziewięć godzin od zgłoszenia projektu do podpisu prezydenta!) dowodzą, że PiS wszedł w buty poprzedników. Tusk działał tak samo: dopóki mógł, dopóty problemu nie zauważał, a kiedy zauważyć musiał, otrąbiał „specustawę" albo legislacyjny czy kompetencyjny „by-pass". Z tym że „nicnierobienie" było w przypadku Tuska świadomym wyborem, strategią dotrwania z nieuszczuploną popularnością do wymarzonego momentu przeskoczenia na któryś z unijnych tronów. W przypadku PiS to zaś indolencja.

Przede wszystkim zbiera swe żniwo polityka kadrowa. Jeśli podstawową cnotą PiS-owca jest zaufanie Komendanta, a zaufanie zdobywa się przez posłuszeństwo i niewzbudzanie podejrzeń o nielojalność, to siłą rzeczy zdominowany jest on przez ludzi pozbawionych inicjatywy, czekających biernie na polecenia, wręcz z zasady niewystępujących z niczym samemu, bo taki od razu podpada, że coś kombinuje. Żeby taką kadrą zmieniać państwo, Komendant musiałby być mitycznym Argusem o stu wiecznie otwartych oczach, pilnie śledzących każdy skrawek polskiej prowincji i polskiego życia publicznego. A mózg mieć poszerzony o komputer co najmniej klasy „deep blue". Tymczasem – czy to aby nie brzmi już jak herezja? – Jarosław Kaczyński jest tylko człowiekiem, ukształtowanym w innych czasach, omylnym, a na dodatek coraz starszym i od czasu do czasu chorującym. Co się dzieje z PiS w takich momentach, gdy nagle ustaje jego kontrola, choćby tylko na chwilę, już widzieliśmy.

Nawet zresztą gdyby Komendant miał owych sto argusowych oczu, to i tak co najmniej połowę z nich musiałby kierować nie na śmietniska czy prywatne zamczyska, tylko na swoich podwładnych. Bo choć należycie wytresowani, wierni, posłuszni i nieknujący spisków (poza niezbędną prezesowi do trzymania ich w równowadze frakcyjną wojenką), przysparzają niestety zmartwień, samowolnie wypłacając sobie za tę wierność dywidendę ze środków publicznych. A to jakieś nagrody, a to „boki" w różnych spółkach… Komendant, który jest człowiekiem po inteligencku gardzącym dostatkiem i całe życie poświęcił Sprawie, nie rozumie tego, wścieka się i chłoszcze ich po całości, na oślep, a to zmuszając do obniżenia diet poselskich i zarobków samorządowców, a to zapowiadając usuwanie z list wyborczych tych, którzy zasiadają w spółkach. W tym miotaniu się naprawdę zaczyna przypominać późnego Piłsudskiego, przerzucającego po newralgicznych stanowiskach kilku najwierniejszych „legunów", co do których talentów dawno stracił złudzenia, prywatnie beształ ich brutalnie, że nic nie rozumieją, wciąż musi myśleć za nich i wszystko pokazywać palcem – ale z braku innych ich właśnie pozostawił na czele państwa, na jego zgubę.

„Do polityki nie idzie się dla pieniędzy!" – powtarza rozgoryczony cwaniaczeniem swoich PiS-owców Komendant i nikt nie ma odwagi powiedzieć mu, że jeśli tak, to znaczy, iż polityka jest tylko dla ludzi bogatych z domu lub mocno podstarzałych, którzy już się w życiu dorobili, dzieci im dorosły, potrzeby zmalały i mogą się nią pobawić na zasadzie hobby.

Jednak jeśli PiS chciał – a tak deklarowano – zbudować „nowe elity", to już teraz można ogłosić klapę tego projektu. Nowe elity mógłby stworzyć tylko nowy system, promujący – także awansem materialnym – najlepszych i najzdolniejszych. Nie zmieniając sposobu funkcjonowania państwa, a tylko je „odzyskując", i na dodatek od czasu do czasu miotając gromy na zarabiających za dużo, może władza ściągnąć pod swe sztandary tylko nieudaczników, którzy na jakąkolwiek lepiej płatną pracę się nie łapią.

@

I to jest najgorszy z kryzysów dobrej zmiany – gorszy od żenującej, godnościowej hurraofensywy z ustawą antydefamacyjną, i tak dobrze, że zakończonej kapitulacją (nie miejmy złudzeń, że coś nagle obudziło zdrowy rozsądek – po prostu Amerykanie kazali), gorszy niż zastąpienie reformy sądów czystką, gorszy od potencjalnych bomb, na których może PiS wylecieć w powietrze, tak jak spadek inwestycji czy niekontrolowany zalew imigrantów przy jednocześnie wciąż niepowstrzymanej emigracji młodych Polaków. A zarazem będący ich przyczyną – kryzys personalny. PiS zwyczajnie nie ma kim napisać dobrej ustawy, a jeśli coś się dzieje, to musi zdjąć siły z jednego odcinka i rzucić je na drugi, zagrożony. To skazuje władzę na miotanie się.

I jest jeszcze coś, o czym nie napiszę wiele, bo dziennikarz zawsze wie więcej, niż może udowodnić przed sądem, ale co potencjalnie jest w skutkach najgroźniejsze. Nazwijmy to „kryzysem moralnym". Pękaliśmy ze śmiechu, gdy ministrowie PO-PSL sponsorowali w zaprzyjaźnionych mediach wywiady z samymi sobą lub kupowali kampanie reklamujące świeże powietrze w lesie, prawda? Zanosiliśmy się oburzeniem, gdy minister Bieńkowska mówiła, że za sześć tysięcy to pracuje tylko złodziej albo idiota? Zacieraliśmy ręce, gdy propagandystę tamtej władzy podwładne oskarżały o wykorzystywanie seksualne? I co, nadal pękamy, zanosimy się i zacieramy?

I nic nam to nie przeszkadza wypisywać jednocześnie lizusowskie bzdety o „wiekopomnym zwycięstwie", za które premier Morawiecki powinien dostać na spółkę z premierem Netanjahu pokojowego Nobla albo demaskować wytykających władzy jej kolejne „fakapy" jako „putinowską agenturę, która ujada, nie mogąc znieść sukcesów" jedynej siły prawdziwie patriotycznej?

Tutaj, pozwolą państwo, skończę, bo mnie zemdliło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Andrzej Krzystyniak

Regionaliści wciąż noszą na sztandarach mit o rzekomym okradaniu Śląska przez Warszawę. A naprawdę to oni mogą Śląskowi zaszkodzić

Zabawa w

Dla uważnego obserwatora to, co dzieje się obecnie na Śląsku w sferze publicznej, przypomina spójne i skoordynowane działanie kilku środowisk. Z jednej strony przedstawiają świetlaną przyszłość, z drugiej pragną wskrzesić przeszłość, co miałoby ich zdaniem być receptą na wszystkie problemy. A jedyną – ich zdaniem – drogą, jaką powinien kroczyć Śląsk, to odseparowanie się od reszty kraju, od mitycznej Warszawy. Pod takim hasłem przemaszerowało niedawno ulicami Katowic kilkaset osób w ramach tzw. Marszu Autonomii organizowanego przez Ruch Autonomii Śląska.

ZŁE, BO POLSKIE

Od kilkunastu lat organizacja pod nazwą Ruch Autonomii Śląska uwija się niczym w ukropie, by udowodnić, że wszystko to, co złego spotkało Śląsk i Ślązaków, pochodzi z Polski. Powstania śląskie to wojna domowa. Z kolei początek wojny na Śląsku to styczeń 1945 r. Z przekazu RAŚ można by wywnioskować, że gdyby nie Polska, to Śląsk byłby dziś silnym gospodarczo superregionem. W ich przekazie Polska, która zniszczyła „wielokulturowość" Śląska, wydrenowała go gospodarczo, nadal utrzymuje swą quasi-okupacyjną politykę.

Powstała niedawno Śląska Partia Regionalna, której główny trzon nadaje RAŚ, wydaje się nie zauważać, że Śląsk i przywrócenie przedwojennej autonomii, a także „odcięcie od Warszawy" nie zlikwidują problemów Śląska. Ciągły resentyment do niemieckości z jednoczesnym odrzucaniem wszystkiego co polskie nie doprowadzą do wspólnego dialogu z kimkolwiek, a wręcz przeciwnie – będą źródłem konfliktu.

W tym, co głoszą regionaliści, jest zarazem wiele sprzeczności. Bo jeśli to Polska jest winna wszystkich nieszczęść, jakie spadły na Śląsk, to dlaczego żądają przywrócenia przedwojennej autonomii ustanowionej przez Polskę właśnie? Ciągłe udowadnianie rzekomego faktu, że „Śląsk to nie Polska", a „śląska historia różni się od polskiej", nie przyniesie Śląskowi rozwoju gospodarczego. Nie sprawi także tego, aby młodzi ludzie przestali stąd uciekać, a miasta zamiast się wyludniać – tętniły życiem. Śląsk jest polski, należy do Polski i nic tego nie zmieni, a wielkim nieszczęściem dla Śląska i Ślązaków są osoby podgrzewające historyczny spór o przynależność Śląska.

POLITYKA NA SCENIE

Na inauguracyjnej konwencji Śląskiej Partii Regionalnej pokazano monodram „Mianujom mie Hanka", opowiadający dzieje Śląska z perspektywy Ślązaczki. Monodram z jednym kluczowym przesłaniem: Polska nie rozumie Śląska, a polska historia nie ma nic wspólnego ze Śląskiem. Organizatorzy konwencji, rozpoczynając od tego, dali jasny sygnał, jaki będzie ideowy szlak ŚPR.

Jednak czy ciągłe odwoływanie się do odrębności Śląska sprawi, że przysłowiowa Warszawa w końcu ugnie się i przyzna Śląskowi autonomię? Uzna rzekomy naród śląski? Mało tego – przeprosi za

eprasa.pl 59fff9dc19

Śląska Partia Regionalna już zarysowała swój ideowy szlak – pokazywanie, że polska historia nie ma nic wspólnego ze Śląskiem

FOT. ARKADIUSZ GOLA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

separatyzm

„czystki etniczne" po 1945 r., wysiedlenia i „polskie obozy koncentracyjne", czego domaga się RAŚ?

Ci, którzy uparcie od kilku lat wskrzeszają upiory przeszłości, zdając sobie zapewne sprawę, że ich żądania są nie tyle absurdalne (tak jak obarczanie Polski winą za zbrodnie komunistów), co niemożliwe do zaakceptowania. Nie prowadzą do niczego poza bezsensownym konfliktem.

Skądinąd dziwne, jak uległe wobec środowisk autonomistów zdają się instytucje państwa polskiego. Uniwersytet Śląski w Katowicach przygotował i zamieścił na swej stronie internetowej kwestionariusz dla kandydatów. Jedną z rubryk do wypełnienia była narodowość – nie można było wybrać „narodowości śląskiej". Śląska Partia Regionalna zareagowała na Facebooku: „Wśród proponowanych pozycji nie ma narodowości śląskiej. Zarząd ŚPR w najbliższych dniach zwróci się do władz uczelni z prośbą o wyjaśnienia". Dzień po tym wpisie ŚPR na swoim profilu poinformowała, że „Kontrowersyjna rubryka z pytaniem o narodowość zniknęła ze strony Uniwersytetu Śląskiego. Administracji uczelni dziękujemy za reakcję".

Śląsk wydaje się dziś miejscem wojny kulturowej. Utrata wpływów państwa polskiego na działalność instytucji naukowych, kulturalnych czy wręcz brak jakiejkolwiek wizji dotyczącej Śląska po 1989 r. jest już nadto widoczna, by bagatelizować problem. Jednak to, co dzieje się na Śląsku, w sposób, można rzec, spektakularny dotyczy całości Ziem Odzyskanych. Powolne kulturowe odcinanie ma miejsce od dawna. O ile na Śląsku trwa nieustanne wszczynanie konfliktu z Polską, o tyle na naszych Ziemiach Zachodnich postępuje depolonizacja.

Kulturowy konflikt Śląska z Polską, który raz na jakiś czas daje o sobie znać, uniemożliwi rzetelny historyczny dialog, przełoży się na stwarzanie wrażenia, iż Ślązacy chcą się oderwać od Polski, a to z kolei nie będzie sprzyjało rozwojowi regionu. Nadto widoczna proniemieckość, która to traktuje z sympatią niemiecki Wehrmacht, a często z nienawiścią powojenne podziemie, Żołnierzy Wyklętych, nie wzbudzi nigdzie sympatii. To, że wiele rodzin na Śląsku miało „dziadka w Wehrmachcie", nie może prowadzić do relatywizowania zbrodniczej niemieckiej armii. A tak się niestety często dzieje. To Niemcy rozpętali wojnę i zniszczyli wielokulturowość Śląska. To w wyniku wojny i zmiany granic po 1945 r. Śląsk utracił autonomię. Niewielu ma odwagę o tym przypomnieć. Chwytliwe hasło autonomii, samostanowienia, regionalizmu, odrębności, stanowi dziś pozornie atrakcyjną ofertę dla przyszłości Śląska, wszystko to jednak można by zawrzeć w dwóch słowach: „Precz z Warszawą".

Mityczne okradanie Śląska przez Warszawę jest dziś z dumą noszone na sztandarach różnej maści „regionalistów" jako główny atut w walce o samookreślenie. Czy podgrzewanie resentymentów, odcinanie kulturowe, wskrzeszanie przeszłości, jest dziwacznym zaklinaniem rzeczywistości, próbą stworzenia podwalin pod oderwanie Śląska od Polski ? Wielu odpowie twierdząco i trudno się z nimi nie zgodzić. Jednak moim zdaniem chodzi o konflikt i zamieszanie, które może doprowadzić tylko do zapóźnienia śląskiej ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Gangsterzy na śmietniku

Wojciech Wybranowski

Co najmniej 23 z 54 tegorocznych pożarów składowisk odpadów wywołane zostały celowym podpaleniem – ustaliła policja. Rząd PO-PSL ułatwił pracę „śmieciowym mafiom”

Pierwsza połowa maja. Kontrolerzy Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Łodzi sprawdzają gigantyczne wysypisko odpadów w Zgierzu. Rok wcześniej uznali, że prowadzone na wynajmowanym terenie przez łódzką firmę Green-Tec Solutions składowisko 15 tys. ton śmieci jest poważnie zagrożone pożarem. Zawiadomili wówczas lokalne władze, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Teraz inspektorzy mają jeszcze dodatkowe sygnały: na górze śmieci mogą znajdować się odpady nielegalnie wwiezione do Polski z zagranicy. Kontrola potwierdza podejrzenia – 400 ton śmieci: opakowania, mieszanina tworzyw sztucznych, odpady materiałów budowlanych, faktycznie nielegalnie trafiło do Polski z Wielkiej Brytanii. Dwa tygodnie po tej kontroli na składowisku wybuchł pożar. Strażacy walczyli z nim kilka dni.

– Firma przez pewien czas miała pozwolenie na wwóz odpadów z zagranicy do Polski, później to pozwolenie straciła, a po pewnym czasie znów je otrzymała. W pożarze spłonęło także kilkaset ton nielegalnie sprowadzonych odpadów, które firma musiałaby na swój koszt zwrócić do krajów, z których przyjechały. Teraz problem znikł – mówi osoba z kręgów śledztwa dotyczącego tej sprawy.

Pożar w Zgierzu to tylko ułamek całej serii zagadkowych pożarów legalnych i nielegalnych składowisk odpadów. Góry śmieci płonęły już m.in. w Trzebini, w miejscowościach: Wszedzień, Zambrze, Łabiszyn, w Piotrkowie Trybunalskim, Dąbrówce Wielkopolskiej, Kuślinie, Studziankach, Zbrożkach, Zabrzu, na warszawskim Mokotowie, w Piekarach Śląskich, Radomiu, Wincentowie, Jastrzębiu-Zdroju.

– Są poszlaki, że część z tych pożarów odpadów, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnim okresie, nie była wynikiem samozapłonu, ale podpaleń. Nie chcę mówić o konkretnych przykładach, śledztwa są w toku, a to leży w kompetencji odpowiednich służb – mówi „Do Rzeczy” Roman Jaworski, wicedyrektor departamentu kontroli gospodarowania odpadami w GIOŚ. Dodaje, że w poprzednich latach nie spotkał się z tym, by ktoś, u kogo doszło do podpalenia składowiska odpadów, usłyszał zarzuty karne.

SPECJALNY RAPORT POLICJI

Media piszą o blisko 70 pożarach składowisk, policyjni specjaliści zbadali już ponad 50 z nich. Tylko od stycznia do końca maja tego roku policjanci zakończyli 93 postępowania dotyczące tzw. przestępstw przeciwko środowisku (w całym 2017 r. było ich 213).

– Proszę zatem zauważyć, że ten obszar działalności przestępczej pozostaje w naszym zainteresowaniu, zanim zaczęto

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. JACEK ZYCH/FORUM

o tym głośno mówić. W związku z odnotowanymi w ostatnim czasie pożarami wysypisk zakładów przetwarzania odpadów powołany został zespół do zbadania tego zjawiska – mówi mł. insp. Mariusz Ciarka, rzecznik komendanta głównego policji.

„Do Rzeczy” udało się dotrzeć do informacji, które znalazły się w specjalnym raporcie przygotowanym dla komendanta głównego policji. Przedstawia on wstępne analizy biegłych dotyczące 54 pożarów składowisk odpadów, do których doszło od stycznia do 9 lipca tego roku w Polsce. Na jednym z nich – w Jastrzębiu – ogień płonął aż czterokrotnie, a na trzech innych wysypiskach były po dwa pożary. Spośród tych spraw 42 pożary miały miejsce na składowiskach legalnych, a 12 na tzw. dzikich wysypiskach.

Jak wynika ze wstępnych ustaleń biegłych, przyczyną blisko połowy tegorocznych pożarów były podpalenia (23 przypadki). W 15 przypadkach przyczyną pożaru był samozapłon, w sześciu doszło do nieumyślnego zaprószenia ognia. Biegli nie byli jeszcze w stanie ustalić przyczyn dziewięciu pożarów.

– Aktualnie w prokuraturach prowadzonych jest 29 śledztw dotyczących sprowadzenia zdarzenia w postaci pożaru lub sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa zaistnienia zdarzenia pożaru, zagrażającego życiu lub zdrowiu wielu osób albo mienia wielkich rozmiarów na terenie magazynowania lub składowania odpadów, które miały miejsce na terenie kraju w 2018 r. – mówi nam prok. Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

Trwające śledztwa są koordynowane przez specjalnie powołany zespół prokuratorów, co ma m.in. pomóc w ustaleniu modus operandi i ewentualnych powiązań między poszczególnymi pożarami.

Tymczasem z ustaleń policyjnych śledczych wynika, że zagrożenie stwarza blisko jedna czwarta miejsc, w których składowane są w Polsce odpady. – Z rozpoznania, które prowadzone jest nadal, wynika, że na terenie RP funkcjonuje 1809 składowisk odpadów: wysypisk, sortowni, magazynów itp. Nadmienić należy, że na podstawie posiadanego rozpoznania poszczególne garnizony wytypowały na chwilę obecną 492 składowiska odpadów, jako szczególnie zagrożonych wystąpieniem pożaru – mówi mł. insp. Mariusz Ciarka z KGP.

W jednym z pomieszczeń w budynku Ministerstwa Ochrony Środowiska ktoś powiesił satyryczny plakat, wydruk z zachodniej gazety. Napisano na nim, że pożar to po angielsku „fire”, po niemiecku „feuer”, a po polsku „recykling”.

– Trzy lata temu nasi inspektorzy alarmowali odpowiednie służby, że może dojść do pożarów składowisk odpadów. Ostrzegali, że będzie problem z szarą strefą. Nakreślaliśmy zagrożenie, ale nikogo to nie obeszło. Psa z kulawą nogą. Teraz ma się tym zająć ABW. Tyle że ta dopiero uczy się tego, co my wiemy już od dawna – mówi z goryczą jeden z naszych rozmówców, wysoki rangą urzędnik resortu.

Pod koniec maja, już po serii gwałtownych pożarów legalnych i nielegalnych składowisk odpadów, głos na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej zabrał premier Mateusz Morawiecki. Zapowiadał zdecydowane zmiany w prawie. – Miarka się przebrała. Wygoniliśmy mafię paliwową, wygonimy mafię śmieciową – przekonywał.

Jakby w odpowiedzi na tę deklarację Morawieckiego kilka dni później wybuchł pożar składowiska śmieci w Studziankach na Podlasiu. Później kolejne: w Kostrzycy, w Pukininie, w Mostkach, miejscowości Wielowieś i na nielegalnym składowisku śmieci w podopolskiej Dąbrowie. Tym razem policji udało się tam zatrzymać podejrzanych: kobietę w wieku 56 lat i 39-letniego mężczyznę.

– Można powiedzieć, że te pożary to jakby owa „mafia” zaśmiała się premierowi w twarz. Żeby pokazać, że takie pogróżki nikogo nie zastraszą – twierdzi jeden z naszych rozmówców. I mówi właśnie o Studziankach, gdzie pożary odpadów wybuchają niemal co roku. W 2012 r. ogień był tak wielki, że gaszono go osiem dni. Ustalono wtedy, że przyczyną było podpalenie, i… śledztwo umorzono. Z kolei w 2013 r. prokuratura w Zabrzu odmówiła śledztwa w sprawie zakopania na terenie gminy niebezpiecznych dla zdrowia odpadów. Inspektorzy ochrony środowiska wykryli wtedy, że w ramach „rekultywacji” jedna z firm hałdami ziemi przysypała toksyczne substancje zawierające lakiery i benzynę. Zabrzańscy śledczy uznali, że nic się nie stało, argumentując, iż teren jest „z daleka od siedzib ludzkich”. Z kolei w listopadzie 2015 r. prokuratura w Gliwicach umorzyła śledztwo w sprawie prowadzonego przez prywatnego przedsiębiorcę składowiska odpadów w Pyskowicach, mimo że doszło do odprowadzania zanieczyszczonych wód odciekowych do środowiska wodnego.

– Na polecenie Prokuratury Krajowej w powszechnych jednostkach organizacyjnych prokuratury zbadano prowadzone i pozostające w zawieszeniu postępowania związane z nielegalnym postępowaniami z odpadami, o jakich mowa w przepisach art. 183 par. 1–6 k.k. [dotyczą przestępstw przeciw środowisku – przyp. red.]. Analizie poddano ponad 250 postępowań przygotowawczych – informuje prok. Ewa Bialik.

JAK EKIPA TUSKA POMOGŁA „ŚMIECIARZOM”

Na odbiorze odpadów z firm przemysłowych można dobrze zarobić. Zwłaszcza jeżeli obchodzi się przepisy. Odpady komunalne to rynek wart ok. 3,5 mld zł, odpady przemysłowe – ponad 6 mld zł. Eksperci Ministerstwa Środowiska szacują, że funkcjonująca w tej branży szara strefa, m.in. fikcyjny recykling, pozorna „rekultywacja” i handel „kwitami”, to rynek wart jakieś 2 mld zł.

Zgodę lokalnego samorządu na odbiór i składowanie odpadów dziś jest stosunkowo łatwo uzyskać. Wystarczy kawałek własnego lub dzierżawionego, odwodnionego terenu, niewiążąca decyzja sanepidu oraz deklaracja o planowanym

eprasa.pl 59fff9dc19

prowadzeniu recyklingu. Po otrzymaniu zgody samorządu firma może odbierać i przechowywać na swoim terenie odpady przez trzy lata, później powinna zacząć je przetwarzać, do czego w praktyce często nie dochodzi.

Jednak jeszcze pięć lat temu wymagane było uzyskanie przez inwestora decyzji środowiskowej mówiącej m.in. o wpływie takiego składowiska na otoczenie. Przepisy zmieniło w 2013 r. rozporządzenie Rady Ministrów kierowanej przez Donalda Tuska, wyłączające punkty zbiórki odpadów z grupy przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko. To efekt nacisków ze strony MSZ, które przekonywało, że rygorystyczne zasady wydawania zezwoleń na prowadzenie składowisk odpadów to „nadregulacja prawa krajowego względem prawa unijnego”. Pod pismem, które MSZ w tej sprawie wysłało do Ministerstwa Środowiska w maju 2013 r., podpisał się Piotr Serafin, wówczas sekretarz stanu ds. europejskich, a po 2014 r. szef gabinetu Donalda Tuska, przewodniczącego Rady Europejskiej.

MAFIA BUSZUJE W ŚMIECIACH

Policjanci i eksperci od ochrony środowiska wyliczają kilka schematów działania „szarej strefy śmieciowej”. Najbardziej prymitywną formą jest odbiór odpadów – za co płaci gmina – i porzucenie ich, np. w lesie czy w opuszczonych magazynach. Według Inspekcji Ochrony Środowiska tylko w 2017 r. zidentyfikowano 129 takich miejsc. W tym roku wykryto ich już blisko sto. Ostatni raz – przed tygodniem w Częstochowie. W centrum miasta, na terenie nieczynnej już fabryki Wełnopolu, znaleziono kilka tysięcy beczek z nieustaloną na razie substancją chemiczną.

Dyrektor Roman Jaworski z GIOŚ naświetla inny schemat: – Prowadzona jest legalna działalność w zakresie gospodarowania odpadami, np. ich zbieranie, firma otrzymuje pieniądze za odbiór tych odpadów, po czym – kiedy teren czy magazyn jest przepełniony – wchodzą inspektorzy WIOŚ. Wtedy okazuje się, że teren był podnajęty, firma, która przyjmowała odpady, zarejestrowana była na „słupa”, a faktyczni jej właściciele rozpłynęli się w powietrzu.

W takich przypadkach nie ma kogo karać, a uprzątnięcie odpadów spada na gminę. Prokuratura w Bydgoszczy prowadzi śledztwo w sprawie nielegalnego składowania odpadów – w tym nielegalnie przetransportowanych z zagranicy – w Marcinkowie koło Mogilna. Firma, która wcześniej dzierżawiła teren i która zaczęła sprowadzać odpady, w 2017 r. zniknęła, a z KRS zostały skrupulatnie wymazane ślady jej działalności.

Dwa lata wcześniej we wsi Kamieniec (woj. wielkopolskie) wykryto składowisko blisko 300 ton śmieci. Miały zostać zutylizowane, ale firma z Kleczewa, która wzięła za to pieniądze, zniknęła.

Aż 40 tys. ton śmieci, w tym odpady nielegalnie sprowadzane z Niemiec, porzuciła w niewielkiej Bogatyni w 2016 r. firma Revita Bio sp. z o.o. Po dwóch latach składowania, gdy miał rozpocząć się recykling, władze firmy zniknęły. Na terenie składowiska doszło do kilkunastu pożarów, część z nich to efekt podpaleń. Ostatecznie prokuratura zatrzymała Elżbietę T., prokurent spółki.

Mafia śmieciowa zarabia m.in. na rekultywacji terenów poprzemysłowych, gdzie nielegalnie zakopuje śmieci komunalne

– Przypadki nielegalnego przewożenia z zagranicy odpadów niebezpiecznych są bardzo sporadyczne. Zdarza się jednak, że wykrywane są próby wwozu do Polski odpadów zanieczyszczonych, zabrudzonych, realizowane jest to pod płaszczykiem przewozów tzw. odpadów surowcowych, np. szkła, papieru, plastików itp. – mówi nam Roman Jaworski. W większości przypadków takie odpady są wysyłane do Polski z Wielkiej Brytanii oraz Niemiec.

Z informacji, którą otrzymaliśmy z Ministerstwa Środowiska, wynika, że w 2013 r. służby odpowiedzialne za kontrolę transgraniczną wykryły 14 przypadków próby wwiezienia do Polski nielegalnie odpadów (łącznie 15,4 tys. ton), dwa lata później – 89 takich prób (45,7 tys. ton), w 2017 r. – 39 (4,4 tys. ton), a do 28 czerwca tego roku – 19 prób (11,9 tys. ton).

Mafia zarabia też świetnie na tzw. rekultywacji terenów poprzemysłowych. – Na wyrobisko np. przyjeżdżają trzy ciężarówki, dwie z odpadami, które mogą być w świetle prawa wykorzystane do rekultywacji terenów niekorzystnie przekształconych np. odpadami budowlanymi, gruzem bądź też żwirem, piaskiem, ziemią. Trzecia przewozi np. zmieszane odpady komunalne, które po zdeponowaniu w takim wyrobisku są następnie przysypane warstwą ziemi, żwiru bądź odpadów gruzu. Taki proceder jest dość częsty, zwłaszcza na południu Polski – opowiada dyrektor Jaworski.

Przykłady? Wyrobisko po byłej kopalni piasku w Strzyżowie. Firma Krusz-Piask z Leżajska miała tam prowadzić rekultywację terenu. Pod tym pretekstem, jak ocenili śledczy, pracownicy firmy wwozili tam odpady komunalne, które później były zasypywane gruzem i ziemią. Afera została w 2017 r. ujawniona przez dziennikarzy TVN. W sprawie trwa śledztwo.

Jak wynika z danych, do których dotarliśmy, w 2017 r. wojewódzcy inspektorzy ochrony środowiska wykryli kilkadziesiąt przypadków „wypełniania wyrobisk odpadami innymi niż wymienionymi w decyzji, wypełniania wyrobisk bez zezwolenia, naruszania warunków decyzji określających zakres prac rekultywacyjnych”.

Innym, jednym z najłatwiejszych, mechanizmem działania „mafii śmieciowej” jest tzw. handel kwitami, czyli dokumentami potwierdzającymi odbiór i przetworzenie odpadów. Właściciel firmy kupuje taki dokument, a odpady zamiast do recyklingu trafiają na nielegalne wysypiska. Na czym zarabia? Zgodnie z przepisami przedsiębiorca wprowadzający na rynek towar w opakowaniu musi uiścić opłaty produktowe. Jeżeli udowodni, że opakowania w takiej ilości, w jakiej wprowadza je na rynek, są poddawane recyklingowi, zostaje z opłat zwolniony.

Inspektorzy ochrony środowiska opowiadają nam o aferzystach, którzy wystawiali takie zaświadczenia w imieniu od lat nieczynnej huty szkła. Zainteresowanie było tak duże, że według wystawianych „faktur” owa zrujnowana fabryka miała „recyklingować” blisko… 70 proc. obecnej na naszym rynku stłuczki szklanej.

5 lipca Sejm przyjął zapowiadaną przez premiera Morawieckiego nowelizację ustawy o odpadach. Zgodnie z nowymi przepisami, jeżeli ustawę podpisze prezydent, odpady będzie można magazynować tylko przez rok, a nie – tak jak obecnie – przez trzy lata, firma chcąca prowadzić składowisko odpadów będzie musiała zaś uiścić specjalną kaucję na wypadek porzucenia śmieci. Po zmianie przepisów do Polski nie będzie też można wwieźć odpadów komunalnych, a tylko takie, które można wykorzystać jako surowce wtórne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Agnieszka Niewińska

Marta od protestowania

Marta Lempart – prezes firmy deweloperskiej, za rządów Platformy dyrektor w PFRON, a dziś gwiazda antyrządowych manifestacji

Marta Lempart przed Sejm w ubiegłym tygodniu przyjechała samochodem Onetu, bo akurat w dniu kolejnego protestu w sprawie sądów udzielała wywiadu w mobilnym studiu Jarosława Kuźniara. Na podest ustawiony przy ul. Wiejskiej weszła w koszulce z logo Ogólnopolskiego Strajku Kobiet i w czerwonych trampkach. Tłumów nie było, więc spokojnym głosem przypominała, że protestujących w Warszawie wspiera wielu manifestantów z innych miast.

Potrafi jednak być bardziej agresywna. W czerwcu 2017 r., podczas miesięcznicy smoleńskiej, blokowała przemarsz i została wyniesiona przez policję razem z Władysławem Frasyniukiem. W marcu przed siedzibą PiS przy Nowogrodzkiej krzyczała do szczekaczki: „Dorośnijcie pajace! To wy będziecie kicać!".

Od tych, którzy pamiętają ją sprzed 10 lat, gdy zajmowała się jako urzędnik pomocą niepełnosprawnym, mówią, że się zradykalizowała.

– Ja się radykalizuję? Być może ostatnio jestem rzeczywiście trochę bardziej zdenerwowana, zmęczona, mam krótszą ścieżkę reakcji, ale to wynika zarówno ze spraw sądowych wytaczanych mi metodą białoruską za cokolwiek (np. za „niszczenie środowiska" poprzez używanie megafonu w miejscu publicznym), jak i z tego, że takich osób jak ja jest już w Polsce ponad tysiąc. Trudno uznać, że to jest OK – mówi nam Marta Lempart. I zaznacza, że to, jak dalej potoczą się protesty, zależy od rządu. – Jeśli PiS spróbuje sfałszować wybory albo kontrolowany przez tę partię niby-Trybunał Konstytucyjny będzie próbował zająć się sprawą aborcji, to na ulice wyjdzie ogromna liczba ludzi. To nie my się radykalizujemy, tylko władza. Nasze działania i zmiana ich charakteru wynikają z coraz szybszej i coraz brutalniejszej spirali niszczenia państwa, w tym zasady trójpodziału władzy. Pytaniem nie jest to, dlaczego próbujemy przewrócić barierki przed Sejmem, tylko dlaczego – skoro jest to bezprawne – one tam w ogóle stoją. Mamy prawo wejść na teren wokół Sejmu. Władza bezprawnie go sobie zajęła, podobnie jak plac Piłsudskiego czy Krakowskie Przedmieście.

JAK TO SIĘ ROBI?

Lempart – choć na co dzień mieszka we Wrocławiu – w Warszawie spotkać można coraz częściej. – Staram się bywać w Warszawie tylko wtedy, kiedy to jest absolutnie konieczne. Trzeba działać i walczyć u siebie. Kieruję małą firmą budowlaną, ale pracuję na cztery piąte etatu, cztery dni w tygodniu. Zawsze miałam pełny kalendarz, zawsze miałam drugi „społeczny" etat – tłumaczy.

Kilka dni przed ostatnimi protestami przed Sejmem też była w stolicy – wzięła udział w happeningu pod nazwą Obywatelskie Zgromadzenie Narodowe, którego spiritus movens była posłanka opozycji Joanna Scheuring-Wielgus. – Jest bardzo zdeterminowana, pracowita – komplementuje Lempart posłanka Scheuring-Wielgus. – A do tego charyzmatyczna – potrafi pociągnąć za sobą tłumy – dodaje w rozmowie z „Do Rzeczy".

W ostatnich tygodniach Lempart brała udział nie tylko w manifestacjach przeciwko powrotowi projektu „Zatrzymaj aborcję". Protestowała też w sprawie Sądu Najwyższego, pojechała za premierem Mateuszem Morawieckim do Strasburga, gdzie przed budynkiem Parlamentu Europejskiego manifestowała wraz z innymi aktywistkami. Zachęcała nawet do wzięcia udziału w studenckich protestach przeciwko ustawie Gowina. Skrzykiwała w sieci ludzi do wyjazdu do Rzeszowa na pierwszą w tym mieście Paradę Równości.

Stała się ekspertką od protestowego know-how do tego stopnia, że na Przystanku Woodstock dawała lekcję młodzieży. „Rozmawiamy o tym, jak zorganizować protest, żeby dać złym ludziom naprawdę w kość" – chwaliła się na Twitterze. W „Wysokich Obcasach" na początku czerwca w sążnistym artykule opisała, jak krok po kroku rozkręcić protest. Radziła, jak działać w sieci, ile osób powinno obsługiwać Facebooka, a nawet co zabrać na manifestację.

W HOTELU BEZ DZIECI

Od czasu Strajku Kobiet (październik 2016 r.) wywiady z Martą Lempart w „Gazecie Wyborczej" ukazują się tak często, że można by już zebrać je w sporą książkę. Mediom opowiada nie tylko o protestach, mówi także o szczegółach z życia ze swoją partnerką. „Wypełniamy lesbijski stereotyp – kilka spotkań i wspólne mieszkanie" – wyjawiła, przyznając, że myślą o ślubie. „Bardzo byśmy chciały. Ale nie za granicą, tylko w Polsce. Nie na niby". Pytana o dzieci mówiła o braku instynktu. „Potwornie mnie nudzą. Nie umiem z nimi rozmawiać,

eprasa.pl 59fff9dc19

dopóki nie zaczną rozsądnie gadać. Byłyśmy niedawno na wakacjach w hotelu, gdzie nie przyjmuje się rodzin z dziećmi. Nikt nie biegał z lodami między leżakami, nikt nie wrzeszczał w basenie".

Ma też ambicje polityczne. Wrocławscy społecznicy już kilka tygodni temu opowiadali „GW", że montując koalicję, Lempart rozsyłała zaproszenia do współpracy, w których zaznaczyła, iż w tym komitecie to ona jest kandydatką na prezydenta miasta. – Marta Lempart powinna wejść do polityki. Mam nadzieję, że będzie startować w wyborach samorządowych – mówi „Do Rzeczy" Scheuring-Wielgus. Dodaje, że z liderką Strajku Kobiet odnalazłaby się w jednej partii.

START W KOD

Zanim Lempart z partnerką założyła facebookowe wydarzenie Ogólnopolski Strajk Kobiet, w środowiskach pro-life nie była znana jako jedna z ich oponentek. Jako protestująca Lempart uaktywniła się, kiedy powstał KOD i zaczął manifestować w sprawie zmian w Trybunale Konstytucyjnym. Brała udział w demonstracjach, akcjach publicznego czytania konstytucji. Jeszcze mocniej zaangażowała się w czarne protesty.

– Przyczyna mojego obecnego zaangażowania jest prosta. W 2016 r. PiS dopuścił do procedowania projekt zaostrzający ustawę aborcyjną, według której kobiety miały być karane więzieniem – mówi. Nie przekonuje jej, że był to projekt obywatelski, który musiałby jeszcze przejść przez prace w komisjach. – Powinien zostać odrzucony w pierwszym czytaniu – mówi. Wtedy wydawało się, że PiS jest zdolny do wszystkiego, teraz, po zdemolowaniu Trybunału Konstytucyjnego, sądów, Krajowej Rady Sądownictwa i dziejącego się w tej chwili skoku PiS na Sąd Najwyższy, już mi się nie wydaje. Teraz już jestem tego pewna.

Do stolicy Dolnego Śląska wróciła kilka lat temu. Wcześniej przez kilkanaście lat mieszkała w Warszawie. W stolicy robiła karierę urzędniczą. Pracowała w biurze Pełnomocnika ds. Osób Niepełnosprawnych. Za rządów PO była dyrektorem w PFRON.

W tamtym okresie poznał ją Grzegorz Kozłowski, wówczas prezes Towarzystwa Pomocy Głuchoniewidomym (TPG) dziś kieruje Polską Fundacją Osób Słabosłyszących. – W biurze Pełnomocnika Rządu ds. Osób Niepełnosprawnych Marta koordynowała pracę zespołu roboczego przygotowującego założenia, a później treść Ustawy o języku migowym i innych środkach komunikowania się. Uczestniczyłem w pracach tego zespołu i tu się poznaliśmy. Była bardzo profesjonalna, skuteczna, zaangażowana. Starała się godzić różne racje. I choć w pewnym momencie praca zespołu została przerwana a projekt ustawy trafił na półtora roku do zamrażarki, to tuż przed końcem pierwszej kadencji PO proces ruszył z kopyta. Szybko, niekiedy byle jak procedowany, ale ostatecznie ustawa została przez Sejm uchwalona – mówi Kozłowski.

I dodaje, że współpracował z Lempart również przy staraniach o wprowadzenie do systemu orzekania o niepełnosprawności głuchoślepoty jako odrębnego rodzaju niepełnosprawności. – Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale współpracę z Martą i w tym przypadku oceniam pozytywnie. Ma charyzmę, przebojowość, wiedzę z zakresu legislacji. W tych wszystkich działaniach pokazała swój lwi pazur, występując w słusznych sprawach osób dyskryminowanych.

Marta Lempart: – Zawodowo to był bardzo fajny czas, chciałabym kiedyś wrócić do pracy urzędniczej. Dalej zajmuję się sprawami osób z niepełnosprawnościami, wspierałam protest w Sejmie – przecież to kobiety ze Strajku Kobiet były jedną z głównych sił opozycji ulicznej wspierającej ten protest rzeczowo i przez codzienne pikiety solidarnościowe. W działaniach na rzecz osób z niepełnosprawnościami nieraz współpracowałam z posłami PiS, ale w tej chwili jest to niemożliwe. To już nie jest ta sama partia, choć czasem są to ci sami ludzie, których kiedyś znałam, a teraz patrzę na nich z przerażeniem. PiS w wersji 2018 r. to partia niezainteresowana jakimikolwiek działaniami na rzecz środowiska osób z niepełnosprawnościami. Jest zainteresowana demolowaniem i dojeniem państwa – w tym dotowaniem dziesiątkami milionów Tadeusza Rydzyka.

Lempart z TPG współpracowała jeszcze przy unijnym projekcie na rzecz zatrudnienia osób głucho-niewidomych. – Angażowała się czynnie w pracę TPG – weszła do zarządu Towarzystwa. Potem unijny projekt się skończył, Marta przeprowadziła się do Wrocławia i od tego momentu mieliśmy jedynie sporadyczne kontakty – mówi Kozłowski. I wspomina, że w rozmowach nie poruszali zwykle tematów politycznych. – Poglądy ideowe i polityczne nas różniły, ale nie przeszkadzało nam to w skutecznej współpracy

dla dobra głucho-niewidomych czy szerzej – osób z niepełnosprawnościami. Dla mnie podstawą przekonań i działania zawsze była i pozostaje wiara oraz związane z nią wartości, dla Marty ta sfera była odległa, ale potrafiliśmy dobrze współpracować, szanowaliśmy się, akceptując wzajemnie istniejące między nami różnice – bazowaliśmy na tym, co łączy, a nie co dzieli. Myślę, że potrafiła wówczas działać ponad różnicami w poglądach. Przykładowo, wysoko oceniałem Pawła Wypycha, który zginął w Smoleńsku. Z mojej perspektywy był najlepszym pełnomocnikiem rządu ds. osób niepełnosprawnych, jakiego do tej pory mieliśmy. Szkoda, że pełnił tę funkcję bardzo krótko. Marta również pozytywnie go oceniała. I pamiętam, że nawet kiedy Paweł Wypych został odwołany ze stanowiska pełnomocnika rządu i przeszedł do Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, współpracowała

eprasa.pl 59fff9dc19

Marta Lempart swoją karierę na protestach ulicznych rozpoczęła w KOD. Potem została liderką czarnego protestu organizowanego przez zwolenników aborcji FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

z nim – wspomina. – Dzisiejsza radykalna postawa Marty mnie martwi. Nie jestem zwolennikiem działań ulicznych. To nie jest najlepsza metoda rozwiązywania problemów politycznych, a Marta poszła mocno w tę stronę. Nie zdziwiło mnie, ale i nie ucieszyło jej zaangażowanie w KOD, bo choć nigdy nie było jej po drodze z prawicą, to miała też wiele zastrzeżeń do PO. Jej mocne zaangażowanie w czarne protesty również mnie zmartwiło. Mamy zupełnie odmienne poglądy na kwestie, o które zabiegają ich uczestnicy, jak również na sposób, w jaki o te kwestie zabiegają.

PYTANIA O KAMIENICĘ

Marta Lempart jest też biznesowoman – prezesem wrocławskiej firmy deweloperskiej Diamond Properties. W 2013 r. wygrała plebiscyt „Gazety Wrocławskiej" na najbardziej wpływową kobietę Dolnego Śląska. Na gali chwaliła się, że firma kupiła od miasta przeznaczoną do rozbiórki kamienicę przy ul. Prusa. – Kamienica nie została zburzona i zastąpiona nowoczesnym budynkiem, tylko wyremontowana i przywrócona do dawnych funkcji mieszkalnych – cytowała Lempart „Gazeta Wrocławska".

Budynek był doszczętnie zrujnowany, dziś to pięknie odnowiony apartamentowiec w dobrym punkcie Wrocławia. Narodowcy, którym z Lempart nie jest po drodze (blokowała ich marsz 11 listopada 2017 r., za co postawiono jej zarzuty) nagłaśniają sprawę kamienicy w Internecie, twierdząc, że miasto dużo straciło na sprzedaży. – Cena wywoławcza wynosiła 590 tys. zł, natomiast uzyskana wyniosła 1,01 mln zł – informuje nas wrocławski magistrat. W przetargu uczestniczyło pięciu licytantów. I – jak zapewnia miasto – wyceny nieruchomości dokonał rzeczoznawca majątkowy posiadający uprawnienia i wyłoniony w przetargu.

Według narodowców inny bankowy rzeczoznawca miał wycenić nieruchomość na blisko 4 mln zł. Zarzucają też oni firmie nieprawidłowości finansowe. – Tak, jestem na celowniku narodowców, szczególnie odkąd udało nam się zatrzymać neonazistowski marsz Międlara (byłego księdza) i Rybaka (skazanego za spalenie kukły Żyda) 11 listopada 2017 r. we Wrocławiu. Cały czas uzupełniamy zawiadomienie do prokuratury – do prokuratury, bo w tych materiałach pojawiają się nie tylko pomówienia, lecz także groźby pod moim adresem – wyjaśnia Marta Lempart.

– Wcześniej były to głównie memy i pogróżki otrzymywane przez Internet, teraz panowie się rozkręcili. A kłamstwa tego rodzaju (sugerujące kradzież, defraudacje, tajne układy) zawsze mają szansę trafić na podatny grunt – taka ludzka natura i na to pewnie liczą. Mam nadzieję, że prokuratura sprawi się należycie. Bo dlaczego miałoby być inaczej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Ludzie leją łzy (z różnych powodów)

Z Januszem Majewskim, reżyserem, pisarzem i scenarzystą
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. INPLUS/EAST NEWS

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Akcja powieści sensacyjnej „Ryk kamiennego lwa" ogniskuje się w pana mieście rodzinnym, we Lwowie. Często pan do niego powraca: i w filmie, i w literaturze.

JANUSZ MAJEWSKI: Lwów wojenny znam mniej, niż mogłoby się wydawać. W odtwarzaniu jego realiów zawsze korzystam z pomocy fachowców – takich, jakimi byli przed laty Witold Szolginia czy Jerzy Janicki. Sięgam też do zdarzeń autentycznych, np. powieściowy epizod o ukrywających się na cmentarzu Łyczakowskim Żydach ma pierwowzór w losach dr. Leszka Allerhanda.

W „Ryku kamiennego lwa" opowiadam o Lwowie pod okupacją – niemiecką i sowiecką – na który patrzyłem oczami dziecka. Ten sprzed wojny postrzegam głównie przez pryzmat opowieści, bo w 1939 r. miałem rozpocząć naukę w drugiej klasie szkoły powszechnej. Z czasów II Rzeczypospolitej zapamiętałem Lwów jedynie ze wspólnego z rodzicami wychodzenia na zakupy, do cukierni czy kina… Okupacje niosły ze sobą tyle niebezpieczeństw, że rodzice nie pozwalali mi wychodzić z domu samemu. Niekiedy z siostrą łamaliśmy ten zakaz, odwiedzając pobliski park Stryjski. Zwiedzanie Lwowa na własną rękę nigdy nie było mi dane. Jestem dzieckiem wojny, która naznaczyła mnie na całe życie. Niewątpliwie wpłynęła także na moje gusta literackie.

?

Z powodu braku rozrywek stałem się molem książkowym. Kiedy przeczytałem już wszystkie pozycje z własnej biblioteczki – spuściznę Karola Maya w pierwszej kolejności – i zaznajomiłem się z tymi, które pożyczaliśmy sobie wzajemnie z rówieśnikami, sięgnąłem do księgozbioru rodziców. Bogatego. I wtedy wpadł mi w oko oryginalny tytuł: „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką". To powieść Anatola France'a zainaugurowała moją przygodę z piśmiennictwem dla dorosłych. Miałem wtedy 11 lat. Nie wiem, czy właściwie pojąłem fabułę, lecz intrygowało mnie, dlaczego autor ze wszystkiego kpi. Zapytana o to mama wyjaśniła, że na tym polega ironia. I właśnie pod tym kątem zacząłem dobierać sobie lektury. „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski" Henryka Sienkiewicza, które z zapartym tchem pochłaniali rówieśnicy, mnie wydały się schematyczne i naiwne.

Nie będziemy w tej kwestii kruszyć kopii, niemniej jednak wielu naszych kolegów na lekturze tych powieści – co stwierdzamy z niejaką melancholią – poprzestało…

W moim środowisku mawiano, iż Jerzy Kawalerowicz przeczytał tylko te książki, które zekranizował, ale taki Jurek Hoffman zauroczył się „Trylogią" do tego stopnia, że za życiowy cel uznał jej adaptację filmową i pokonując wiele przeszkód, dopiął swego. Być może zatem wpływ na ocenę wartości dzieła literackiego ma miejsce premierowej lektury. W przypadku Hoffmana było to syberyjskie zesłanie.

Skoro mówimy o literaturze historycznej, to uwiecznił pan w kadrze m.in. królową Bonę.

Wcześniej miałem scysję z autorką powieści „Smok w herbie. Królowa Bona", Haliną Auderską. Nie chodziło o scenariusz

eprasa.pl 59fff9dc19

czy politykę. Poróżniła nas lingwistyka. Otóż pisarka należała do Komisji Języka Polskiego przy Polskiej Akademii Nauk, która ustaliła, że nazwy samochodów piszemy małą literą. Potem wyszło na jaw, że szacowne gremium zatwierdziło ową regułę z racji realiów Polski Ludowej. Kiedy to ustalano – u progu lat 50. zeszłego stulecia – jedynym autem u nas produkowanym była Warszawa i stosowne zarządzenie miało przeciwdziałać myleniu samochodu z nazwą naszej stolicy (!). Norma obowiązuje do dziś (wprawdzie coraz częściej bywa łamana, co stwierdzam z satysfakcją), chociaż liczba marek aut na polskich drogach wydatnie się zwiększyła.

À propos: napisał pan kryminał „Czarny mercedes", prequel „Ryku...". Mówi się o przeniesieniu go na ekran...

Scenariusz jest gotowy, ekipa zaklepana, dotacja Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej nie pokrywa jednak całości kosztów adaptacji. Jesteśmy na etapie negocjacji z kilkoma koproducentami. Tyle w tej chwili mogę powiedzieć.

Wróćmy zatem do pisarstwa i pisarzy. Poznał pan też Henryka Worcella.

eprasa.pl 59fff9dc19

Tadeusza Kurtykę, bo tak się nazywał w rzeczywistości, zaprosiłem na plan filmowy „Zaklętych rewirów" w Pradze. Autor przyjechał z żoną. Podczas przerwy w zdjęciach zagadnąłem ich o wrażenia. „Henryczku, jaki ty kiedyś byłeś piękny" – rzekła żona do męża, kierując wzrok na Marka Kondrata, grającego rolę główną. Kompletne pomieszanie czasów i faktów. Uwierzyła, że jest to jej mąż, tylko w młodości.

Swoją drogą, trudno o większy komplement dla filmowca.

Gdy już Worcell nie żył, miałem szansę na remake „Zaklętych rewirów". I to w Hollywood! Przy okazji planowano również przetłumaczenie i edycję powieści. Uznano, że elegancki hotel przedstawiony od kuchni to temat ponadczasowy i uniwersalny. Poczułem się wniebowzięty. Przedwcześnie. Wdowa zwlekała z udzieleniem zgody, niezbędnej do wdrożenia projektu w życie. Obawiała się oszustwa. Postanowiła naradzić się z synem – himalaistą. Akurat przebywał w górach, toteż sprawa się ślimaczyła przez kolejne tygodnie. W końcu, po naradzie rodzinnej, nie wyraziła zgody na amerykańską ekranizację. Cóż miałem robić? Napisałem do USA list, że pomysł upadł, ponieważ spadkobiercy Worcella otrzymali atrakcyjniejsze propozycje filmowe. I w ten sposób amerykański sen mnie ominął. Działo się to w połowie lat 80.

Później IPN ujawnił, że Worcell był TW, podobnie jak inny pisarz, którego prozę przełożył pan na ekran – Andrzej Kuśniewicz.

Oczywiście nie miałam o tym pojęcia. „Lekcję martwego języka" przeczytałem w jedną noc w Halamie, zakopiańskim pensjonacie ZAiKS-u, gdzie kurowałem odmrożone ucho po zjeździe na nartach z Kasprowego. Z gołą głową. Nie mogłem się doczekać poranka, aby zatelefonować do szefa literackiego zespołu filmowego TOR, Witolda Zalewskiego, z prośbą o bezzwłoczne pozyskanie prawa do ekranizacji. Co prawda zapatrywał się na to sceptycznie, lecz sprawę załatwił. Po premierze serdecznie mi gratulował, bo nie sądził, że jest to proza fotogeniczna. Nawiasem mówiąc, na żądanie cenzury musiałem wymienić jeden kadr. Chodziło o to, aby Irena Karel – grająca ukraińską pielęgniarkę – manifestowała euforię z zakończenia I wojny światowej w czapce bez tryzuba.

A jak trafił pan na „C.K. Dezerterów" Kazimierza Sejdy?

„Zaklętymi rewirami" interesowano się nawet w Hollywood FOT. INPLUS/EAST NEWS

Przypadkiem. W Warszawie funkcjonował wydział scenopisarski łódzkiej filmówki. Pewnego razu jakiś student przyniósł sfatygowany egzemplarz tej dawno zapomnianej książki. Na jej kanwie rozważał napisanie scenariusza. Uprzedziłem go, co z wyrzutem wyznaję. Książka do złudzenia przypominała mi „Przygody dobrego wojaka Szwejka", ukochaną lekturę młodości, a film ma dziś drugie życie w Internecie, gdzie można znaleźć poszczególne sekwencje, oglądane przez wielotysięczną widownię.

Dlaczego nie udało się panu sfilmować „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergiusza Piaseckiego?

Z braku pieniędzy. Zajmowałem się tym na początku naszej transformacji ustrojowej. Nie było jeszcze prywatnych instytucji gotowych sfinansować to przedsięwzięcie. A dotacje państwowe na tak kosztowny – plenery, kostiumy – obraz nie wystarczały. Fiaskiem zakończyła się też próba koprodukcji ze Stanami Zjednoczonymi ze startującym dopiero do wielkiej kariery Bradem Pittem w roli głównej, jak sobie wymarzyłem.

Teraz kolejną powieścią – „Rykiem kamiennego lwa" – zaznaczył pan swoją coraz mocniejszą pozycję, już nie tylko w filmie, lecz także w literaturze. Był pan zresztą zawsze człowiekiem pióra, biorąc pod uwagę, że taki np. „Sublokator" z lat 60. wziął się z pańskiego scenariusza.

To był absolutnie mój film autorski: od pomysłu poprzez wszystkie szczegóły do dialogów włącznie. A moje pisanie zaczęło się śmiesznie, od konkursu „Szpilek", na który nadesłałem kilka swoich humoresek, i dostałem drugą nagrodę. Opowiadania te były drukowane, podobnie jak następne, już w „Walce Młodych", „Po Prostu" czy w „Almanachu »Iskier«". To był środek lat 50. Niedawno w swoich archiwaliach natrafiłem na pierwszy numer „Polityki" z 1957 r., a w nim obok plejady nazwisk polskiej kultury i polityki widnieje Także moje nazwisko jako autora niewielkiej opowiastki.

Stworzyłem postać biednego szewca z miasta słynącego z cudów dokonujących się tam za sprawą św. Heksaliana – wymyśliłem to imię. Do tego miejsca pielgrzymują tłumy, by zaopatrzyć się w garść prochów świętego. Mój bohater wyliczył sobie, że Heksalian – biorąc pod uwagę ogromne zainteresowanie wiernych – musiał ważyć najmarniej półtorej tony. No i zaczęły się kłopoty… Naturalnie była to czytelna aluzja do rewizjonizmu, zakładającego, że uda się zreformować system i stworzyć coś, co później zostało zgrabnie nazwane „socjalizmem o ludzkiej twarzy".

Pierwsze pana książki pojawiły się jednak dużo później.

Już w XXI w. Pierwszy był tom opowiadań „Exhibicjonista", który wydała mi Muza na moje 70-lecie. A potem przyszły następne, m.in.: „Retrospektywka", „Ostatni klaps. Pamiętnik moich filmów", „Mała matura". Czasem zbierałem swoje zapisane niegdyś, a z różnych przyczyn niezrealizowane pomysły filmowe, a niekiedy – tak jak w „Małej maturze" – sięgałem do wspomnień.

Wydał pan też, zgodnie z modą, literacki zapis swojego serialu „Siedlisko".

Ten serial powstał dlatego, że moja żona [Zofia Nasierowska, fotografik – przyp. red.] molestowała mnie, bym wreszcie zrobił film, na którym mogłaby trochę popłakać, a ja byłem zawziętym wrogiem tego rodzaju produkcji.

Na pana filmach też można było płakać, tyle że ze śmiechu.

eprasa.pl 59fff9dc19

Z różnych powodów ludzie leją łzy. Do płaczu mógł np. skłonić mój wczesny, absolutoryjny film „Rondo".

Ze Sławomirem Mrożkiem w jednej z ról.

I ze Stefanem Szlachtyczem. Film ten ustawił moją zawodową karierę, bo stał się jedną z wizytówek łódzkiej szkoły filmowej i objechał cały świat. Zrobiłem „Rondo" według własnego scenariusza, w co ludzie jakoś nie chcą uwierzyć, uparcie przypisując go Mrożkowi. Cóż, chyba każdy reżyser ma w sobie potrzebę napisania czegoś swojego, chyba że nie potrafi, a wówczas zwraca się do tych, którzy to umieją. Ponieważ mam przekonanie, że z pisaniem daję sobie radę, albo sam piszę scenariusz, albo sięgam po czyjąś książkę i z niej robię scenariusz. Czasem z niezłym skutkiem. Tak było z „Zazdrością i medycyną", która jednak zapisała się w mojej pamięci zgonami: Antoniego Bohdziewicza i Michała Choromańskiego.

Ten pierwszy był, jak się zdaje, pańskim mistrzem.

W filmówce trafiłem pod jego skrzydła, za co jestem wdzięczny losowi. Otóż Bohdziewicz chciał zekranizować „Zazdrość i medycynę" jeszcze przed wojną. Powieść była głośna, nagradzana i pierwszy klaps wyznaczono na 1 września 1939 r. Wybuchła wojna, Bohdziewicz zapisał w niej piękne karty, będąc kronikarzem powstania warszawskiego, dokumentując walkę i pokazując efekty swojej pracy, z własnym komentarzem, w powstańczym kinie. W szkole zwrócił na mnie uwagę i po latach zaproponował mi, żebym przejął ten jego film. Był schorowany, miał swoje lata, choć zmarł w wieku 64 lat, a więc z mojego dzisiejszego punktu widzenia był młodzieńcem. Gdy odwiedziłem go, by porozmawiać o realizacji „Zazdrości…", leżał w szpitalu. Miał sporo uwag odnośnie do moich pomysłów, był zresztą świetnym krytykiem, nie szło mu tylko z własnymi filmami, ale to, powiedziałbym, częsta przypadłość. Grunt, że całą ideę filmu przyjął życzliwie, rozstaliśmy się, a następnego dnia dowiedziałem się, że umarł.

Czy ten jego wybór pańskiej osoby do zrealizowania powieści Choromańskiego odebrał pan jako wyróżnienie?

To była dla mnie gratka. A rozmawiałem z nim z jednej strony jak ze swoim mentorem i, mogę chyba tak powiedzieć, przyjacielem, z drugiej zaś, jak z kierownikiem zespołu, w którym miałem zrobić ten film; w tym wszystkim był więc pewien aspekt formalny. Z tym – powiedzmy – spadkiem po Bohdziewiczu trzeba było coś zrobić, zaczynając od załatwienia opcji na książkę. Do przybyłego niedawno z emigracji autora udałem się wraz z Witoldem Zalewskim. Mieszkał przy Marszałkowskiej, gdzie z puli premiera dostał lokum w bloku naprzeciwko pawilonów. Była godzina 11, otworzyła nam jego żona, sławna tancerka Ruth Sorel, i zaprowadziła do saloniku, gdzie czekaliśmy na pisarza, który – jak powiedziała – kończy się golić. I rzeczywiście, niebawem Choromański wszedł czy raczej wkroczył – to był dostojny, wysoki, bardzo przystojny mężczyzna – w długim, srebrzystym szlafroku i bamboszach. Pod szyją miał biały ręcznik, a prawa ręka była obwiązana innym ręcznikiem. „Przepraszam – powiedział – zaciąłem się przy goleniu". Wymieniliśmy zdawkowe uprzejmości i, cóż było robić, za dobrą monetę musieliśmy przyjąć wymówkę, że ból ręki nie pozwala mu podpisać umowy. Nasze domysły potwierdziły się, gdy niebawem pisarz zadzwonił i powiadomił, że może zgodzić się, ale dopiero po przedstawieniu mu scenariusza. Uwagi Zalewskiego, że utrudnia to pracę, bo jak w tej sytuacji znaleźć ma autora scenariusza, skwitował zdaniem: „Wasza sprawa i wasz problem". Zaryzykowałem i sam napisałem ten scenariusz, który – gdyby nie uzyskał akceptacji – spocząłby w szufladzie.

Tak się jednak, na szczęście, nie stało.

Wysłałem Choromańskiemu maszynopis i po pewnym czasie zaprosił mnie do Konstancina, gdzie przebywał w prywatnym pensjonacie. Przyjął mnie na balkonie, wokół cisza, piękne drzewa. Od razu powiedział: „Zgadzam się, ale – dodał – pan ma talent literacki". Może i tak – odpowiedziałem – ale co innego mnie obecnie zajmuje. „Jestem jednak na pana zły – usłyszałem – bo jest w scenariuszu scena, którą sam powinienem napisać, a nie ma jej w mojej powieści i bardzo tego żałuję". Chodziło o spowiedź krawca Golda, który modli się o dobry los dla syna, o to, by pojechał do Ameryki i zrobił tam karierę. Włodzimierz Boruński zagrał to bosko.

Ponieważ nie miałem ze sobą umowy, umówiliśmy się, że gdy pisarz wróci w niedzielę z pensjonatu, przyjadę do niego na Marszałkowską, gdzie podpisze stosowne dokumenty. Zdążył jeszcze w Konstancinie udzielić wywiadu Marii Marszałek dla „Ekranu", w którym m.in. zapowiedział ekranizację, kilka miłych słów poświęcając też mojej osobie – i umarł. Jego żona opowiadała, że gdy pojechała odebrać ciało do szpitala na Dolną, gdzie je przewieziono, leżał na kamiennej posadzce, pod schodami, przykryty gazetą.

Film miał znakomite przyjęcie, o czym zadecydowała jego wyjątkowa atmosfera, świetne aktorstwo – prócz Boruńskiego Ewa Krzyżewska, Andrzej Łapicki i Mariusz Dmochowski – no i „momenty", nieczęste w polskiej kinematografii tamtych lat.

Jakiś czas potem spotkałem na ulicy panią Sorel, która powiedziała mi: „Proszę pana, byłam właśnie ósmy raz na »Zazdrości i medycynie«. Zawsze gdy jadę do Michała i opowiadam mu, co przeżyłam wczoraj, nachwalić się filmu nie mogę. Na pewno będę go jeszcze oglądać wiele razy". Przypomina mi się to teraz, kiedy jadę do żony na Powązki i w alei prowadzącej do niej mijam grób Michała Choromańskiego. Moja żona zmarła siedem lat temu i dostała miejsce w Alei Zasłużonych. Gdy je wybierałem z kierownikiem cmentarza, powiedział mi, że może tu być złożona jeszcze jedna trumna, „zapewne pańska" lub 26 urn. „Wybieram urny – zakrzyknąłem – bo całą rodzinę tu pochowam!". Wokół na Powązkach sami znajomi, z jednej strony Szymon Szurmiej, z którym się przyjaźniłem, z drugiej Kuba Morgenstern, z którym się przyjaźniłem, obok mój sąsiad, sławny cichociemny, gen. Stefan Bałuk, z którym też się przyjaźniłem. Jego żona powiedziała mi: „Tak się cieszę, że Stefan leży blisko Zosi, bo Zosia dobrze gotuje, to Stefan zje zawsze coś smacznego i będzie zadowolony". Nie wiem, czy to tylko czarny humor...

Choromański nie miał pretensji, że zamienił pan Zakopane na Krynicę?

Nie wiem, czy to zauważył, zresztą chyba w scenariuszu tego nie było. Zmiana nastąpiła w trakcie sporządzania dokumentacji filmowej. Zakopane było już zupełnie inne niż przed wojną, Krynica zaś zachowała tamten klimat, zabudowę i pijalnie wód. A halny, cóż, wiał i tu, i tam, gdzieś może mocniej, ale tego i tak nie widać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Janusz Majewski – ur. 1931 r. we Lwowie, pisarz, reżyser (m.in. „Album Fleischera", „Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię", „Sprawa Gorgonowej", „C.K. Dezerterzy", „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy").

eprasa.pl 59fff9dc19

Artysta jednej wystawy

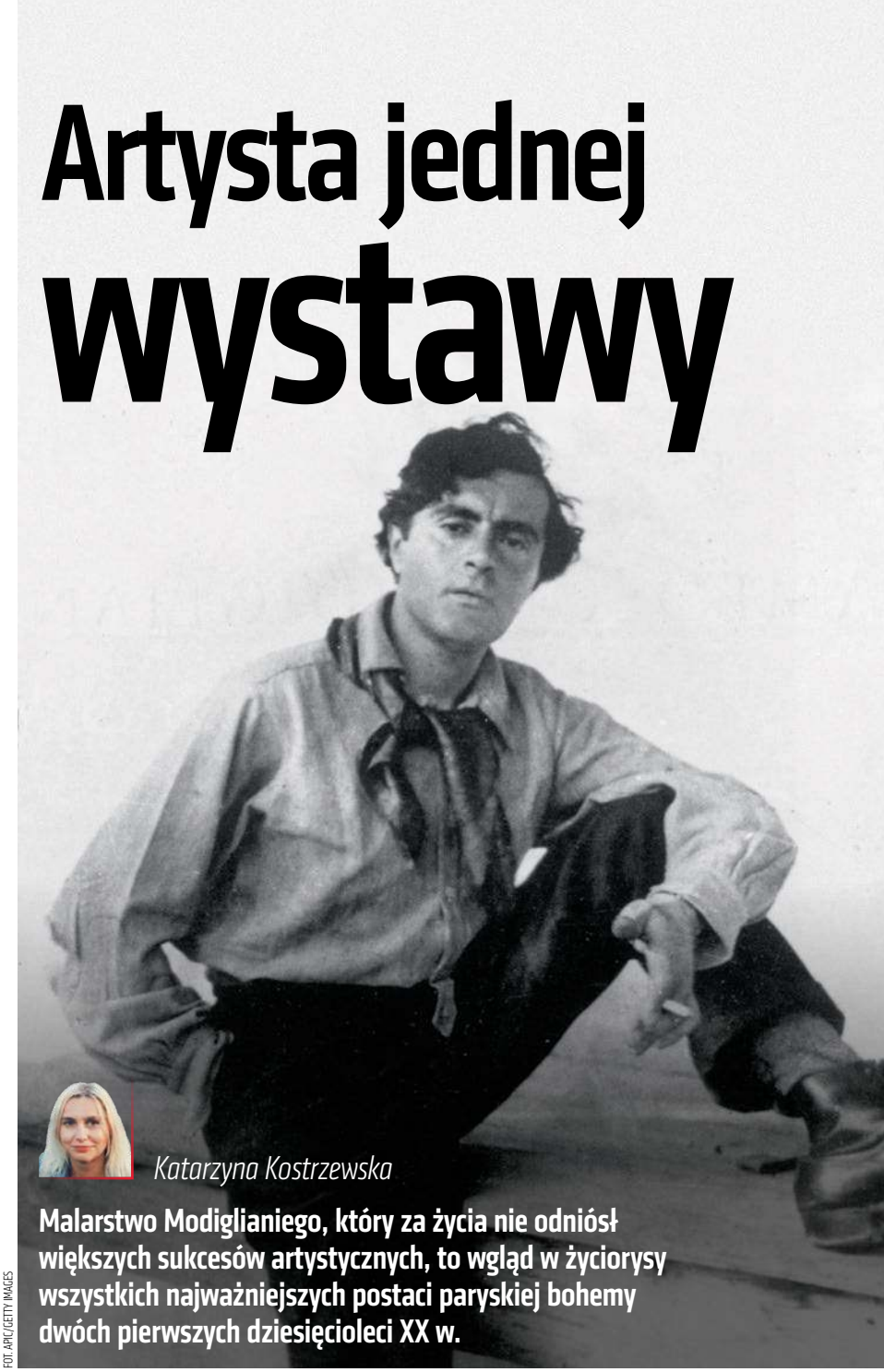

Katarzyna Kostrzewska

Malarstwo Modiglianiego, który za życia nie odniósł większych sukcesów artystycznych, to wgląd w życiorysy wszystkich najważniejszych postaci paryskiej bohemy dwóch pierwszych dziesięcioleci XX w.

FOT. APIC/GETTY IMAGES

Moje włoskie oczy nie mogą przyzwyczaić się do świateł Paryża. Cóż za wszechogarniające światło. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić tych wszystkich tematów, które widzę w fiolecie, głębokim pomarańczu i ochrze" – pisał z entuzjazmem 21-letni artysta z Livorno po przyjeździe do artystycznej stolicy świata. Był rok 1906 i przed włoskim malarzem z żydowskimi korzeniami świat stał otworem. W Paryżu spędzi z małą przerwą kolejnych 14 lat życia, aż do swojej przedwczesnej śmierci w 1920 r.

SZUKAJĄC MISTRZA

Paryż w czasie przyjazdu do niego Modiglianiego był marzeniem każdego młodego artysty. Liczne kawiarnie były miejscem spotkań malarzy, poetów i muzyków, polem wymiany poglądów na sztukę i tworzenia się nowych prądów artystycznych. Prosperowały akademie sztuki, galerie i muzea. Można było tanio wynająć pracownię. Amadeo po przyjeździe do Paryża zamieszkał na Montmartrze, wiosce na wzgórzach z wiatrakami, kabaretami i tancbudami, którym dzielnica zawdzięczała swoją złą reputację. Tam poznał swojego pierwszego protektora – dr. Paula Alexandre'a. Portret jego brata Jeana z tego okresu, na którego odwrocie jest inny obraz, świadczy o tym, że fundusze na materiały malarskie były dość ograniczone.

Po przyjeździe do Paryża Modigliani eksperymentował. W jego wczesnych pracach widać pośredni wpływ Picassa (szczególnie w braku perspektywy) i bezpośredni Cézanne'a (jak na portrecie „Żebraka z Livorno"). Amadeo przechodził ze studia do studia, poznawał kolejne ugrupowania artystyczne, próbował nowych technik i… nie wiązał się z nikim. Poeta Andre Salmon napisał, że Amadeo przyjechał do Paryża w poszukiwaniu mistrza, którego nigdy nie znalazł.

Sztuka Modiglianiego ewoluowała w sposób naturalny również przez eksperymenty z innymi technikami, np. rzeźbą. W tej kwestii znaczący wpływ miał na niego wybitny rumuński rzeźbiarz Constantin Brâncuşi, którego portret na rewersie obrazu „Wiolonczelista" jest jednym z ciekawszych obrazów pochodzących z pierwszych lat paryskich. To właśnie pod wpływem tego artysty Amadeo w 1909 r. przeniósł się do nowego centrum życia artystycznego, czyli na Montparnasse, i na kilka lat skupił się wyłącznie na rzeźbie. Kubista Jacques Lipchitz, sportretowany przez Modiglianiego jako dumny młody małżonek, utyskiwał, że Brâncuşi przekonał Modiglianiego do techniki bezpośredniego kucia w kamieniu, bez wykonywania wcześniejszych glinianych modeli. Kamienne rzeźby artysty, inspirowane m.in. sztuką afrykańską i grecką, pokazane zostały na Salonie Jesiennym w 1912 r. razem z pracami kubistów. Według Lipchitza rzeźby miały tworzyć zespół architektoniczny, co potwierdzał Jacob Epstein, pisząc, że widział w nocy pracownię Modiglianiego wyglądającą jak pogańska świątynia, w której każda z rzeźb miała umieszczoną na szczycie płonącą świecę.

Zarówno córka, jak i przyjaciółka artysty pisały po latach, że jednym z powodów, dla których Modigliani poniechał rzeźby, był wysoki koszt kamienia. Trudno się w pełni zgodzić z tym argumentem, bo artyści dość dobrze radzili sobie z tego

eprasa.pl 59fff9dc19

typu niedogodnościami i najprawdopodobniej nieprzypadkowo rzeźby Amadeo są wykonane z wapnia, którym podówczas okładano fasady budynków na Montparnassie. Dobrze podsumowuje to anegdota kubisty Josepha Csaky'ego o pewnym bogatym Amerykaninie, który zamówił sobie dostawę marmuru w ramach pogłębiania artystycznego hobby. Kiedy kilka dni później wrócił do domu, kamienia nie zastał, natomiast w pobliskich pracowniach wszyscy rzeźbili w marmurze.

PANTEON PARYSKI

Malarstwo Modiglianiego to wgląd w życie wszystkich najważniejszych postaci świata artystycznego Paryża dwóch pierwszych dziesięcioleci XX w., bo artysta malował niemal wyłącznie portrety. Modigliani uwieczniał innych artystów jak Henri Laurens, Juan Gris czy Pablo Picasso. Tego ostatniego szanował za zdolności, ale ganił za brak gustu – „że ma talent to fakt, ale to nie jest powód, żeby się porządnie nie ubierać". Niestety, nie mamy żadnych przesłanek sądzić, że przygana Włocha wpłynęła na poprawę gustu Hiszpana, choć ten ostatni przyznawał, że „jest tylko jeden człowiek w Paryżu, który wie, jak się ubrać, i to jest Modigliani".

Artysta namalował również trzy portrety przyjaciela Picassa wspomnianego wcześniej Maxa Jacoba, poety i pisarza. Jacob, Żyd nawrócony na katolicyzm, mimo że często dyskutował z Amadeo o sprawach wiary, nigdy nie promował sztuki Modiglianiego w swoich artykułach. Nie był zresztą jedynym krytykiem, którego artysta namalował i z którym łączyła go koleżeńska zażyłość, a który nigdy nie wspierał go w jego artystycznej drodze.

Artysta za swojego życia doczekał się tylko jednej indywidualnej wystawy, zamkniętej zresztą przedwcześnie za obrazę moralności. Na usprawiedliwienie policji powiedzmy, że wystawa została urządzona naprzeciwko jej posterunku, a w ramach reklamy w witrynie powieszono akt. Akt, który według ówczesnych standardów był obsceniczny. Zresztą z tym aspektem malarstwa Modiglianiego najwyraźniej jest problem do dziś, bo część katalogu będąca komentarzem do aktów, a towarzysząca tegorocznej wystawie Modiglianiego w Tate Modern, skupia się na ruchach wyzwolenia kobiet z początku XX w. Opisach, które – delikatnie rzecz ujmując – nie współgrają z obrazami artysty.

Znacznie bliższa prawdy jest uwaga kuratorki tejże wystawy, że granice między

Anna Zborowska sportretowana przez Amadeo Modiglianiego w 1917 r. FOT. WIKIPEDIA

prostytucją a modelingiem się zacierały. W istocie co poniektóre oczy patrzące wprost na widza znad obszernych biustów nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że się zacierały, i to bardzo. Sam efekt odbioru aktów Modiglianiego jest zresztą spotęgowany tym, że artysta malował te same modelki ubrane i nagie.

Ciekawie wypada porównanie tych obrazów. Algierka Almaisa spogląda zarówno z portretu, jak i z aktu z prowokacyjną pewnością siebie, podczas gdy Marguerite jest zupełnie inną kobietą – naturalną i piękną – gdy nago pozuje Modiglianiemu, znerwicowaną i nieomal niełądną w swoim zapiętym na ostatni guzik portrecie z 1916 r.

POLSCY PRZYJACIELE

Pod koniec 1916 r. opiekę nad karierą artystyczną Modiglianiego przejął od Paula Guillaume'a polski marszand Leopold Zborowski, zachwycony artystą, którego uważał za bardziej utalentowanego od Picassa. Francuz w tym czasie próbował dyskretnie pozbyć się mecenatu nad artystą, podczas gdy Polak był gotowy zrobić wszystko, żeby się nim zajmować. Wpływ Zborowskiego i innych polskich przyjaciół na los nieodnoszącego przecież za życia sukcesu malarza jest nie do przecenienia. Dlatego podczas ostatniej fantastycznej zresztą wystawy w londyńskiej Tate Modern naszym rodakom poświęcono dużo miejsca, a kuratorki podkreśliły w opisach, że Leopold Zborowski był Polakiem i choć próbuje się sugerować jego żydowskie pochodzenie, to dokumenty tego nie potwierdzają.

Zborowski opłacał Modiglianiemu stypendium i materiały malarskie. Początkowo artysta malował w jego mieszkaniu, później mecenas wynajął mu pracownię. W obawie przed Niemcami zmusił malarza i jego ciężarną dziewczynę Jeanne Hébuterne do wyjazdu z Paryża na południe Francji. Tę samą Jeanne Hébuterne, która jest bohaterką jednej z najbardziej znanej serii portretów Modiglianiego – słonecznych, ciepłych i niestety boleśnie kontrastujących z tragicznym końcem jej życia.

Zborowski z czasem zgromadził wokół siebie innych znakomitych żydowskich artystów związanych z École de Paris, takich jak Chaim Soutine czy Mojżesz Kisling. Sam wielokrotnie pozował Modiglianiemu. Podobnie jak piękna Anna Zborowska, która na równi z Leopoldem była zaangażowana w promowanie malarstwa Modiglianiego.

Ciekawostką jest to, że na swoich portretach Anna wypada dość sztywno, co może mieć dwojakie przyczyny. Albo artysta obawiał się wzbudzenia zazdrości w Leopoldzie, albo wiernie oddawał rzeczywisty dystans do świata swojej modelki. Wyjątkiem jest zjawiskowy portret Anny leżącej na sofie.

Kolejna Polka, zaprzyjaźniona z domem Zborowskich i pośrednio również zaangażowana w promocję sztuki Modiglianiego, to Lunia Czechowska. Modigliani malował ją równie często jak Annę i był nią bardzo zauroczony. Nasze rodaczki – Anna i Lunia – to zresztą jedyne kobiety, które artysta malował wielokrotnie, a które nie były jego kochankami.

Modigliani zmarł na gruźlicę układu nerwowego w 1920 r. „Był synem gwiazd, dla którego rzeczywistość nie istniała" – napisał o nim jego marszand i przyjaciel Leopold Zborowski. Wraz ze śmiercią artysty Leopold Zborowski według relacji Anny stracił serce do handlu sztuką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

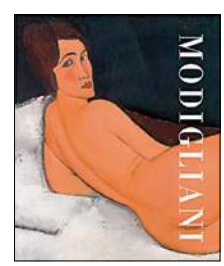

„MODIGLIANI"
SIMONETTA FRAQUELLI AND NANCY IRESON
TATE PUBLISHING, LONDON 2017

Katalog towarzyszył wystawie Modiglianiego w londyńskiej Tate Modern, która trwała do 2 kwietnia 2018 r.

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dusza zaklęta w kieckę

Gdy bohater „Dzikości serca" Davida Lyncha oświadczył, że marynarka z wężowej skóry wyraża jego osobowość, widownia biła brawo. Alexander McQueen zasługuje na jeszcze większy szacunek, ponieważ on ubrania projektował. A raczej „rzeźbił", jak mówią jego fani.

Zgromadzenie wyznawców haute couture może nie jest zbyt liczne, lecz na pewno wielce wpływowe. Wiodąca rola, którą krawcy odegrali w dziejach cywilizacji, zasługuje na opisanie w wielotomowej encyklopedii. Dopóki nikt jej nie napisał, dopóty muszą nam wystarczać przyczynki, w rodzaju filmowej kroniki życia i kariery człowieka, który jakoby podniósł modę do rangi sztuki i „odkrył piękno w brzydocie" (oba te twierdzenia dość łatwo zakwestionować, takich rewolucjonistów jak McQueen było już wielu).

Kreowano go na chuligana. Tymczasem z ekranu patrzy na nas nieśmiały, zakompleksiony młodzian. Lee (imię Alexander wymyśliła stylistka z arystokratycznym backgroundem, która go odkryła i wylansowała) wywodził się ze społecznych dołów. Do branży trafił trochę przypadkiem. Dobrze mu szło krojenie marynarek na Savile Row, ale McQueen stabilizacji nie znosił. Stał się jedną z twarzy renesansu wyspiarskiej popkultury lat 90. Cool Britannia hołubiła outsiderów, nawiązujących do rodzimych tradycji. A dla chłopaka z East Endu natchnieniem był Kuba Rozpruwacz.

Oprócz drygu do krawiectwa Lee miał talent do autopromocji. Jego projekty, zarazem obrazoburcze, nowoczesne i tradycyjne, nikogo nie pozostawiały obojętnym. Owijał modelki folią i kawałkami plastiku, charakteryzował je na zwierzęta, prostytutki, pacjentki psychiatryka lub ofiary gwałtu. Wybieg stylizował na wysypisko śmieci. Z czasem stał się erudytą, jego pomysły, godne opery, cechowało wyrafinowanie, graniczące z perwersją. Ostatni pokaz nosił tytuł „Atlantyda Platona", co mówi samo za siebie.

W opowieści, że McQueen miał duszę rebelianta, lekceważył kasę i sławę, raczej bym nie wierzył. Spostrzeżenia typu „miał w sobie mrok" też pojawiły się post factum. Owszem, ekstrawaganckie projekty brytyjskiego superkrawca są wdzięcznym materiałem dla psychologów i terapeutów, ale oprócz osobowości autora wyrażały też ducha dekadenckich czasów.

Ian Bonhôte ma na sumieniu kuriozalną fabułę o nielegalnych wyścigach rowerowych. Dokument o McQueenie jest o dwie klasy lepszy, choć zagadkę przedwczesnej śmierci bohatera tłumaczy identycznie jak Kevin Macdonald upadek Whitney Houston. Dziecięce traumy, problemy sercowe, narkotyki oraz skłonność do autodestrukcji – oto sprawdzony przepis na gwiazdę popkultury. ©℗

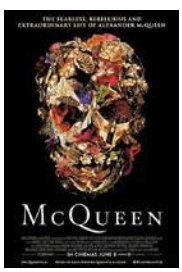

★★★★☆☆
REŻ. IAN BONHÔTE
„MCQUEEN"
WIELKA BRYTANIA 2018

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MAMMA MIA: HERE WE GO AGAIN!"

Świat ponownie przypomni sobie moc przebojów grupy ABBA dzięki kontynuacji hitowego musicalu sprzed dekady. Sophie (Amanda Seyfried), której wesele zgromadziło bohaterów poprzedniego filmu, szykuje się do roli mamy. Ku wsparciu i rozrywce starsze pokolenie zaznajamia ją z czasami, kiedy jej matka Donna (Meryl Streep) sama musiała radzić sobie z macierzyństwem i karierą. Młodą Donnę gra znana m.in. z „Downton Abbey" Lily James. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***reż. Ol Parker, „Mamma Mia: »Here We Go Again!«", USA 2018, wyst. Lily James, Amanda Seyfried, Cher***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***reż. Steven Soderbergh, „Niepoczytalna" („Unsane"), USA 2018***
- ***reż. Ross Venokur, „Książę Czaruś" („Charming"), USA/Kanada 2018***
- ***reż. Barbara Bredero „Moja żyrafa" („Dikkertje Dap"), Niemcy/Holandia 2017***

eprasa.pl 59fff9dc19

POLONIA RECORDATUR · POLSKA PAMIĘTA ·

DODATEK SPECJALNY

100 lat polskich kolei na drodze do niepodległości

- Pancerne składy ruszają na Kresy
- Parowozy II RP najmocniejsze
- Luksus jak w Orient Expressie

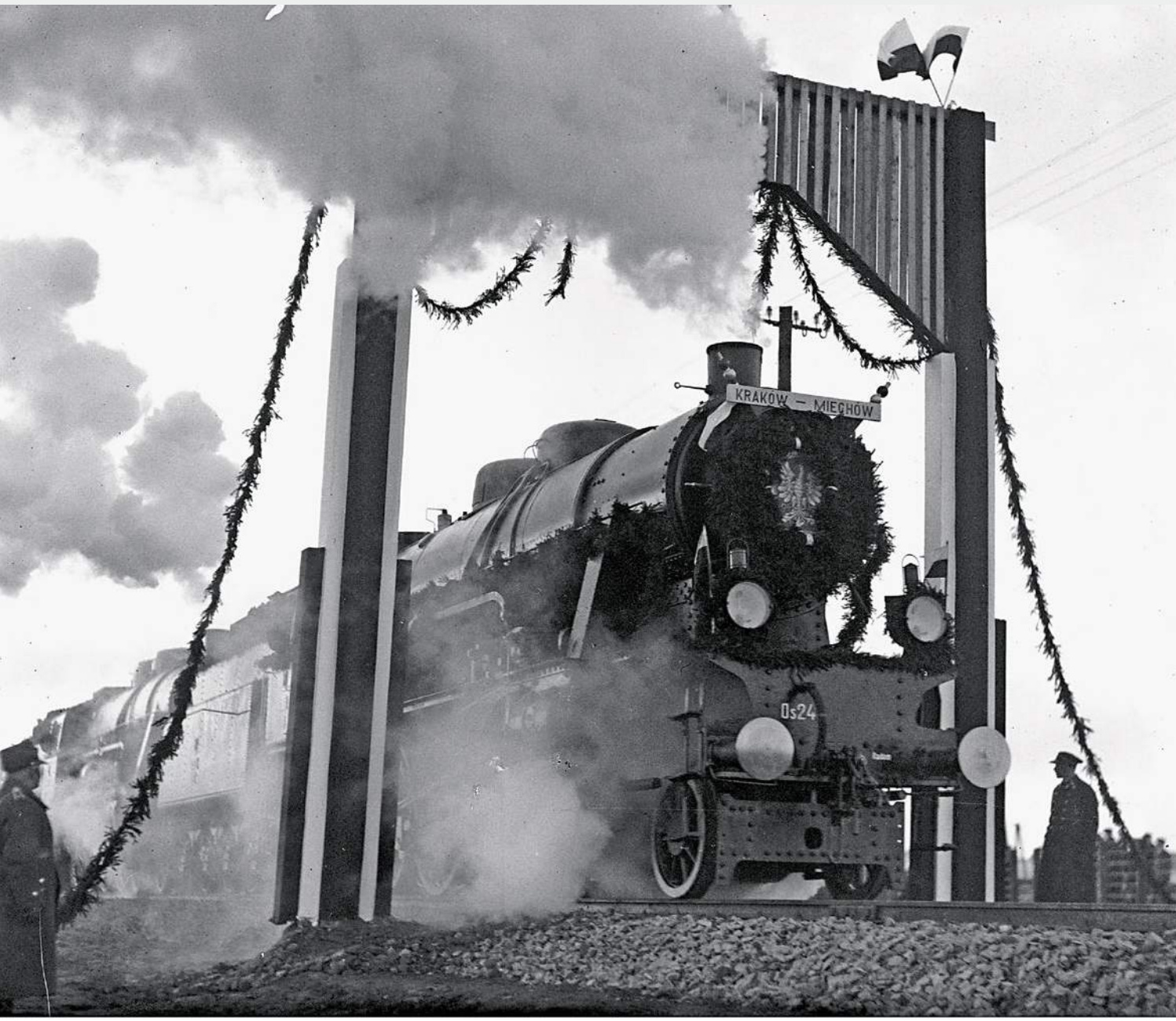

Partner wydania

PKP
POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl 59fff9dc19

Pociąg pancerny „Danuta", zdobyty na Niemcach przez Wielkopolan, ruszył wkrótce na Kresy FOT. NAC

SPIS TREŚCI

IV–VI TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
PANCERZ PRZECIW BOLSZEWII
„Mściciel" strzelał z karabinów maszynowych, a „Śmierć" z haubic. Po każdym strzale paru jeźdźców wylatywało w powietrze, wywracając koziołki wraz z końmi...

VII–IX ANDRZEJ KRAJEWSKI
PĘD DO NOWOCZESNOŚCI
Wizjonerskie lokomotywy i bijące rekordy prędkości pociągi stały się jedną z wizytówek niepodległej Polski. Stworzono je, mając tylko jeden atut – genialny kapitał ludzki: projektantów i wykonawców z Poznania, Chrzanowa, Warszawy...

X–XII ANDRZEJ KRAJEWSKI
LUKSUS NA SZYNACH
Gdy pociągi się nie spóźniały, a ich obsługa cieszyła się szacunkiem całego społeczeństwa, ostatnią rzeczą, jaką jeszcze mogły PKP zaskoczyć podróżnych, była odrobina przepychu, godnego Orient Expressu.

XIII–XV MACIEJ ROSALAK
NA TORACH GALICJI
Dzięki „Piłsudczykowi" i „Śmiałemu" najpierw do Przemyśla – 12 listopada – a potem do Lwowa 20 listopada 1918 r. dotarła odsiecz, która wyrzuciła ukraińskich „hajdamaków" z miasta.

eprasa.pl 59fff9dc19

Kolejofilstwo II RP

Polacy mają pełne prawo być dumni ze swoich przedwojennych kolei. Tak zwani kolejofile – a tych miłośników parowozów, tendrów, wagonów, torów, semaforów, stacji i dworców dotąd jest niemało – nadal zbierają modele lokomotyw wielkiej mocy, spalinowych lukstorped czy pociągów pancernych z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Połączenie i naprawy odrębnych sieci trzech zaborów, pierwsze niezbędne inwestycje oraz uzupełnianie taboru – to zadania, które trzeba było wykonać i wykonano na początku tego okresu.

Polskie Koleje Państwowe, które powstały 24 września 1926 r., po trwających od 1919 r. nie zawsze szczęśliwych przeobrażeniach naszego kolejnictwa, dokazały jednak wyjątkowo wielkich rzeczy. Przede wszystkim zaczęły przynosić zysk. Pociągi stały się punktualne i szybkie. Organizacja – niezawodna. Personel – wzorowy. Etyka zawodowa, profesjonalizm, a nawet prezencja kolejarzy – maszynistów, zawiadowców, konduktorów czy dróżników – stały na najwyższym poziomie. O tym, jak do tego doszło, pisze Andrzej Krajewski. On też przypomina spektakularne osiągnięcia PKP, które wyniosły polskie kolejnictwo do europejskiej czołówki.

Oto prof. Antoni Xiężopolski, twórca Katedry Budowy Lokomotyw na Politechnice Warszawskiej, zaczął kierować pracami biur konstrukcyjnych: przy Zakładach Cegielskiego oraz przy Fabloku w Chrzanowie. Tak powstał parowóz Pt31. Ważył on 106,3 t, a potrafił ciągnąć składy o wadze 650 t z prędkością maksymalną 110 km/godz. Po wejściu do seryjnej produkcji w 1932 r. zdobył sobie sławę jednego z najlepszych parowozów świata. Chrzanowska fabryka wyprodukowała 98 sztuk Pt31. Ostatnią PKP wycofały z użytku w roku 1980!

Natomiast spalinowa lukstorpeda na trasie z Krakowa do Zakopanego przewoziła pasażerów w ciągu 2 godzin 18 minut (dziś pociąg IC jedzie 2 godziny 49 minut…). Luksusowe wagony z HCP wyposażono w akustyczną izolację tłumiącą hałas, wygodne przedziały sypialne z rozkładanymi kanapami oraz przedziały turystyczne ułatwiające przewóz m.in. sprzętu narciarskiego. Zakłady Lilpopa budowały zaś niestandardowe wagony specjalne: restauracyjne, dancingowe, kąpielowe, kinowe. I oto w połowie lat 30. luksus, jaki PKP oferowały najbogatszej klienteli, przerastał składy Orient Expressu... Zysk rósł, a odprowadzany był do Skarbu Państwa.

To wszystko było możliwe w niepodległej Polsce, zarządzanej przez zdolnych i uczciwych ludzi.
A niepodległość i granice Polacy wywalczyli w twardej walce. Uczestniczyły w niej od pierwszych dni pociągi pancerne (patrz: artykuły Tymoteusza Pawłowskiego i Macieja Rosalaka): parę gotowych, zdobycznych, i następne – budowane, ale i improwizowane, z użyciem metalowych drzwi, kłód drewna, betonu. Przyczyniły się m.in. do zwycięstw w wojnie z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej (1918–1919) oraz z bolszewikami w latach 1919–1920. ©℗

Maciej Rosalak

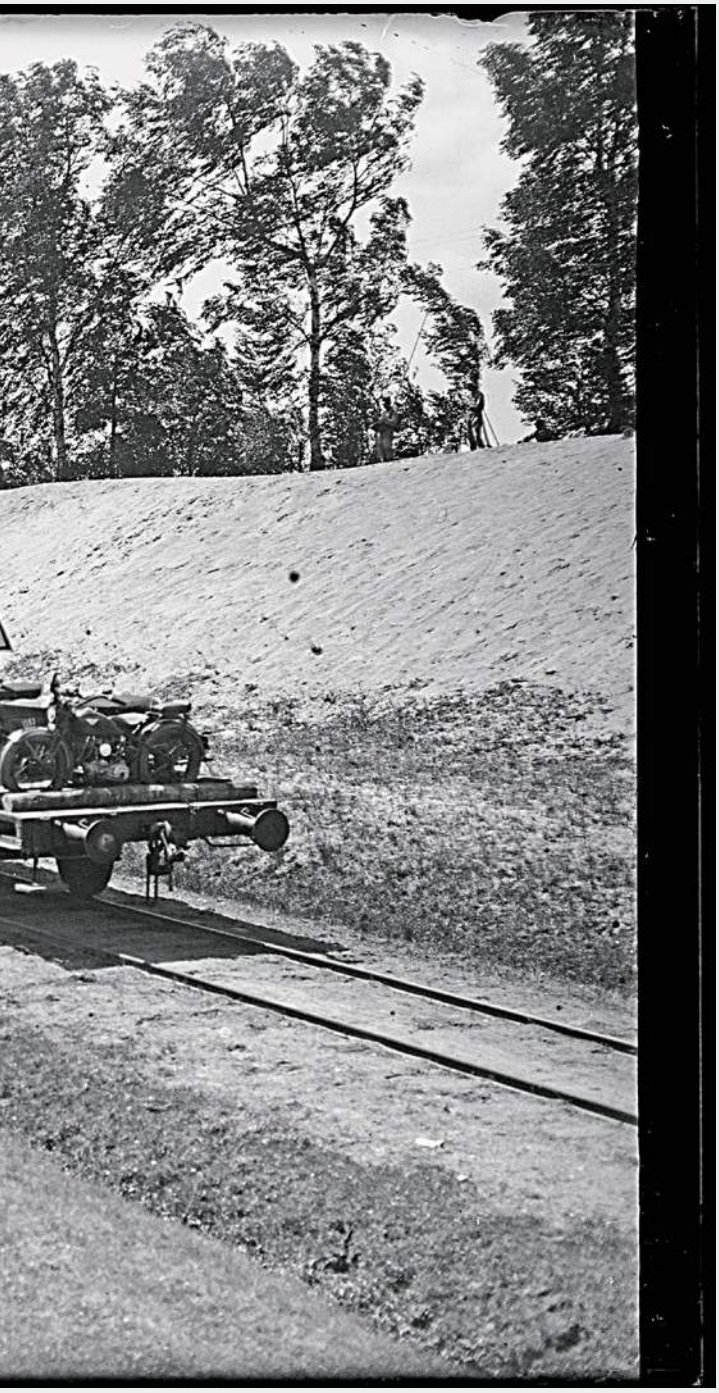

Ckm Schwarzlose produkcji austriackiej, używany też w wojnie o granice Rzeczypospolitej FOT. WIKIMEDIA

REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **NAC**

eprasa.pl 59fff9dc19

Pancerne pociągi przeciw bolszewikom

Tymoteusz Pawłowski

Polski strzelec wspominał: „Mściciel" przyjął atak bolszewików, ostrzeliwując ich z karabinów maszynowych, „Śmierć" z haubic, skutecznie prażąc ich swymi pociskami. Mieliśmy śliczny widok, bo po każdym strzale paru jeźdźców wylatywało w powietrze, wywracając koziołki wraz z końmi...

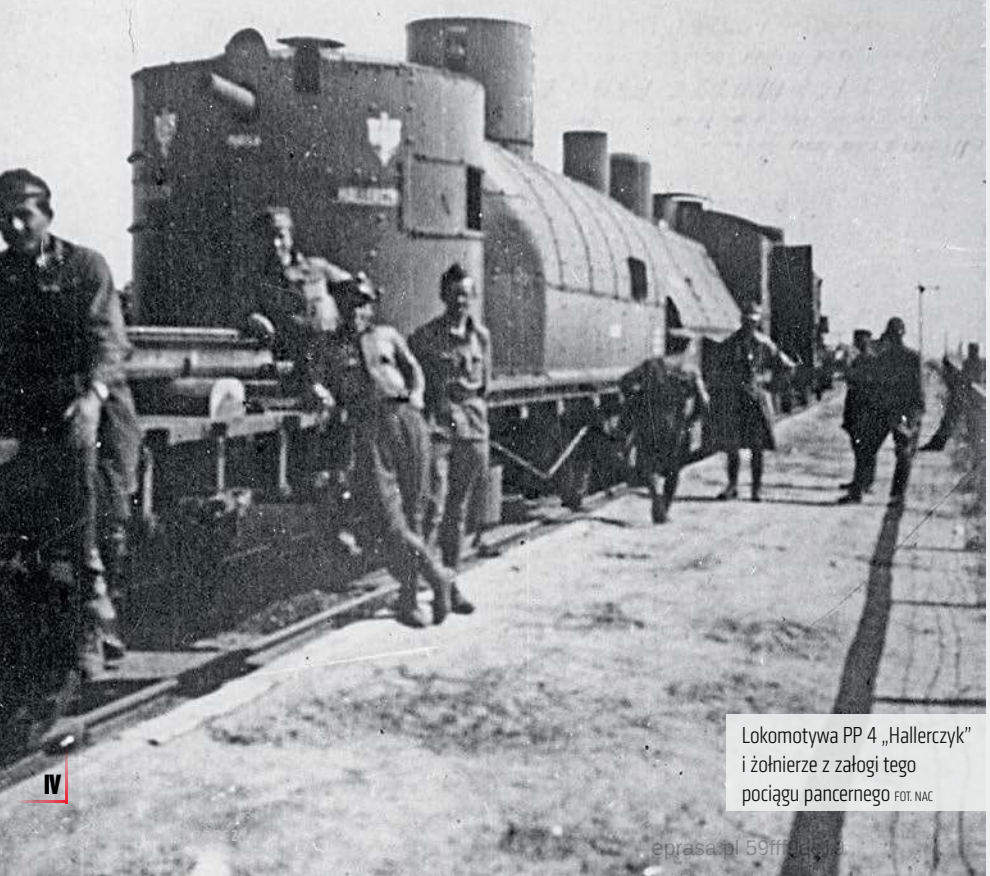

Lokomotywa PP 4 „Hallerczyk" i żołnierze z załogi tego pociągu pancernego FOT. NAC

11 listopada 1918 r. jest obchodzony jako Narodowe Święto Niepodległości. Niepodległość zawdzięczamy nie tylko politykom i wojskowym, lecz także kolejarzom – dzięki ich sprawności i wytężonej pracy okupacyjne wojska niemieckie zostały wywiezione z polskich ziem w rekordowym czasie – w ciągu sześciu dni. W kolejnych miesiącach kolejarze i ich pociągi wspierały wysiłek wojenny Rzeczypospolitej, a także wzięły bezpośredni udział w walkach.

Pomysł wykorzystania pociągów do celów wojennych jest równie wiekowy co one same. Początkowo używano ich do przerzutu wojsk i transportu zaopatrzenia. Wojny w XIX-wiecznej Europie trwały zbyt krótko, żeby pociągi stały się maszynami bojowymi. Impuls do takiego ich zastosowania przyszedł zaś ze Stanów Zjednoczonych – wojna secesyjna trwała na tyle długo, żeby opłacało się montować w pociągach działa i osłaniać je pancerzami. Gdy latem 1914 r. wybuchła pierwsza z wojen światowych, niemal wszystkie wojujące państwa uzbroiły swoje pociągi i wysłały je na front. Losy wojny potoczyły się tak, że większość z nich wzięła udział w walkach na ziemiach polskich – Rosjanie, Austriacy i Niemcy używali po kilkanaście pociągów pancernych. Część z nich trafiła później w polskie ręce i przydała się w czasie wojen o niepodległość i granice.

WOJNA NA TORACH

Jednak prawdziwa kariera pociągów pancernych związana jest z rosyjską wojną domową. Masowo używali ich zarówno biali, jak i czerwoni Rosjanie. Na olbrzymich przestrzeniach Rosji i państw ościennych działało kilkaset „maszyn bojowo-kolejowych" i często miały one decydujące znaczenie dla całych kampanii. Z reguły rosyjski pociąg pancerny składał się z pojedynczego wagonu, uzbrojonego w armatę, oraz tzw. wagonów szturmowych, w których podróżowała – i z których walczyła – piechota. Lokomotywa i wagony były opancerzone płytami stalowymi, najczęściej jednak prowizorycznie osłaniano je blachą kotłową lub grubymi podkładami kolejowymi.

Walki toczyły się z reguły o stacje kolejowe. Gdy podjeżdżał pod nie pociąg pancerny, wysypywała się z niego piechota i – wsparta ogniem armaty – szturmowała cel. O powodzeniu lub klęsce często decydowały determinacja

eprasa.pl 59fffd619

oraz wola walki. Jeśli ogień armaty nie przestraszył obrońców i atak się nie powiódł, wówczas piechota wracała do pociągu, który wycofywał się na „z góry upatrzone pozycje". Intensywność takiego boju była niewielka, straty – z reguły – nikłe, a taktyka i doświadczenia rosyjskiej „wojny eszelonowej" okazały się zupełnie bezwartościowe w późniejszych bojach z Wojskiem Polskim. Polacy bowiem wykorzystywali pociągi pancerne w zupełnie inny, dużo bardziej zaawansowany technicznie i taktycznie sposób.

Pierwsze pociągi pancerne Polacy zdobyli na początku listopada, rozbrajając wojska austro-węgierskie. Do końca 1918 r. dysponowano 11 składami, przy czym niemal wszystkie zmontowano w zakładach kolejowych. Do końca 1919 r. zbudowano 55 lokomotyw pancernych i blisko 300 wagonów bojowych. Nie znaczy to, że tak wiele pociągów pancernych brało udział w walce. Życie pociągu pancernego przypominało bowiem siekierę pradziadka, która ma co prawda sto lat, ale pięć razy wymieniano w niej stylisko, a 10 razy – ostrze. Pociągi pancerne składały się przede wszystkim z załóg, a pancerne parowozy i wagony bojowe były niszczone, naprawiane, zamieniane, rozbierane...

Przeciętny polski pociąg pancerny miał kilkadziesiąt wagonów. Większość z nich nie brała udziału w walkach – służyły do przewożenia zapasów oraz załogi, a odłączano je na ostatniej bezpiecznej stacji przed linią frontu. Skład bojowy składał się przede wszystkim z lokomotywy pancernej, dwóch wagonów szturmowych oraz dwóch wagonów artyleryjskich. Całość uzupełniały platformy znajdujące się na przedzie i tyle składu bojowego. Ich zadaniem było zdetonować miny, na nich przewożono także sprzęt potrzebny do naprawienia zerwanych szyn, a nawet małych mostów.

Załoga bojowa składała się z kilkudziesięciu żołnierzy. Polacy – inaczej niż Rosjanie w czasie wojny domowej – walczyli nie żołnierzami przewożonymi pociągami, ale „techniką", czyli dwoma – lub więcej – działami i kilkoma karabinami maszynowymi. Różnicę stanowiła również liczniejsza kadra oficerska – armaty i karabiny wymagają bowiem precyzyjniejszego dowodzenia niż kilkuset strzelców rzuconych do ataku wzdłuż torów. Maszynistami i palaczami byli oczywiście zmobilizowani kolejarze, z reguły jeden pociąg obsługiwały trzy takie brygady.

Pierwsze bojowe użycie pociągów pancernych nastąpiło podczas odsieczy lwowskiej, jeszcze w listopadzie 1918 r. (patrz: „Pociągi pod pancernym dozorem" na końcu tego dodatku). Tutaj zauważmy, że w „Śmiałym" służył Melchior Wańkowicz, który pozostawił z tej służby kilka artykułów i garść wspomnień. Dowodził pociągiem szwagier pisarza, Stanisław Małagowski, weteran pociągów pancernych jeszcze z czasów I wojny światowej. Małagowski tak wspominał wyzwolenie Przemyśla: „Sanu woda przed nami i most przez San ogromny, żelazny, odrutowany jak łapka na myszy. Podminowali go z pewnością. Wyskakuje to sprawdzić patrol. Strzelanina ruska, i tak dość ożywiona, potraja się. Wszystkich pięciu wywiadowców zostaje rannych i wraca, brocząc krwią. Zbadać most jest niemożliwe. A no trudno! Rozpędzamy się, parę wstrzymujemy, żeby nam nie zasłaniała widoku, i wpadamy na most pełnym pędem..." (warto pamiętać, że Małagowski zginął w lipcu 1919 r. podczas walk z Rosjanami, nie wiemy więc, czy barwne wspomnienia pozostawił on, czy napisał je jego szwagier literat).

Od walk pod Lwowem przybywało polskich pociągów pancernych. Są to pociągi zbudowane w 1919 r., w 1920 r. powstały kolejne i w wojnie z bolszewikami wykorzystaliśmy ich kilkadziesiąt. Oto nazwy niektórych: „Podpułkownik Lis-Kula", „Hallerczyk", „Odsiecz", „Gromobój", „Chrobry", „Wilk", „Danuta", „Pionier", „Poznańczyk", „Kaniów", „Boruta", „Zagończyk", „Paderewski", „Mściciel", „Rzepicha", „Odsiecz II", „Generał Dowbór", „Groźny", „Stefan Czarniecki", „Generał Sosnkowski", „Generał Sikorski", „Śmigły". Warto pamiętać te imiona nie tylko dla upamiętnienia bohaterów, lecz także przybliżenia specyficznej wojennej poetyki…

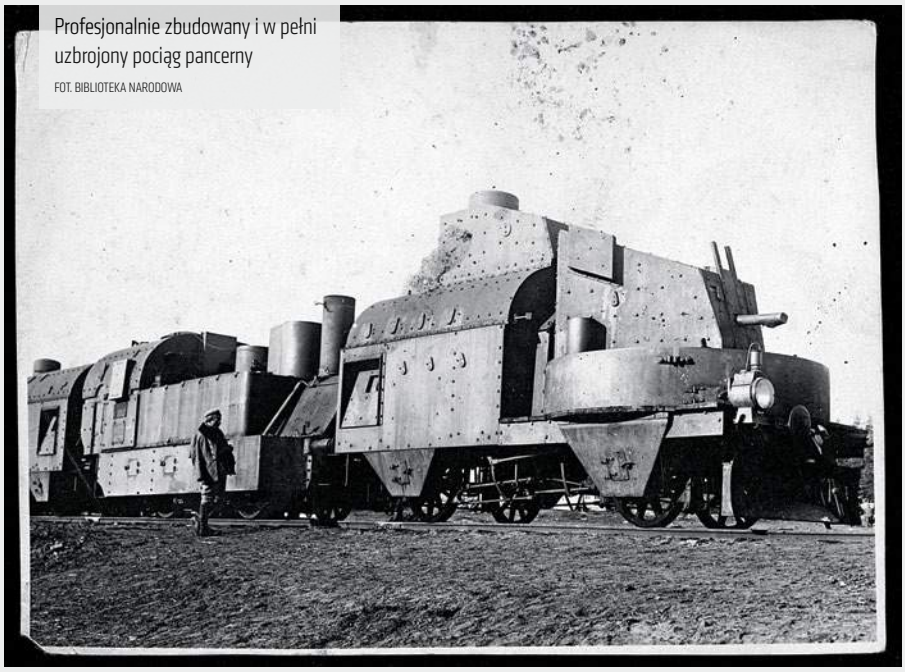

Profesjonalnie zbudowany i w pełni uzbrojony pociąg pancerny

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pociągi pancerne broniły zarówno Lwowa przed Ukraińcami, jak i Śląska Cieszyńskiego przed Czechami oraz Wielkopolski przed Niemcami. Najważniejszym jednak sprawdzianem była wojna przeciwko bolszewickiej Rosji. Na dużą „kolejową" skalę rozpoczęła się wiosną 1919 r. od wyzwolenia Wilna. Im dalej na wschód szli Polacy, tym więcej problemów miały pociągi pancerne. Coraz częściej walczono z dala od własnej piechoty, coraz rzadsza stawała się sieć kolejowa, a w pewnym momencie... kończyła się. Szyny kolejowe zmieniały swój rozstaw, a po szerokich rosyjskich torach nie mogły jeździć polskie pociągi. Zanim saperzy przekuli tory, kolejarze zbudowali prowizoryczne pociągi, na które przeniesiono uzbrojenie i załogi. Przez kilka miesięcy w raportach można było czytać o takich pociągach jak „Szeroki Piłsudczyk" i „Szeroki Śmiały".

eprasa.pl 59fff9dc19

Pierwsze walki z Rosjanami przynosiły więcej zwycięstw Polakom między innymi z powodu wspomnianych różnic w taktyce. Jednak bolszewicy skierowali na przeciwpolski front coraz więcej coraz cięższych i coraz lepiej opancerzonych oraz uzbrojonych pociągów. Polacy budowali pociągi w zakładach kolejowych, wyposażając je w działa artyleryjskie i opancerzając płytami stosowanymi niegdyś do wzmacniania okopów. Rosjanie korzystali z zapasów stoczniowych, uzbrajając składy bojowe w działa okrętowe i osłaniając je grubymi blachami pancernymi. Do walk pomiędzy pociągami dochodziło jednak dość rzadko – na przeszkodzie stał różny rozstaw torów po obu stronach frontu.

W tym czasie polskie pociągi pancerne były zresztą maszynami improwizowanymi. Nie wszystkie miały pancerz stalowy, niektóre – żelazny, zdarzały się także osłonięte podkładami kolejowymi, a nawet betonem. Niemal każdy wagon był inny, różnorodne były także lokomotywy. Prace nad skonstruowaniem nowoczesnych polskich pociągów pancernych co prawda podjęto, ale miały one przynieść rezultaty niemal na samym końcu wojny. Na przełomie lat 1919 i 1920 walki na froncie polsko-rosyjskim powoli zamierały, co pozwoliło polskim wojskom kolejowym przygotować się do nowej kampanii.

ÓW ROK 1920

Nowy rok 1920 pociągi pancerne zaczęły od wyzwolenia łotewskiego Dyneburga, a następnie wzięły udział w obsadzaniu Pomorza, który Niemcy zwrócili Polsce. Warto przy tym zaznaczyć, że dzięki sprawnie działającej sieci kolejowej możliwe było przerzucanie całych polskich armii nie tylko z jednego frontu na drugi, lecz także z jednego końca Rzeczypospolitej na drugi. Jeszcze w 1919 r. niektóre wielkopolskie dywizje w przeciągu jednego miesiąca odbyły trzy takie podróże: najpierw z odsieczą Lwowa, później na front przeciwniemiecki, a następnie znów na wschód. Kolejny rok – jak się wkrótce miało okazać – również był wypełniony takimi podróżami.

Najważniejszymi operacjami były wyzwolenie Kijowa i odbudowa państwowości ukraińskiej. Kijów wyzwolono w miarę łatwo, ale zmęczeni Ukraińcy – dla nich wojna trwała już szósty rok – nie zdołali odbudować ani państwa, ani armii. Polska obecność w Kijowie trwała więc tylko nieco ponad miesiąc, w początkach czerwca 1920 r. konieczny był odwrót. Na front Rosjanie rzucili bowiem całą 1. Armię Konną Siemiona Budionnego.

Przez pierwsze 10 dni walk nie zdołała ona przebić się przez polskie pozycje. Dokonała tego dopiero 5 czerwca, pod Samhorodkiem, i natychmiast ruszyła do przodu rabować, gwałcić i palić. Ofiarami czerwonoarmistów byli przede wszystkim cywile, jednostki tyłowe, szpitale polowe oraz transporty kolejowe. Ich łupem padł również unieruchomiony pociąg pancerny „Generał Dowbór", a jego 130-osobowa załoga została wymordowana. W kolejnych dniach przewadze wroga uległ „Generał Dąbrowski", tym razem Rosjanie usatysfakcjonowali się „jedynie" wymordowaniem wszystkich oficerów.

Pociągi pancerne doznawały porażek przede wszystkim wówczas, gdy walczyły odizolowane od piechoty, kawalerii czy artylerii. Taka była jednak specyfika ich służby, wykorzystywano je do rozpoznania i walk opóźniających. Dzięki poświęceniu żołnierzy polskich wojsk pancernych i kolejowych – w latach 1918–1920 poległo ich ok. 2 tys. – przed śmiercią i niewolą zdołano uratować dziesiątki tysięcy, jeśli nie setki tysięcy Polaków oraz Ukraińców.

To właśnie na Ukrainie, w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu, w walkach przeciwko 1. Armii Konnej, polskie pociągi pancerne wykazały swoją przydatność. Jazda Budionnego przemieszczała się zbyt szybko, żeby mogła ją dogonić polska piechota – wykorzystywano więc do tego pociągi pancerne. Ułatwieniem dla Polaków było to, że sieć kolejowa była tam gęstsza niż na Litwie i Białorusi. Możliwe było więc skoncentrowanie wielu pociągów pancernych: podczas obrony Równego walczyło wokół niego aż 10 takich maszyn. W takich warunkach – jako wsparcie piechoty – ich skuteczność była bardzo wysoka.

Starszy strzelec Czesław Lewandowski z 81. Pułku Strzelców Kaniowskich tak wspominał wrażenie, jakie na żołnierzach Konarmii zrobiły w sierpniowych walkach pod Zamościem dwa polskie pociągi pancerne: „»Mściciel« przyjął atak bolszewików, ostrzeliwując ich z karabinów maszynowych, »Śmierć« z haubic, skutecznie prażąc ich swymi pociskami. Mieliśmy śliczny widok, bo po każdym strzale paru jeźdźców wylatywało w powietrze, wywracając koziołki wraz z końmi".

Polskie pociągi pancerne brały oczywiście udział w Bitwie Warszawskiej i w wypieraniu Rosjan poza granice Rzeczypospolitej. Tuż przed podpisaniem październikowego rozejmu poznańskie zakłady kolejowe oddały do służby pierwszy z nowoczesnych pociągów pancernych. Były to prawdziwe potwory na szynach: pojedynczy wagon artyleryjski miał siłę ognia równą całym dawnym pociągom. Wagon taki był doprawdy potężny – ważył 70 t. Wojna dobiegała jednak końca. Niemniej pociągom pancernym przyszło służyć również w kolejnej...

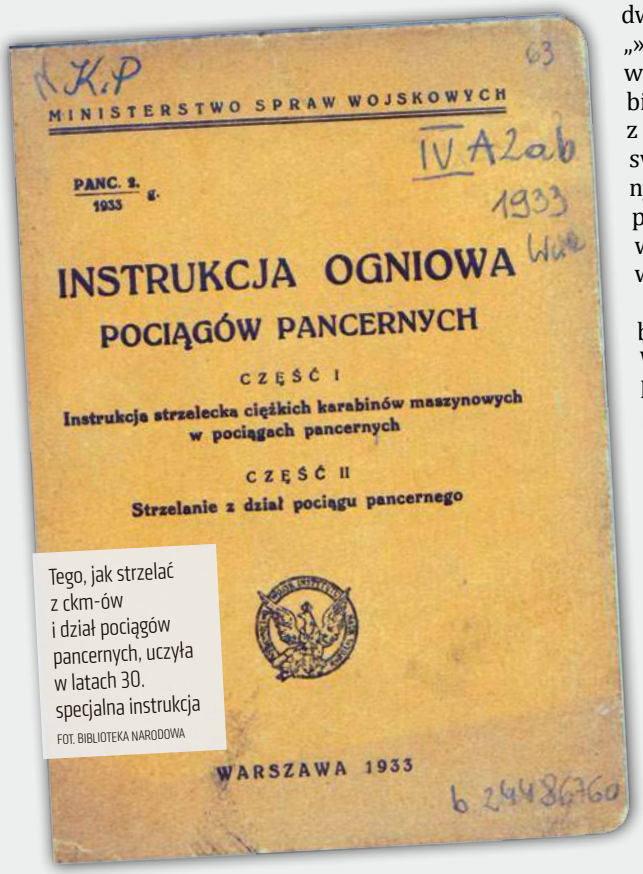

Tego, jak strzelać z ckm-ów i dział pociągów pancernych, uczyła w latach 30. specjalna instrukcja
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Andrzej Krajewski

Wizjonerskie lokomotywy i bijące rekordy prędkości pociągi stały się jedną z wizytówek niepodległej Polski. Stworzono je, mając tylko jeden atut – genialny kapitał ludzki

Uczestnicy i obserwatorzy prób z parowozami Tp4 w sierpniu 1926 r.

FOT. NAC

Pęd do nowoczesności

Dla Włodzimierza Lenina dyrektor Zakładów Mechaniczno-Metalurgicznych i Wagonowych „Fenix" w Rydze Antoni Xiężopolski stanowił wyjątkowo cenną zdobycz. Polak jeszcze w carskiej Rosji zdobył sławę wybitnego konstruktora, projektującego doskonałe lokomotywy oraz równie niezawodne składy kolejowe. Jak opisuje Zbigniew Tucholski w książce „Profesor Antoni Xiężopolski. Twórca polskiej szkoły budowy lokomotyw", jej bohater okazał się także znakomitym menedżerem. Pod rządami Polaka spółka Fenix wyrosła na czołowego producenta taboru kolejowego w Europie. Tuż przed I wojną światową co czwarty wagon jeżdżący po torach w imperium Romanowów wyprodukowano w Rydze.

Lenin doceniał znaczenie kolei dla państwa, dlatego zaraz po tym, jak bolszewicy przejęli władzę w Petersburgu (wówczas Piotrogrodzie), nakazał Xiężopolskiemu objęcie posady kierownika Sekcji Kolejowej Petrotjaż (Piotrogrodzkiego Zarządu Rejonowego Zakładów Przemysłu Ciężkiego). Kierownik z przymusu wiedział dobrze, co się stanie z nim i jego rodziną, jeśli odmówi Leninowi. Wolność odzyskał dopiero po podpisaniu przez Polskę i bolszewicką Rosję traktatu ryskiego. Sowieci pozwolili mu w sierpniu 1921 r. wraz z rodziną wrócić do ojczyzny. Wkrótce Naczelnik Państwa Józef Piłsudski nadał Xiężopolskiemu tytuł profesora zwyczajnego i przekonał go do zajęcia się tworzeniem Katedry Budowy Lokomotyw na Politechnice Warszawskiej.

Po zaborcach Polska odziedziczyła prawie 5 tys. parowozów, ale jedynie połowa nadawała się do użytku. Do zakupu lokomotyw za granicą konieczna była twarda waluta, której młodemu państwu stale brakowało, podobnie jak lokomotyw. Powoli więc z produkcją ruszała w Chrzanowie Pierwsza Fabryka Lokomotyw w Polsce „Fablok" SA. Z rządową pomocą rozwijała się Warszawska Spółka Akcyjna Budowy Parowozów (znana jako Parowóz). Także za sprawą rządowych kontraktów wytwarzaniem lokomotyw zainteresowały się Zakłady Hipolita Cegielskiego w Poznaniu. Jednak każda z tych firm pilnie potrzebowała nowych konstrukcji, nadążających za technologicznym postępem i światowymi trendami. Tymczasem inżynierów znających się na kolejnictwie brakowało.

Do kształcenia w ekspresowym tempie młodych konstruktorów prof. Xiężopolski zabrał się z wielką energią. Już po kilku latach jego praca zaczęła przynosić znakomite efekty. Kiedy zaczynał się rok 1930, był tuż przed siedemdziesiątką, szykował się więc do przejścia na emeryturę. Jednak

eprasa.pl 59fff9dc19

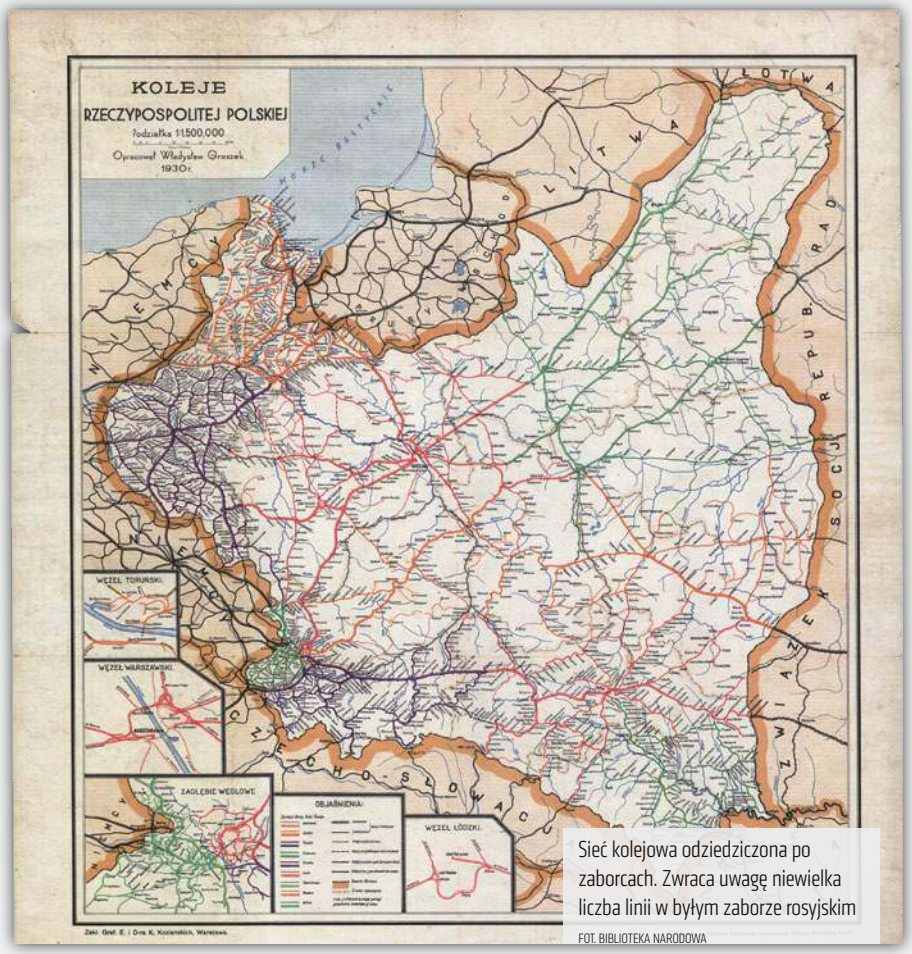

Sieć kolejowa odziedziczona po zaborcach. Zwraca uwagę niewielka liczba linii w byłym zaborze rosyjskim

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

gdy usłyszał prośbę ministra komunikacji Alfonsa Kühna, nie mógł odmówić, choć prezentowała się ona jak misja niemożliwa do wykonania.

LOKOMOTYWA RACJĄ STANU

Polska potrzebowała natychmiast lokomotywy zdolnej ciągnąć aż 19 maksymalnie dociążonych wagonów towarowych z prędkością ponad 100 km/godz. Oznaczało to konieczność zaprojektowania parowozu mocniejszego i szybszego od wszystkich, jakie jeździły w Europie. Wszystko z powodu wojny gospodarczej, toczonej przez II RP z Republiką Weimarską. Po wymianie ciosów w postaci nałożenia maksymalnych stawek celnych na wszelkie możliwe towary walczące strony szukały coraz to nowych sposobów pognębienia przeciwnika. W 1930 r. Niemcy wpadli na pomysł, jak użyć przeciw Polakom konwencji tranzytowej, narzuconej obu krajom w Wersalu przez alianckie mocarstwa.

Podpisany w kwietniu 1921 r. w Paryżu dokument nakazywał II RP umożliwianie za opłatą przejazdu niemieckim składom kolejowym przez Pomorze do Prus Wschodnich. Przy czym od zachodniej granicy korytarza gdańskiego do punktu docelowego w Prusach oraz z powrotem niemieckie wagony miały ciągnąć polskie lokomotywy. Warszawa nie mogła odmówić Niemcom prawa do tranzytu, ponieważ zachodnie mocarstwa uznały go za jeden z ekwiwalentów przyznanych Republice Weimarskiej w zamian za przyłączenie do II RP Wielkopolski i części Górnego Śląska. Wszelkie spory między obu państwami związane z przestrzeganiem konwencji miał rozstrzygać sąd polubowny rezydujący w Gdańsku.

To do niego Deutsche Reichsbahn wniosły skargę, że polska strona sabotuje paryskie porozumienie, ponieważ lokomotywy dostarczane przez PKP nie przeciągały na czas niemieckich składów. Skrzętnie przemilczano przy tym, że powiększono je tak bardzo, iż nawet najmocniejszym z polskich parowozów (Ty23) udawało się ciągnąć niemieckie wagony z trudem i to dopiero po podczepieniu dwóch lokomotyw. Oskarżenie o blokowanie przez II RP tranzytu dawało Republice Weimarskiej pretekst do podnoszenia kwestii zasadności takiego wytyczenia granicy, by Prusy Wschodnie pozostawały oddzielone od reszty Rzeszy.

W zamian za zgodę na podjęcie się niezmiernie trudnego zadania prof. Xiężopolski otrzymał od ministra Kühna nadzwyczajne uprawnienia. Mógł wedle własnego uznania kierować pracami dwóch biur konstrukcyjnych, stworzonych przy Zakładach Cegielskiego (funkcjonujących już pod marką HCP) oraz przy Fabloku w Chrzanowie. U Cegielskiego zespołem konstruktorów kierował stary znajomy profesora z czasów budowy Kolei Władykaukaskiej i projektowania jeżdżących po niej pociągów inż. Gustaw Bryling. Współpraca starych weteranów ułożyła się znakomicie, zwłaszcza że wspierało ich młode grono uczniów Xiężopolskiego z Politechniki Warszawskiej.

W zaledwie 12 miesięcy zaprojektowano i zbudowano superparowóz Pu29. Najcięższa lokomotywa ówczesnej Europy ważyła 181,3 t. Potrafiła ciągnąć wagony o łącznej wadze ponad 700 t z szybkością 110 km/godz. Deutsche Reichsbahn nie były w stanie przelicytować możliwości polskiej maszyny, ponieważ nie dysponowały lokomotywami o nawet zbliżonej sile. Jednak z racji pośpiechu przy projektowaniu oraz budowie lokomotywa Pu29 okazała się zbyt ciężka jak na możliwości trakcji kolejowych w Polsce. Mogła się poruszać jedynie po kilku głównych. Dlatego HCP wyprodukowało jedynie trzy egzemplarze. Zaszachowano nimi niemieckie próby podważenia konwencji tranzytowej.

Jednocześnie pod nadzorem prof. Xiężopolskiego konstruktorzy Fabloku zaprojektowali w mniej sprinterskim tempie dużo zgrabniejszy parowóz Pt31. Ważył on o ponad jedną trzecią mniej od Pu29, bo jedynie 106,3 t, a potrafił ciągnąć składy o wadze 650 t z prędkością maksymalną 110 km/godz. Po wejściu do seryjnej produkcji w 1932 r. zdobył sobie sławę jednego z najlepszych parowozów świata. Chrzanowska fabryka wyprodukowała 98 sztuk Pt31. Ostatnią PKP wycofały z użytku w roku 1980!

PIĘKNO LUB PRZYSZŁOŚĆ

Uznawany za najzdolniejszego z uczniów prof. Xiężopolskiego inż. Kazimierz Zembrzuski, kiedy w 1931 r. został szefem biura konstrukcyjnego Fabloku, miał zaledwie 27 lat. To on wraz z kolegami z Politechniki Warszawskiej wniósł najwięcej nowatorskich pomysłów do projektu parowozu Pt31. Osiągnięty przez nich sukces uczynił życie podróżnych w kraju dużo łatwiejszym. W połowie lat 30. pociągi ekspresowe nie dość, że się nie spóźniały, to jeszcze jeździły naprawdę szybko. Ekspres nazywany „Latający Wilnianin" docierał z Warszawy do Wilna dokładnie w 5 godzin

eprasa.pl 59fff9dc19

30 minut. „Strzała Bałtyku" zawoziła letników z Warszawy na Hel w 6 godzin 50 minut (dziś przy sporym szczęściu podróż potrwa najkrócej 7 godzin).

Tymczasem apetyt rósł w miarę jedzenia i Ministerstwu Komunikacji marzyły się jeszcze szybsze pociągi. Zaprojektowania lokomotywy, zdolnej ciągnąć skład z prędkością 140 km/godz., podjął się inż. Zembrzuski wraz ze swoim zespołem. Znów uczyniono to w rekordowym tempie. Od naszkicowania opływowej sylwetki maszyny, którą to konsultowano z Instytutem Aerodynamiki Politechniki Warszawskiej, do zbudowania pierwszego prototypu upłynęło niecałe 12 miesięcy. W maju 1937 r. świeżo zbudowany parowóz Pm36 zaprezentowano na Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki w Paryżu. Konstrukcję Zembrzuskiego, nazywaną pieszczotliwie „Piękną Heleną", nagrodzono wówczas złotym medalem. Oprócz urody imponowała swymi osiągami oraz nowatorskim kotłem ciśnieniowym, zdolnym wytrzymać ciśnienia aż 18 atmosfer.

Wkrótce jednak się okazało, że „Piękna Helena" miewa swoje kaprysy i często ulega awariom. Niedoskonałości stopniowo usuwano, testując parowóz na trasie od Kutna do Zbąszynia, gdy podczepiano do niej międzynarodowy Nord Express. Tymczasem nowy minister komunikacji Michał Butkiewicz pilnie śledził światowe trendy w dziedzinie szybkich kolei. Na torach we Francji i Włoszech w roku 1932 pojawiły się napędzane silnikiem Diesla wagony motorowe firm Michelina oraz Fiata. Były tanie w eksploatacji i bardzo szybkie, co czyniło z nich idealny środek transportu między wielkimi aglomeracjami oraz w terenie górzystym (w górach ciężkie parowozy ślizgały się na szynach podczas pokonywania wzniesień). Żeby PKP znajdowały się w gronie najnowocześniejszych przedsiębiorstw kolejowych świata, Ministerstwo Komunikacji z początkiem 1933 r. wydało rozporządzenie nakazujące państwowej firmie zamówienie partii wagonów motorowych. Wedle specyfikacji modele przeznaczone na trasy dalekobieżne musiały osiągać prędkość maksymalną 140 km/godz. W przypadku tras podmiejskich zmniejszono ją o połowę. Wkrótce PKP przystąpiły do realizacji polecenia ministra Butkiewicza.

TORPEDA NA TORACH

„Wczoraj na linii Warszawa – Skierniewice odbyła się dwukrotna próba wagonu motorowego pochodzenia włoskiego typu »Littorina«, który odbył dwie podróże: przed południem z przedstawicielami Ministerium Komunikacji, w tym ministra Butkiewicza, do Skierniewic i z powrotem, a o 12.50 drugą drogę z przedstawicielami sfer przemysłowych i prasy do Grodziska Mazowieckiego" – donosił czytelnikom „Kurier Warszawski" 19 grudnia 1933 r. w artykule pt. „Wagon »Błyskawica«".

Lukstorpeda i jej pasażerowie na tle gór. Obok pismo wydawane dla maszynistów PKP FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA

Konstrukcja koncernu Fiat nie zachwyciła ministra. Dlatego wypożyczono na testy nowy wagon, tym razem od Austro-Daimler-Puch. Po próbach na trasie z Krakowa do Wieliczki eksperci Ministerstwa Komunikacji uznali, że austriacka konstrukcja stanowi znakomity punkt wyjścia do zbudowania rodzimego wagonu motorowego. Po zakupieniu dokumentacji technicznej i jednego wagonu od Austro-Daimler-Puch zadanie ulepszenia modelu powierzono biuru konstrukcyjnemu Fabloku. W Chrzanowie poradzono sobie znów znakomicie i w 1936 r. zbudowano tam dla PKP pięć lukstorped o opływowych kształtach.

Dzięki zastosowaniu w nich silników wysokoprężnych MAN-a potrafiły się rozpędzić do wymaganej prędkości 140 km/godz. Początkowo używano ich do obsługi trasy z Krakowa do Zakopanego. Przewoziły nią pasażerów w ciągu 2 godzin 18 minut, z trwającym całe osiem minut postojem w Rabce. Dzisiaj pociąg IC jedzie 2 godziny 49 minut, acz zatrzymuje się na pięciu stacjach. W 1937 r. odjazdy lukstorped z Krakowa zsynchronizowano z przylotami samolotów pasażerskich LOT-u z Warszawy. Dzięki temu przemieszczenie się z Okęcia do centrum Zakopanego zajmowało turyście jakieś cztery i pół godziny. Sukces pierwszych wagonów motorowych skłonił Ministerstwo Komunikacji do zamówienia 50 lukstorped, tym razem już całkowicie rodzimej konstrukcji, w poznańskim HCP. Były o 10 km/godz. wolniejsze od chrzanowskich, ale i tak sprawdzały się znakomicie na trasach między dużymi miastami. Nazywane Pociągami Motorowo-Ekspresowymi pozwalały podróżnym przejechać np. z Katowic do Krakowa w 60 minut (dziś w najlepszym razie trwa to ok. 130 minut). Konieczność radzenia sobie pracowników PKP z dużymi prędkościami wymusiła na Ministerstwie Komunikacji sfinansowanie budowy specjalnych urządzeń służących do szkolenia personelu oraz przeprowadzania testów psychotechnicznych.

Miesięcznik „Inżynier Kolejowy", opisując w 1934 r. stoisko polskiego Ministerstwa Komunikacji na Międzynarodowej Wystawie Komunikacji i Turystyki w Poznaniu, prezentował je następująco: „W pierwszym szeregu od wejścia stoją przyrządy: do badania szybkości i dokładności decyzji [...]. W drugim szeregu widzimy przede wszystkiem dokładną kopję budki maszynisty, w której odbywa się tak zwana próba główna z kandydatami na maszynistów; przed oczami ich przesuwają się na ekranie zdjęcia imitujące jazdę na parowozie po torach kolejowych, najeżonych różnemi przeszkodami, jak zderzenie pociągów, pożary, źle ustawione sygnały, przeszkody na torze itd.". Liczba innych urządzeń zademonstrowanych na wystawie przez Ministerstwo Komunikacji II RP, a służących do testowania personelu PKP i doskonalenia jego umiejętności, imponowała. Podobnie jak ich nowoczesność, ale przecież to właśnie ona miała być wizytówką polskich kolei oraz całego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Wagon z przechowalnią sprzętu sportowego, wyposażoną w stojaki na narty
FOT. NAC, BIBLOTEKA NARODOWA

Luksus na szynach

Andrzej Krajewski

Gdy pociągi się nie spóźniały, a ich obsługa cieszyła się szacunkiem całego społeczeństwa, ostatnią rzeczą, jaką jeszcze mogły PKP zaskoczyć podróżnych, była odrobina przepychu

Dla kolei spółka Compagnie Internationale des Wagons-Lits była tym samym, czym Rolls-Royce dla motoryzacji, czyli szczytem luksusu na kołach. Belgijska firma dostarczała przez pół wieku wagony dla najbardziej komfortowych pociągów ekspresowych, jakie przemierzały Europę. Kupowano je też dla premierów, prezydentów i koronowanych głów. Jej szefostwo zawsze dbało o najwyższą jakość: restauracji, salonów, sypialni i pokojów kąpielowych jeżdżących po szynach. Dlatego w drugiej połowie lat 30. XX w. nawiązano współpracę z poznańskimi Zakładami Cegielskiego, uznając, że nikt od HCP nie nadaje się lepiej do produkowania najbardziej elitarnych wagonów świata.

HOTEL W PODRÓŻY

Wywodzący się z bankierskiego rodu belgijski przemysłowiec Georges Nagelmackers przywykł od dziecka do luksusu. Jednak życiowe doświadczenie nauczyło go, że nie można oczekiwać jego nadmiaru podczas podróży koleją. To przekonanie zmienił dopiero pod koniec lat 60. XIX w. wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Nagelmackers podróżował po Ameryce w wagonach świeżutko zbudowanych przez firmę George'a Pullmana.

Amerykański przedsiębiorca oferował bogatym pasażerom nie tylko ekskluzywne wagony sypialne, lecz także takie, które niewiele się różniły od wytwornych restauracji. Na gości czekały w nich wygodne fotele za stołami ze szklanym blatem. Na każdym z nich znajdowały się mosiężna lampka i dzwonek służący do wezwania kelnera. Po zaspokojeniu potrzeb ciała podróżny mógł zatroszczyć się także o swą wieczność, udając się do wagonowej kapliczki. W każdą niedzielę oraz święta odprawiano w niej msze. Pociąg ze wschodniego wybrzeża USA na zachodnie jechał aż pięć dni. Mimo to dla Nagelmackersa czas spędzony w wagonach Pullmana okazał się czystą przyjemnością. Cena tysiąca ówczesnych dolarów za bilet po zetknięciu się z takim luksusem nie wydawała się już wygórowana.

Europejski biznesmen od razu zwietrzył perspektywiczny interes. Na Starym Kontynencie podobnych wagonów nikt nie produkował. Przy czym Belg doszedł do wniosku, że musi jednocześnie zadbać o wykreowanie ich odbiorcy oraz konsumentów. Założona

eprasa.pl 59fff9dc19

przez niego w 1872 r. spółka Międzynarodowe Towarzystwo Wagonów Sypialnych (Compagnie Internationale des Wagons-Lits) zajęła się nie tylko projektowaniem i produkcją wagonów bardziej komfortowych niż te wytwarzane przez Pullmana, lecz także wprowadzaniem na trasy kolejowe dalekobieżnych pociągów dla najbogatszych ludzi Starego Kontynentu. Pierwszemu z Paryża do Stambułu nadano nazwę Orient Express. Wkrótce stał się on żywą legendą oraz niedoścignionym wzorem dla wszystkich kolei świata, jak powinna wyglądać wygodna podróż.

Z BIEDY DO DOSKONAŁOŚCI

Pomimo olbrzymich zniszczeń wojennych w niepodległej Polsce z każdym rokiem koleje funkcjonowały coraz lepiej. Już w połowie lat 20. opóźnienia w kursowaniu pociągów należały do rzadkości. Jednocześnie pracownicy PKP zdobyli sobie w społeczeństwie wysoki prestiż. Pracodawca wymagał, aby każdy kolejarz był osobą odpowiedzialną oraz punktualną, a poza tym schludną i ubraną w czysty mundur. Wielkie znaczenie miało to, że PKP gwarantowały stałą pracę, a także godziwe zarobki, zyskując tak kadry bardzo oddane swej profesji.

Zaangażowanie ludzi niwelowało największy problem, jakim zawsze było zbyt mało kapitału na inwestycje. Pomimo to w II RP udało się błyskawicznie ujednolicić system trakcji kolejowych i do każdego większego miasta w kraju dojeżdżały pociągi. Po tym sukcesie, pod koniec lat 20. XX w., Ministerstwo Komunikacji postanowiło uczynić kolejny krok w przyszłość, stawiając na stopniową modernizację całego taboru. Wprowadzane przez nie wyśrubowane normy techniczne dla lokomotyw i wagonów zmuszały producentów do konstruowania sprzętu światowej klasy.

Jednak ambitne plany i poczynania zbiegły się z początkiem wielkiego kryzysu. Społeczeństwo gwałtownie zbiedniało i coraz mniej osób mogło sobie pozwolić na dalekie podróże. Spadek liczby pasażerów wymusił na dyrekcji PKP szukanie nowych źródeł dochodu. Wówczas uświadomiono sobie, że polskie koleje nie mają w swej ofercie niczego, co specjalnie przyciągałoby zamożniejszych podróżnych. Standard wagonów I klasy był więcej niż przyzwoity, lecz nie oszałamiał luksusem.

Tymczasem w tej kategorii trendy od pół wieku wytyczały Orient Express oraz inne ekspresy Compagnie Internationale des Wagons-Lits. Jeden z nich – Nord Express – od maja 1927 r. wyruszając z Paryża, przez Calais i Berlin dojeżdżał do Polski. Tutaj dzielono go na dwa osobne składy. Pierwszy jechał przez Królewiec do Rygi, drugi przez Poznań do Warszawy. Urzędników Ministerstwa Komunikacji zachwycały wagony, jakie oferował pasażerom. W I klasie standardem były jednoosobowe przedziały, z rozkładanymi na noc kanapami. Między przedziałami znajdowały się dodatkowe drzwi wewnętrzne, umożliwiające parom składanie sobie dyskretnych wizyt. Poza tym każdy miał łazienkę, nieustępującą komfortem tym w hotelach. O to, aby podróż była naprawdę idealna, dbała też obsługa części restauracyjnej Nord Expressu, serwująca pasażerom wykwintne wina i znakomite potrawy. Za taką wygodę bogaci podróżni gotowi byli zapłacić spore sumy.

Ministrowi komunikacji Alfonsowi Kühnowi zamarzyły się podobne pociągi z godłem PKP. Zgodnie z dekretem prezydenta RP z września 1926 r. przedsiębiorstwo Polskie Koleje Państwowe miało prawo zaciągać pożyczki i emitować obligacje, gdy otrzymało na konkretną inwestycję zgodę Sejmu. Korzystając z tej możliwości, PKP zamówiły pierwszą partię luksusowych wagonów w poznańskim HCP. Wagony od Cegielskiego wyposażono m.in. w akustyczną izolację tłumiącą hałas, wygodne przedziały sypialne z rozkładanymi kanapami oraz przedziały turystyczne ułatwiające przewóz m.in. sprzętu narciarskiego. W tym samym czasie warszawskie zakłady Lilpopa otrzymały zamówienia na niestandardowe wagony specjalne. Wśród nich swą oryginalnością zaskakiwały wagony dancingowe, kąpielowe oraz… kinowe.

WSIĄŚĆ DO POCIĄGU NIE BYLE JAKIEGO

„Polska może być dumna ze swego pomysłu w dziedzinie turystyki zimowej. Żaden kraj, nawet z krajów klasycznych narciarstwa, nie uczynił jeszcze tego eksperymentu, który stanowi najlepsze rozwiązanie zagadnienia górskiej eskapady zimowej" – donosił czytelnikom 1 marca 1934 r. tygodnik „Kuźnia Młodych". Dwa lata wcześniej z Krakowa wyruszył w trasę pierwszy pociąg narciarski. W ciągu 10 dni jazdy codziennie zatrzymywał się w innej miejscowości turystycznej w Tatrach i Beskidach. Jego pasażerowie mogli przez cały dzień szaleć na stokach narciarskich lub zwiedzać okoliczne góry, a noc spędzić w bardzo wygodnych wagonach.

„Wyobraźmy sobie szereg nowiutkich polskich pulmanów 2-giej klasy w przedziałach, których każdy uczestnik rajdu przez cały czas podróżowania posiada do dyspozycji kanapę miękką do spania wraz z pościelą, do tego umywalnia wagonowa z ciepłą i zimną wodą i inne wygody, o których ani śnić, ani marzyć w żadnym schronisku górskim" – opisywano na łamach „Kuźni Młodych".

Pociąg okrężny po Europie. Pasażerów żegna kolejarska orkiestra dęta FOT. NAC

Po nocy pasażerowie budzili się w zupełnie innej miejscowości. No, chyba że w ogóle nie kładli się spać, bo do pociągów narciarskich doczepiano też wagony restauracyjne i dancingowe mające własny bar oraz oferujące parom parkiet do tańca. Stąd wzięła się ich potoczna nazwa pociągów narciarskich „Narty Dancing Brydż", jak opisują Maja Łozińska i Jan Łoziński w książce pt. „Narty Dancing Brydż w kurortach II Rzeczypospolitej". Już to sugerowało, czym w nocy zajmowali się pasażerowie, i raczej rzadko bywał to sen. W dzień natomiast mogli jeszcze skorzystać z usług szkółki narciarskiej prowadzonej przez instruktora także rezydującego w jednym z wagonów.

„Pociąg rajdowy narciarski stanowi szczyty tego, o czem może zamarzyć narciarz – turysta pragnący połączyć jednocześnie i chęć użycia rozkoszy sportu

eprasa.pl 59fff9dc19

Wnętrze poczekalni wagonu kąpielowego FOT. NAC

Przy barze. U dołu przedział wyposażony w radio na słuchawki FOT. NAC

narciarskiego, i wrażenia z ogólnego piękna zimowego krajobrazu górskiego" – twierdziła „Kuźnia Młodych". Przy czym bilet na 10-dniowy wypad kosztował 200 zł. Tyle wówczas zarabiał miesięcznie robotnik, urzędnik państwowy zaś o jakąś jedną trzecią więcej. Na taki rajd po górach mogli sobie pozwolić jedynie ludzie lepiej sytuowani, ale i tak pociągi narciarskie okazały się dla PKP strzałem w dziesiątkę. Już na początku 1933 r. nowy minister komunikacji Michał Butkiewicz postanowił, że luksusowe składy kolejowe dla turystów muszą jeździć po kraju nie tylko zimą.

NA WYGODZIE DA SIĘ ZAROBIĆ

„Każdy popularny pociąg był zradiofonizowany, miał wagon-bufet z miejscem do tańca, później wprowadzono nawet stoliki do brydża" – wspominał Stanisław Niewiadomski, odpowiedzialny za takie składy w DOKP Poznań. Ze wspomnień zebranych w „Pamiętnikach kolejarzy" przez Marię Burdowicz przebija zachwyt nad jakością ówczesnej oferty PKP. Chcąc przyciągnąć turystów, koleje zaczęły się specjalizować w pociągach nazwanych „rajdowymi" lub „popularnymi". Zabierały one pasażerów w wielodniowe wycieczki po atrakcyjnych regionach Rzeczypospolitej.

Poza ciekawymi miejscami ludzi kusiła w tym rodzaju turystyki możliwość wspólnej zabawy w luksusowych warunkach. W końcu spostrzeżenie, że zabawa jest ważniejsza od docelowego miejsca podróży, sprawiło, że narodziły się „pociągi w nieznane". Turyści, nawet gdy już ruszali w drogę, nadal nie wiedzieli, dokąd pociąg ich zawiezie. „Na peronie stał skład i dwa parowozy. Trudno było odgadnąć pasażerom, w którym kierunku pojadą – i ta właśnie »niewiadoma« przyciągała duże rzesze turystów" – zapamiętał Niewiadomski.

Inwestycje w nowoczesność i luksus się opłaciły. Według danych GUS od 1931 r. PKP ani razu (nawet w apogeum wielkiego kryzysu) nie odnotowały straty finansowej. W roku 1938 przychody przedsiębiorstwa przekroczyły rekordowy pułap 1 mld ówczesnych złotych. Tamtego roku Polskie Koleje Państwowe wpłaciły do budżetu II RP 146 mln zł czystego zysku.

Tymczasem polskimi pociągami rajdowymi zainteresowało się samo Compagnie Internationale des Wagons-Lits. Po ocenie jakości luksusowych wagonów produkowanych przez HCP belgijska spółka postanowiła nawiązać współpracę z poznańskim wytwórcą.

Na dobry początek zamówiono u Cegielskiego sześć salonek. Niestety, Belgowie nie zdążyli już ich odebrać i we wrześniu 1939 r. cała partia niezwykłych wagonów wpadła w ręce Niemców. Ci od razu docenili ich wygodę. Przez następne lata jeździli nimi dygnitarze III Rzeszy.

Wiosną 1945 r. jeden z wagonów dostał się w ręce Armii Czerwonej. Ku zaskoczeniu wszystkich nie powędrował na wschód, lecz został sprezentowany władzom Polski Ludowej, ku wielkiej radości Bolesława Bieruta, który nakazał przebudować go na swoje ruchome biuro. W znacjonalizowanych już Zakładach Cegielskiego dobudowano w wagonie, obok sypialni i łazienki, także gabinet z mahoniowym biurkiem, ze stołem konferencyjnym i z kryształowym lustrem w pozłacanej ramie.

Po śmierci Bieruta salonkę odziedziczył Władysław Gomułka i chętnie podróżował nią po kraju. Potem przejął ją premier Piotr Jaroszewicz. Każdy kolejny partyjny dygnitarz szybko uzależniał się od tej resztki przedwojennej wygody, jaka cudem przetrwała do nowych czasów. Dopiero znany ze swej skłonności do ostentacyjnego purytanizmu gen. Wojciech Jaruzelski odmówił korzystania z nazbyt wykwintnego środka transportu. Jak na prawdziwego komunistę przystało, oferowane przez przedwojenne PKP luksusy były dla niego nie do przyjęcia. Wagon, nigdy nieodebrany przez Compagnie Internationale des Wagons-Lits, trafił więc do Muzeum Kolejnictwa. Stał się tam niezaprzeczalnym dowodem istnienia czegoś, co w PRL, a także długo później, wydawało się zupełnie niemożliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

Oblężona stacja: Galicja

Załoga PP 2 „Śmiały", należącego – obok „Piłsudczyka" – do pierwszych polskich pociągów pancernych FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Maciej Rosalak

Dzięki „Piłsudczykowi" i „Śmiałemu" do Lwowa dotarła 20 listopada 1918 r. odsiecz, która wyrzuciła „hajdamaków" z miasta

Od transportu kolejowego zależało podczas wojny z Ukraińcami (1918–1919) „być albo nie być" Polski w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu. Skuteczna odsiecz Lwowa, napadniętego zdradziecko z początkiem listopada 1918 r., następnie dostarczanie zaopatrzenia i posiłków do miasta oblężonego przez całą zimę przełomu lat 1918/1919, wreszcie koncentracja naszych sił zbrojnych, zwycięstwo i wyparcie Ukraińskiej Armii Halickiej (UHA) za Zbrucz do lipca 1919 r. nie byłyby możliwe bez pociągów ani linii kolejowych w polskich rękach. Chodzi zarówno o transport wojsk, broni, amunicji i żywności, jak i ochronę tego transportu. A tu istotną rolę odegrało kilka pociągów pancernych.

Gdy rodziło się niepodległe państwo polskie, na naszych ziemiach brakowało zarówno gotowych do przejęcia pociągów pancernych, jak i ludzi wyszkolonych w ich obsłudze. Pierwszym wyjątkiem okazał się Kraków, gdzie oddział Polskiej Organizacji Wojskowej rozbroił 28 października 1918 r. 3. Dywizjon Pancerny armii austriackiej, wchodząc w posiadanie pociągu pancernego z pełnym składem i uzbrojeniem. Już po kilku dniach szkolenia załogi pociąg ten – jako „Piłsudczyk" – gotów był do działań, aczkolwiek jego część posłużyła do przygotowania następnego pociągu pancernego, a mianowicie „Śmiałego".

Kolejne pociągi pancerne w byłej Galicji powstawały metodą niejako „chałupniczą" – w Krakowie, gdzie utworzono Kierownictwo Budowy Pociągów Pancernych, i w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu, Sanoku, we Lwowie, a – po wiosennych sukcesach wojsk polskich w polu – również w Stanisławowie. Korzystano też z odpowiednio zaopatrzonych magazynów kolejowych armii austriackiej. Na podstawie takiej bazy powstały przedziwne twory, w których celowo odlewane płyty pancerne zastępowały metalowe bramy, beton i cegły oraz worki z piaskiem. Takie były pociągi użyte na froncie ukraińskim: „Kozak", „Pepetrójka" (przemianowana w kwietniu 1919 r. na „Podpułkownik Lis-Kula"), „Gromobój" i „Pionier".

Uzbrojenie powinno się składać przynajmniej z paru armat średniego kalibru ustawionych na platformach w wieżyczkach pancernych oraz z kilku, kilkunastu, również odpowiednio chronionych, karabinów maszynowych. Blachy pancerne z otworami strzelniczymi osłaniałyby oczywiście cały skład. Warto wiedzieć, że w 1939 r. uzbrojenie „Piłsudczyka" składało się z dwóch haubic kalibru 100 mm, dwóch armat 75 mm i 19 ciężkich karabinów maszynowych. W praktyce przełomu lat 1918/1919 wyglądało to inaczej. Tak opisywał „Kozaka" ppor. rezerwy Antoni Hora:

eprasa.pl 59fff9dc19

„Robotnicy Fabryki Wagonów L. Zieleniewski w Sanoku zmontowali nam z siedmiu wagonów kolejową pancerkę, można powiedzieć prowizoryczną. Nazwaliśmy ją »Kozak«. Skład jej wyglądał następująco: na przedzie dwie lory płaskie, w pierwszej było kilkanaście szyn kolejowych, parę podkładów i akcesoria do nich, to służyło jako obciążenie i ochrona przed minami. Następna lora posiadała wmontowany »ul« stalowy z blachy o grubości 10 mm z wycięciami na strzelanie z ckm i miejscem dla dwóch żołnierzy. Trzecia lora w kształcie węglarki o wysokości 1,30 m z wycięciami na karabiny była opancerzona szutrem rzecznym i blachą stalową o grubości 6 mm. Czwarty wagon osobowy typu »TY« – bardzo mocna maszyna – z drugiej strony dwie lory jak wyżej opisane".

„Śmiały" na trasie, z platformą ochronną z przodu FOT. NAC

Podobne były zresztą pociągi pancerne, które w tym czasie budowano w byłym Królestwie Kongresowym, potrzebne pilnie przede wszystkim na froncie północno-wschodnim, gdzie już na przełomie grudnia 1918 i stycznia 1919 r. rozpoczął się napór bolszewicki, a także na zachodnim, gdzie trwało powstanie wielkopolskie (przypomnijmy, że w połowie lutego powstańcy zdobyli niemiecki pociąg pancerny, nazwany przez nich „Danuta").

WOJNA NA DROGACH ŻELAZNYCH

System kolejowy na ziemiach polskich był wysoce zróżnicowany – zależnie od zaborów. Sieć torów, stacji i wszelkich urządzeń kolejowych była bardzo gęsta w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu, czyli pod byłym zaborem pruskim, natomiast bardzo rzadka w byłym Królestwie i na tzw. ziemiach zabranych, znajdujących się do 1915 r. we władaniu Rosjan. Przez Galicję biegła równoleżnikowo linia o ogromnym dla nas znaczeniu strategicznym, łącząca Kraków ze Lwowem, ale były też liczne połączenia – również wąskotorowe – między innymi miastami i miasteczkami galicyjskimi, co wykorzystywaliśmy zarówno podczas konfliktu z Ukraińcami, jak i późniejszego – z bolszewikami. Galicja miała oczywiście również połączenie z Warszawą (słynna Kolej Warszawsko-Wiedeńska) i liczniejsze linie biegnące na Śląsk oraz Wielkopolskę.

Trzeba zauważyć, że mimo zniszczeń sieci kolejowej, szczególnie podczas ofensywy państw centralnych w 1915 r., do roku 1918 sami wojskowi niemieccy i austriaccy we własnym interesie starali się o jej odbudowę, a także zmianę rozstawu szyn z szerokiego (rosyjskiego) na węższy (europejski). Najważniejsza okazała się naprawa mostów na rzekach biegnących na ogół południkowo, a więc stanowiących naturalną przeszkodę dla wojsk dowożonych i nacierających z zachodu na wschód. Jedyną korzyścią z walki ze wszystkimi niemal sąsiadami rodzącego się państwa polskiego była możliwość przerzucania sił po liniach wewnętrznych, co zwiększało mobilność naszych wojsk.

Linia Kraków–Lwów okazała się dla tego drugiego miasta życiodajną arterią podczas walk z UHA, będącej zbrojnym ramieniem Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL). Tędy już 9 listopada 1918 r. ruszyła straż przednia odsieczy dla Lwowa – a mianowicie grupa „San" pod dowództwem mjr. Juliana Stachiewicza w sile 400 żołnierzy i czterech dział. W ciągu trzech dni zaciętych walk odbiła ona Przemyśl z rąk Ukraińców, którzy wtargnęli do prawobrzeżnej części miasta nocą z 3 na 4 listopada. Przemyśl stracili 12 listopada, ale na ich przyszłej klęsce jeszcze bardziej zaważyło niewysadzenie obu mostów – drogowego i kolejowego – na Sanie (wbrew rozkazom Ukraińskiego Generalnego Komisariatu Wojskowego).

W ogóle Ukraińcy – na nasze szczęście – nie doceniali znaczenia linii Kraków-Przemyśl-Lwów, nie przerywając jej ani nie opanowując ostatecznie, mimo posiadania do końca zimy znacznej przewagi, która na to pozwalała. Dzięki temu do Lwowa dotarła 20 listopada odsiecz, która z Przemyśla ruszyła poprzedniego dnia w składzie 120 oficerów i 3185 żołnierzy. Jak wiemy, zorganizował ją w Krakowie gen. Bolesław Roja, dowodził nią ppłk Michał Karaszewicz-Tokarzewski, a pomogła oczyścić Lwów z „hajdamaków" do 22 listopada.

Lwów był oblegany i ostrzeliwany ze wzgórz otaczających miasto aż do końca drugiej dekady marca 1919 r., ale linię kolejową, a zwłaszcza Gródek Jagielloński i inne stacje przy niej leżące, Polacy utrzymywali, nie szczędząc sił. Pomagały w tym pociągi pancerne kontrolujące tę linię. Przybywały nią kolejne posiłki.

Między innymi świetnie wyszkoleni i uzbrojeni żołnierze Wojska Wielkopolskiego, zwani przez wdzięcznych lwowiaków „kochanymi Poznańczykami", a przez czujących mores wrogów „biskupami" (z powodu wysokich rogatywek, jakie nosili). Najpierw była to „ochotnicza kompania poznańsko-lwowska" w sile 204 żołnierzy pod dowództwem ppor. Jana Cieciucha (uzupełniona wkrótce kolejnymi 80 „Poznańczykami"), która z Przemyśla przez Sądową Wisznię dotarła pod Gródek Jagielloński. Jej śladem poszła cała Grupa Wielkopolska pod dowództwem płk. Daniela Konarzewskiego, złożona z 1. Pułku Strzelców Wielkopolskich, dywizjonu artylerii, eskadry lotniczej i plutonu łączności, z powodzeniem walcząc o rozbicie ukraińskiej blokady Lwowa.

Dzięki linii kolejowej Kraków-Przemyśl-Lwów na pole walki przybyło wczesną wiosną 1919 r. 35 tys. żołnierzy Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera (I Korpus gen. Dominique'a Josepha Odry'ego, w składzie 1. i 2. Dywizji Strzelców Polskich), co zmieniło układ sił w Galicji na naszą korzyść.

PANCERZE ZE STALI I Z... CEGIEŁ

Jak już wspomniałem, jedynym nieuszkodzonym pociągiem pancernym, o pełnym składzie i uzbrojeniu, jaki został zdobyty przez Polaków w Galicji, był „Piłsudczyk", wciągnięty do ewiden-

eprasa.pl 59fff9dc19

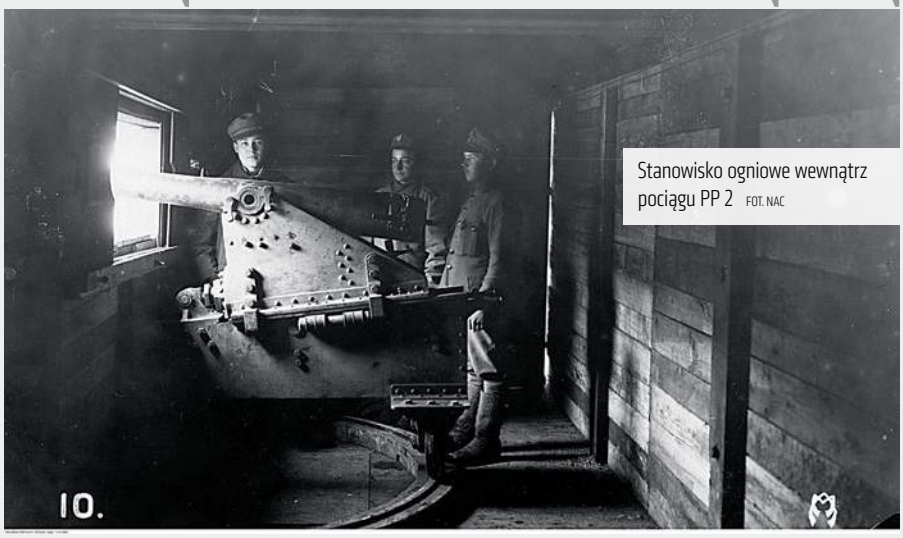

Stanowisko ogniowe wewnątrz pociągu PP 2 FOT. NAC

cji jako Pociąg Pancerny 1 (PP 1). Kiedy na stacji w Prokocimiu zajął go oddział POW, składał się z dwóch czołowych wagonów artyleryjskich, dwóch przeznaczonych dla piechoty i jednego szturmowego, wyposażonego przede wszystkim w karabiny maszynowe i używanego często do desantu piechoty. Ze składu tego zabrano jeden wagon artyleryjski i jeden piechoty, które dołączono do również zdobytego w Prokocimiu taboru: parowozu opancerzonego i wagonu szturmowego. Tak powstał drugi pociąg pancerny – „Śmiały" (PP 2).

Obydwa zostały wykorzystane w walkach o Przemyśl i Lwów, ochraniając transporty polskich wojsk z Krakowa, a następnie wspierając ogniem działania piechoty. Nasz pociąg pancerny – strzelając ze wszystkich luf i nie lękając się gęstego ognia wroga – przejechał mostem kolejowym w Przemyślu na prawy brzeg Sanu, co zadecydowało o zdobyciu miasta 12 listopada 1918 r. Jego zasługą było też zajęcie i utrzymanie w polskich rękach obu przepięknych dworców zbudowanych w stylu secesji wiedeńskiej – przemyskiego i lwowskiego. „Piłsudczyk" przyczynił się do sukcesu polskiej kontrofensywy w marcu 1919 r. nad Wereszycą (lewy dopływ Dniestru) – 10 i 11 marca w walkach o położony na południowy zachód od Lwowa Gródek Jagielloński, a następnie Kamienobród, Milankowice i miasteczko Niżankowice z dworcem kolejowym przy ważnej linii łączącej od 1872 r. Lwów z Budapesztem.

Jego dowódcą został Stanisław Tabisz – prawnik z wykształcenia, od 1917 r. oficer artylerii austriackiej, który dowodził m.in. fortem Skała w Krakowie i bateriami w 2. Pułku Artylerii Fortecznej oraz 4. Pułku Artylerii Ciężkiej. Od listopada 1918 r. w odradzającym się Wojsku Polskim. Powierzono mu dowództwo „Piłsudczyka", z którym walczył do końca wojny z Ukraińcami. Kiedy potem przeniesiono go do Sądu Wojskowego Okręgu Generalnego Lwów, na własną prośbę wrócił do służby liniowej. Podczas wojny z bolszewikami dowodził baterią w 8. Pułku Artylerii Polowej. Po wojnie, ze stopniem majora, wrócił do pracy w adwokaturze i związał się z ruchem ludowym. Identycznie uczynił w 1945 r. Dwa lata później UB aresztował go za pomoc w ucieczce Stefana Korbońskiego i rychło zamordował w więzieniu. Grób symboliczny znajduje się na powązkowskiej „Łączce".

Natomiast w „Śmiałym" walczył Stanisław Hrebenda, z którego inicjatywy obydwa pierwsze pociągi pancerne wysłano na front ukraiński. Studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, kiedy w 1914 r. powołano go do wojska austriackiego, wyszkolono na oficera rezerwy artylerii i w 1915 r. skierowano na front włoski. Ranny w 1918 r., po wyleczeniu trafił już do Wojska Polskiego i zorganizował w Krakowie szybką akcję zestawienia składów i wysłania na odsiecz Lwowowi „Piłsudczyka" i „Śmiałego". Po wojnie z bolszewikami, w której uczestniczył jako dowódca baterii w 7. Pułku Artylerii Polowej, został majorem. W 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej i został zamordowany w Katyniu.

Ciekawe były narodziny improwizowanego pociągu pancernego „Kozak". Oto 21 listopada 1918 r. grupa wypadowa ppłk. Juliusza Swobody wtargnęła do Ustrzyk Dolnych, skąd uprowadziła zdobyty na Ukraińcach pociąg towarowy. Zajął się nim por. Karol Pasternak, który na platformach ustawił dwie haubice i uczestniczył w ponownym zdobyciu Ustrzyk. Następnie Fabryka Wagonów i Maszyn w Sanoku przysposobiła pociąg do walki, wykorzystując te dwie haubice i trzy karabiny maszynowe. Przez niemal dwa miesiące „Kozak" wojował pod Felsztynem, gdzie tzw. dzika lokomotywa wysłana przez wroga rozbiła dwa wagony, i pod Chyrowem, gdzie w zaciętej walce zginęło 19 stycznia 1919 r. dwóch harcerzy, członków załogi – ppor. Stanisław Sas-Korczyński i kpr. Wacław Śląski. Uszkodzenia pod stacją w Chyrowie zadecydowały o rozformowaniu składu i wykorzystaniu dział w baterii polowej.

Liga Popierania Turystyki
Przedstawicielstwo w Zamościu
POCIĄG POPULARNY
z Zamościa do Lwowa
na Cmentarz
Obrońców Lwowa
Koszt w obie strony łącznie z kartą uczestnictwa wynosi
5 zł 50 gr

W dwa działa i osiem, a później 16, karabinów maszynowych został wyposażony pociąg pancerny „Pepetrójka" (od: PP 3). Zbudowano go 26 listopada 1918 r. w Głównych Warsztatach Kolejowych we Lwowie, a obsługę opancerzonej lokomotywy stanowili lwowscy kolejarze. Wagony chroniły blacha i worki z piaskiem. Pociąg był wysyłany do zaciętych walk na przedpolach Lwowa. W jednej z nich, pod Wołczuchami w powiecie gródeckim, zginęli 22 lutego 1919 r. dowódca oddziału szturmowego ppor. Maksymilian Wudkiewicz (lekkoatleta, mistrz Europy w chodzie) oraz dwóch szeregowców. W dniu 5 kwietnia 1919 r. pociąg przemianowano na „Podpułkownik Lis-Kula", miesiąc po śmierci tego mężnego oficera na polu chwały pod Torczynem. Pod tą nazwą pociąg walczył jeszcze w wojnie bolszewickiej, a zrezygnowano z niego w 1921 r.

Zagórz na Podkarpaciu stał się pod koniec XIX w. ważnym węzłem kolejowym, gdzie przecinały się linie z Przemyśla do Budapesztu, z Krakowa do Lwowa i jeszcze parę lokalnych. Przy obsłudze węzła pracowały setki kolejarzy, z których inicjatywy wraz z początkiem walk polsko-ukraińskich zawiązał się Komitet Obrońców Węzła Zagórskiego (weszli doń jeszcze członkowie miejscowego „Sokoła"). Komitet zlecił budowę pociągu pancernego Fabryce Wagonów i Maszyn w Sanoku. Tak powstał „Gromobój" z wagonami chronionymi ceglanymi ścianami, między które wsypano żwir rzeczny. Pociąg ten – początkowo wraz z „Kozakiem" – utrzymywał w polskich rękach tory od Zagórza przez Szczawne i Komańczę do Łupkowa. ©℗

Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

KOLEJARZE
PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
PAMIĘTAMY

fot. ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Kpr. pchor. Leszek Krajewski „Agamemnon" (1921–2001)
Od 1942 r. pracował na Kolei Wschodniej (niem. Ostbahn) jako kancelista. Podczas Powstania Warszawskiego walczył na terenie Śródmieścia Północnego w szeregach Batalionu „Harnaś" w kompanii „Grażyna" na stanowisku zastępcy dowódcy plutonu. 18 sierpnia został przydzielony do redakcji „Warszawskiego Głosu Narodowego".

Strz. z cenzusem Janusz Pacewicz „Biliński" (1921–1999)
W okresie okupacji pracował na Kolei Wschodniej (niem. Ostbahn) jako początkujący pracownik (niem. Dienstfänger). Podczas Powstania Warszawskiego walczył na terenie II Obwodu Żoliborz Okręgu Warszawa AK. Przeszedł cały szlak bojowy 9. Kompanii Dywersyjnej (od 5 sierpnia 1944 r. Zgrupowanie „Żniwiarz") służąc w 229. plutonie pod dowództwem ppor. Witolda Lisowskiego „Zarewicza".

Ppor. rez. Wincenty Szymański „Nik" (1904–1985)
Przed wojną pracował w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Warszawie i Ministerstwie Komunikacji. Uczestnik obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Służył w komórce kolejarskiej zajmującej się obroną przeciwlotniczą. W konspiracji dowódca plutonu 1745. w 6. Rejonie „Helenów" VII Obwodu „Obroża" (Warszawa-Powiat) Okręgu Warszawa AK.

Ppor. rez. sap. Władysław Wojciechowski „Wyrwa" (1905–1977)
Technik kolejowy. Doświadczenie zawodowe kształtował przez dwadzieścia dwa lata pracy na kolei. Brał udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. W Powstaniu Warszawskim działał w Lasach Sękocińskich. Po upadku Powstania organizował pomoc wypędzonym warszawiakom osadzonym w obozie przejściowym Dulag 121 w Pruszkowie.

Kpr. pchor. Zdzisław Skwara „Zych" (1920–2009)
W okresie okupacji pracował w warsztatach kolejowych na Pradze jako brygadzista, a następnie w Piasecznie przy budowie taboru kolejowego. Od 1940 r. był żołnierzem ZWZ-AK w oddziale por. Lucjana Giżyńskiego „Gozdawy" (od 1944 r. Batalion im. Stefana Czarneckiego). W szeregach tej formacji, nazywanej od pseudonimu dowódcy Batalionem „Gozdawa", walczył na Starym Mieście. Po przejściu kanałami do Śródmieścia Północnego kpr. pchor. „Zych" został żołnierzem batalionu saperów Okręgu Warszawa AK.

PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl 59fff9dc19

Dwoje na plaży

Rzecz dla anglofilów, anglofobów i niepoprawnych romantyków. Młody gniewny poznaje rezolutną skrzypaczkę i pada rażony strzałą Amora. Jest rok 1962, za chwilę zaczęła się era Beatlesów, ale rzeczywistość skrzeczy, jakby żyła jeszcze pruderyjna królowa Wiktoria.

Miłość od pierwszego wejrzenia musi pokonać wiele przeszkód. Florence i Edwarda dzieli społeczna przepaść. On jest synem dyrektora wiejskiej szkoły, ona – córką fabrykanta. Młodzieńczy idealizm nie sprzyja kompromisom, a zakochani bliżej poznają się dopiero po ślubie. Pierwszy dzień miodowego miesiąca nad morzem przypomina spacer po polu minowym.

Nowożeńcy są spięci i nerwowi. Florence z poradnika dowiedziała się, że „kobiety są jak drzwi, przez które wchodzą mężczyźni", Edward zachowuje się jak słoń w składzie porcelany. Obserwując ich męki, widzowie pękają ze śmiechu. Częściej jednak się nudzą, bo w tym filmie jest za mało filmu. Reżyser, na co dzień związany z teatrem, do prozy Iana McEwana podszedł z przesadnym nabożeństwem. Melodramat ożeniony z szyderą ze świata sprzed obyczajowej rewolucji – to mogło się powieść na papierze. Na ekranie taki związek kuleje. Nawet jeśli aktorzy robią, co mogą, a muzyka Mozarta wciąż brzmi zaskakująco świeżo. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. DOMINIC COOKE
„NA PLAŻY CHESIL" („ON CHESIL BEACH")
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Saoirse Ronan, Billy Howle, Anne-Marie Duff

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DŁUGIE NARODZINY POTĘGI

★★★★☆☆

„UPADEK KRÓLESTWA" („THE LAST KINGDOM")
SEZON 2, WIELKA BRYTANIA 2015

wyst. Alexander Dreymon, Ian Hart, Eliza Butterworth, David Dawson, dystr. Filmostrada

Serial historyczny na podstawie świetnych powieści Bernarda Cornwella, który inspiracji szukał nie tylko w kronikach, lecz także w dziejach własnej rodziny, której drzewo genealogiczne sięga wczesnego średniowiecza. Śledząc losy Uhtreda z Bebbanburgu, tak naprawdę przyglądamy się arcyciekawej chwili w historii Wysp Brytyjskich – podzielone królestwa jednoczą się dzięki Alfredowi Wielkiemu we wspólnej walce z najazdami Normanów. Jednych potrafią pokonać, innych spróbują zasymilować. Niegłupia rozrywka, która spodoba się nie tylko miłośnikom serialu „Wikingowie". W roli głównej wiarygodnie wypada Alexander Dreymon, bardzo dobry jest David Dawson jako król Alfred. Pierwsze dwie serie były dziełem BBC i stanowiły ekranizację pierwszych czterech tomów cyklu Cornwella, trzecią serię wyprodukuje Netflix. Średniowieczną Anglię udają współczesne węgierskie lasy – kolejny dowód na to, że warto podatkowymi zachętami ściągać filmowych producentów.

JOHN PAUL III ZAGINĄŁ

★★★☆☆☆

REŻ. RIDLEY SCOTT
„WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA" („ALL THE MONEY IN THE WORLD")
USA 2017

wyst. Michelle Williams, Christopher Plummer, Mark Wahlberg, dystr. Monolith

Film owiany aurą skandalu już podczas produkcji. Reżyser Ridley Scott zrezygnował z usług Kevina Spaceya w jednej z głównych ról po tym, jak na jaw wyszły zarzuty wobec gwiazdora o molestowanie chłopców. Naftowego krezusa J.P. Getty'ego zagrał więc Christopher Plummer. Rzecz o porwaniu wnuka miliardera, do którego doszło w 1973 r. we Włoszech (tę samą historię, choć mroczniej, opowiada serial „Trust" Danny'ego Boyle'a). Dlaczego najbogatszy człowiek świata tak niechętnie przyjmował samą myśl o zapłaceniu okupu? Jak toksyczny wpływ na kolejne pokolenia rodu Gettych miała jego ekscentryczna osobowość? Ridley Scott wiele ważnych kwestii pomija, inne traktuje dość delikatnie, najbardziej interesowało go bowiem opowiedzenie emocjonującej historii. W obsadzie zwraca uwagę Michelle Williams, znakomita w roli zrozpaczonej matki, której nie chce słuchać ani policja, ani rodzina. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „THE CREW 2"

★★★★☆☆

Rynek gier wyścigowych to stosunkowo trudny teren. Nie ma na nim wiele miejsca na innowacje – w końcu dodawanie najnowszych modeli aut do nich nie należy. Czym zatem zwojować rynek w 2018 r.? Twórcy „The Crew 2" postawili na różnorodność i otwarty świat. W skrócie – wyszło całkiem nieźle. Nasze zadanie to dominacja na mapie sportów motorowych USA: od samochodów, przez motorówki, do samolotów akrobacyjnych. Wszystko w entourage'u zdobywania fanów w mediach społecznościowych, kontraktów z reklamodawcami i wygłupów na trasie. Nie spodziewajcie się jednak fajerwerków. Ot, lekka gra w sam raz na wakacje. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ivory Tower/Ubisoft*
- ***PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 59fff9dc19

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mroczne prawdy Andrzeja Łuczeńczyka

W jednym, sporych rozmiarów, ale jednak jednym tomie mieści się dorobek literacki Andrzeja Łuczeńczyka, zebrany i wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Tego, stosunkowo mało znanego, zmarłego w 1991 r. prozaika, Henryk Bereza wymieniał jednym tchem z Iwaszkiewiczem, Buczkowskim, Białoszewskim i Myśliwskim wśród najwybitniejszych pisarzy polskich XX w. Niewykluczone, że to namaszczenie nie wyszło autorowi „Gwiezdnego księcia" na dobre.

W 2006 r. w rozmowie, którą przeprowadzili z nim Jakub Winiarski i Błażej Dzikowski, Henryk Bereza wymienił Andrzeja Łuczeńczyka wśród tych pisarzy, którzy powinni odnieść sukces nie tylko u niego, ale że Polakom „podoba się literackie gówno", jest tak, jak jest. W dalszym ciągu rozmowy ten niegdyś niesłychanie wpływowy, a później już tylko odosobniony w swoich wyborach krytyk wyznał: „Zawsze czuję się dłużnikiem Andrzeja Łuczeńczyka. Był wielkim pisarzem i wspaniałym człowiekiem, nie ja jego obdarzyłem względami, tylko on mnie obdarzył – on, który podczas pierwszej wizyty bez uprzedzenia zjawił się z butelką wódki… Dzwonek, otwieram drzwi, rozpoznaję go i odczuwam konsternację, a on patrzy na mnie, jakby mówił: »Przecież, kurwa, mam prawo przyjść do ciebie, skoro wiesz o mnie to, co przeczytałeś, a ja wiem o tobie to, co o tym powiedziałeś – chyba mam prawo przyjść?«. Zrozumiałem tę milczącą mowę i skończyliśmy jego wódkę, potem wypiliśmy już moją – bo wtedy moje stosunki z alkoholem nie musiały jeszcze wyglądać tak symbolicznie. Miał poczucie prawa swojego do mnie.

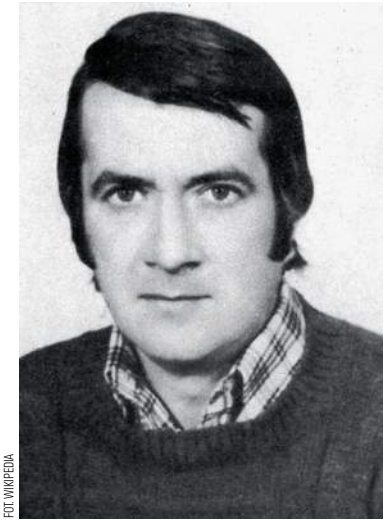

FOT. WIKIPEDIA

Przez kilkanaście lat składał mi wizyty przed Wielkanocą, Bożym Narodzeniem – według wiejskiego obyczaju uważał, że w ten czas należy złożyć wizytę… Było to odmienne niż godziny gadania ze Słykiem, bo jak raz Andrzeja spytałem: »Powiedz mi, skąd ty to wszystko wiesz o sztuce, literaturze?«, spojrzał na mnie i nic nie odpowiedział, tylko wzrokiem: »To ty, kutasie, nie wiesz, skąd?!«. Przez niego właśnie czuję się spłacony… A więc nie mam na co narzekać".

Autor zbioru opowiadań „Przez puste ulice" urodził się w 1946 r. w Ludwinie w pobliżu Łęcznej. Wychowywał się bez ojca, pod opieką matki, wuja i dziadków – w rodzinie prawosławnej. Na początku lat 60. uczęszczał do liceum w Lublinie, ale porzucił naukę i maturę zdał dopiero w roku 1978, wtedy też się ożenił. Miał troje dzieci, zmarł cztery lata po narodzinach najmłodszego syna. W życiu imał się różnych zajęć: pracował na gospodarstwie, był betoniarzem-zbrojarzem, palaczem. Zadebiutował w roku 1969 w „Radarze". Jego opowiadania ukazywały się nie tylko w prasie krajowej, lecz także w paryskiej „Kulturze" i londyńskiej „Oficynie Poetów".

Jarosław Petrowicz pisał: „Łuczeńczyk należy do pisarzy, którzy wielokrotnie i wielostronnie zgłębiają ten sam temat, dlatego trzeba go uznać za analityka problemu. Co jest tym zagadnieniem? Jerzy Łukosz pisze, że twórca swoim literackim narzędziem kieruje się przede wszystkim do relacji między złem a śmiercią. To właśnie okrucieństwo we wszystkich jego postaciach i przejawach zdaje się dominować nad światem. Nawet nie cierpienie, tylko właśnie przemoc i okrucieństwo. Dociekanie sensu istnienia, poszukiwanie prawdy niewidocznej dla oczu i obcej bezpośredniemu poznaniu wydają się zadaniem nadrzędnym tej prozy. Sama fabuła, kreacja bohaterów, kompozycja są podporządkowane próbie wyrażenia mrocznej prawdy o świecie".

O tę właśnie próbę Petrowicz ma wyraźne pretensje do pisarza. Ukazywanie przez niego triumfującego zła wydaje się – twierdzi – niebezpieczne ze względów artystycznych, gdyż nas odpycha. „Pisać bez fałszowania i bez oszukiwania czytelnika to niebezpieczna rzecz" – przestrzega, z czym w żadnym wypadku nie podobna się zgodzić. Dobrze więc, że przypomniana została bolesna, niewygodna, ponura proza Andrzeja Łuczeńczyka, niezależnie od tego, że Bereza nadający temu pisarzowi z Lubelszczyzny rangę równą jego sławnym poprzednikom: Bolesławowi Leśmianowi i Józefowi Czechowiczowi, mocno przeholował. ©℗

★★★★☆☆

ANDRZEJ ŁUCZEŃCZYK „DZIEŁA ZEBRANE"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2018

eprasa.pl 59fff9dc19

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słowo „Rzym” znaczy „świat”

Zakochany bez pamięci w opowieściach o starożytnym Rzymie poświęciłem kilka wieczorów na spacery po antycznym świecie wraz z Adrianem Goldsworthym. Było warto. „Pax Romana” to jedna z najlepszych książek, jakie czytałem o antyku, dzieło skrupulatnego badacza, który potrafi jednocześnie wywołać u odbiorcy zauroczenie porównywalne z tym, którego doświadczyłem, odkrywając powieści Stevena Saylora o Gordianusie Poszukiwaczu.

Brytyjski historyk przygląda się imperialnemu Rzymowi od środka. Jak funkcjonowała ta machina? Jak możliwe było zarządzanie tak ogromnym organizmem za pomocą niewielkich środków? Owszem, Rzymianie mieli nadzwyczaj sprawną armię, ale zwykle w prowincji znajdował się jeden legion czy dwa. Pax Romana nie był okupacją we współczesnym stylu, lokalne elity szybko się asymilowały, a pozostałe były rozgrywane politycznie przez Rzymian, którzy uwielbiali pokonywać swych wrogów rękami swoich sojuszników.

Czy Rzymianie byli krwawi i bezwzględni? Tak, ale nie bardziej od innych ówczesnych społeczeństw. Przynosili za to prawo, które dawało szansę na dochodzenie sprawiedliwości w ramach systemu, a nie przed nieobliczalnym, samowolnym despotą. Przysłany z Rzymu namiestnik mógł być chciwym łapówkarzem, ale jego kadencja mijała po roku i koło fortuny zwykle obracało się na lepsze.

Czy byli okrutni? Tak, ale i pragmatyczni. Niewiele się pod tym względem zmieniło, sięgnijcie po książki współczesnych analityków wojennych, którzy podpowiadają np., że jedyną drogą do zdławienia niespodziewanej rewolty czy buntu jest błyskawiczna i przesadnie brutalna reakcja – logika konfliktu jest taka, że w przeciwnym razie po prostu się przegrywa (przeczytajcie choćby „Zmienne oblicze wojny” Martina van Crevelda). „Obszary podległe władzy Rzymu zaznały znacznie mniej wojen i zorganizowanej przemocy niż we wcześniejszych i późniejszych wiekach” – pisze Goldsworthy. Pax Romana był zatem faktem, choć nie oznacza to, że dla wszystkich okazał się sprawiedliwy.

Niesłychanie ciekawe są partie, w których autor przygląda się roli religii w wybuchu antyrzymskich rozruchów – od powstania Boudiki w Brytanii do nieustannie kipiącego kotła Bliskiego Wschodu, z ziemiami Izraela na czele. W tym początki zupełnie nieoczekiwanego i całkowicie odmieniającego świat zjawiska, które przyniosło w Ziemi Świętej Pax Romana – proces Jezusa i narodziny chrześcijaństwa. ©℗

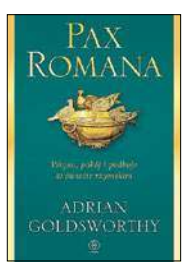

★★★★★★
ADRIAN GOLDSWORTHY
„PAX ROMANA”
REBIS 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Nie próbujemy ich zmieniać ani nawrócić – pisze w swych wspomnieniach duszpasterz więźniów, ćpunów i prostytutek – po prostu próbujemy z nimi być”. Pierwszy krok do ratunku: sprawić, by nikt nie czuł się opuszczony i porzucony.

O. JEAN-PHILIPPE CHAUVEAU
„KTO Z NAS JEST BEZ GRZECHU?”
ESPRIT

„Napisałam o Polakach, którzy ryzykowali wszystko: życie własne i swoich bliskich, by ratować Żydów, często zupełnie obcych” – opowiadała autorka po premierze. Wznowienie tomu świetnych reportaży o czasach II wojny światowej.

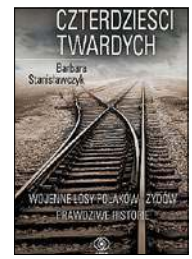

BARBARA STANISŁAWCZYK
„CZTERDZIEŚCI TWARDYCH”
REBIS

Pasjonujący „podręcznik użytkownika” – jak wpływa na nas to, co jemy, co pijemy, ile śpimy, jakie życie seksualne prowadzimy itd. Mój ulubiony rozdział: Dlaczego ślinimy się podczas drzemki, a podczas snu – już nie?

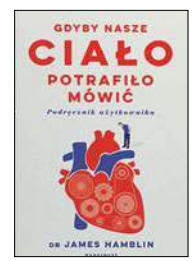

DR JAMES HAMBLIN
„GDYBY NASZE CIAŁO POTRAFIŁO MÓWIĆ”
MARGINESY

Stany Zjednoczone pogrążone w chaosie, Ziemia w ciemnościach, rasą panującą stały się wampiry, a ludzi zamknięto w obozach. Zamknięcie trylogii „Wirus”, której współautorem jest Chuck Hogan. ©℗

poleca Piotr Gociek

GUILLERMO DEL TORO, CHUCK HOGAN
„WIECZNA NOC”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Michalak „Kropla nadziei” (Znak) – literatura dla pań, ostatni tom trylogii mazurskiej, rozpoczętej powieścią „Gwiazdka z nieba”.***
2. ***Jojo Moyes „Moje serce w dwóch światach” (Między Słowami) – ciąg dalszy perypetii Lou Clark, bohaterki książek „Zanim się pojawiłeś” i „Kiedy odszedłeś”.***
3. ***Paulina Świst „Podejrzany” (Akurat) – nowy kryminał autorki znanej dotąd z książek „Komisarz” i „Prokurator”. A może i autora, bo „Świst” to pseudonim.***
4. ***Nora Roberts „Początek” (Edipresse) – początek cyklu „Kroniki tej jedynej”. Znana autorka bestsellerów dla pań próbuje sił w opowieści o końcu świata.***
5. ***Ilona Gołębiewska „Miłość ma twoje imię” (Muza) – kobieta z przeszłością, mężczyzna po przejściach. Jak ogień i woda, ale spróbują sobie pomóc.***

(Najchętniej kupowane książki w internetowej księgarni Ravelo w dniach 1.06–9.07.2018 r.)

eprasa.pl 59fff9dc19

Ja, kultura

To nieprawda, że polska prezydencja w Unii Europejskiej zupełnie nic Polsce nie przyniosła. Może nie o takich profitach dla naszego kraju marzyli politycy i komentatorzy, ale przecież nie samą polityką człowiek żyje. To właśnie w 2011 r., kiedy Polska przewodniczyła posiedzeniom Rady Unii Europejskiej w Instytucie Adama Mickiewicza, powołano do życia projekt I, CULTURE (Ja. Kultura). Szczęśliwie działa do tej pory.

I, CULTURE Orchestra to dziś jedna z najbardziej dynamicznie rozwijających się orkiestr młodzieżowych świata. Młodzi muzycy (do 28 lat) pochodzą z Polski i krajów Partnerstwa Wschodniego, czyli programu zakładającego – w dużym skrócie – zacieśnianie współpracy między Unią Europejską a państwami wschodnimi: Armenią, Azerbejdżanem, Białorusią, Gruzją, Mołdawią i Ukrainą.

FOT. KONRAD ĆWIK / © JAM

W tym roku zespół, którego powstaniu przyświecała idea budowy mostów ponad politycznymi podziałami, zasilili muzycy z Węgier.

Przez pierwszych siedem lat działalności w projekcie wzięło udział ponad 600 muzyków wyłanianych rokrocznie podczas przesłuchań, a I, CULTURE Orchestra zagrała ponad 40 koncertów, m.in. w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Belgii, Hiszpanii, we Francji, w Szwecji, Islandii, Danii, na Litwie, Białorusi, w Gruzji, Mołdawii i na Ukrainie.

W 2015 r. wystąpiła na Majdanie Nezależnosti podczas obchodów Dnia Niepodległości Ukrainy.

W niedzielę koncertem na Zamku Królewskim w Warszawie muzycy zainaugurowali tegoroczną trasę koncertową. I, CULTURE Orchestra pod batutą Kirilla Karabitsa (dyrektora artystycznego ICO) i z solistą, skrzypkiem Nemanją Radulovicem wystąpi jeszcze w Montpellier na Festiwalu Radia Francuskiego, w Concertgebouw w Amsterdamie i w Tivoli w Kopenhadze.

A jesienią włączy się w narodowy program 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, występując i promując również polskich kompozytorów w Hamburgu oraz Brukseli. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Niestety, tego słucha świat

Siedem piosenek z tej płyty jest w amerykańskim Top 10 i tym samym raper pobił 54-letni rekord należący do Beatlesów. Jakby tego było mało, album w ciągu tygodnia został odtworzony na platformach streamingowych ponad miliard razy.

Aubrey Drake Graham, kanadyjski piosenkarz i aktor, święci triumfy, a jednocześnie recenzje płyty są fatalne. Głównym zarzutem jest opowiadanie przez niego w kółko tych samych historii o tym, że „jest najlepszym raperem, ale nikt tego nie przyzna, jest źle traktowany przez każdą kobietę, że jest obrzydliwie bogaty, ale życie na topie niełatwe…".

Pal sześć jego nawijanie. Gorzej, że ta płyta jest po prostu strasznie nudna. Pierwszych 10 piosenek snuje się w ślamazarnym tempie i dopiero pojawienie się rapera Jay-Z w „Talk Up" wybiło mnie z odrętwienia. Szesnasty „Nice for What" rzeczywiście jest zabawnym hitem, ale po nim następuje kolejna seria „spowalniaczy". Najbardziej przygnębiającym utworem na płycie jest „Do Not Matter to Me" z upiornie wsamplowanym Michaelem Jacksonem.

„Scorpion" jest przeciętnym albumem nawet na tle wcześniejszych dokonań Drake'a, szczególnie tych z początku jego kariery. Tym bardziej nie umiem wytłumaczyć fenomenu nieprawdopodobnej popularności tej płyty. ©℗

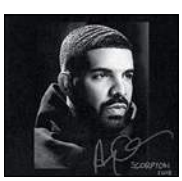

★★☆☆☆☆

DRAKE „SCORPION" REPUBLIC

★★★☆☆☆

THE CARTERS (JAY-Z & BEYONCÉ) „EVERYTHING IS LOVE" PARKWOOD

Muzyczna telenowela o wyjściu z małżeńskiego kryzysu popowych arystokratów. Łzawe, kiczowate, ale produkcyjnie perfekcyjne. Beyoncé lśni (fantastycznie rapuje), a Jay-Z pięknie statystuje. Dla istagramowiczów, którzy z telefonem się nie rozstają.

★★★☆☆☆

CHRISTINA AGUILERA „LIBERATION" RCA

Ta ikona popu sprzedała ponad 50 mln płyt i ma pięć nagród Grammy. „Oswobodzenie" jest bardzo osobistym albumem Christiny i mimo rozkosznej produkcji (m.in. Kanye West) jego celem nie jest ściganie się na listach. Zacne, choć mało porywające. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta

ORAZ
ORKIESTRA TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS KONCERTU: Enea

WSPÓŁORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP, Głos Wielkopolski

eprasa.pl 59fff9dc19

Jan Parys

Trump, Rosja i Europa

Jaka jest aktualna polityka Waszyngtonu wobec Moskwy? Dyplomaci powinni oceniać twardą politykę międzynarodową prezydenta USA, a nie opierać się na opinii mediów

FOT. VALERY SHARIFULIN/TASS/GETTY IMAGES

Z wypowiedzi Zbigniewa Brzezińskiego z początku 2017 r. jasno wynikało, że obecna administracja USA będzie prowadzić politykę globalną w trójkącie: USA, Rosja, Chiny. Ponadto po paru tygodniach refleksji w ubiegłym roku administracja amerykańska uznała, że Rosja jest głównym zagrożeniem militarnym ze względu na politykę ekspansji i zbrojeń, a Chiny są zagrożeniem dla interesów gospodarczych USA na świecie. To określiło priorytety tej prezydentury.

Rok 2017 i początek roku 2018 pokazały, że niezależnie od oskarżeń publikowanych w mediach, jakoby obecna administracja była prorosyjska, Donald Trump doprowadził do zwiększenia budżetu wojskowego oraz zwiększenia nakładów na obronę Europy, w tym flanki wschodniej. Podpisał uchwaloną w sierpniu 2017 r. ustawę przewidującą sankcje wobec Rosji, których nigdy wcześniej nie było. W przemówieniach w Warszawie oraz w orędziu przed Kongresem w styczniu 2018 r. klarownie określił politykę bezpieczeństwa USA, w tym zagrożenia ze strony Rosji. Zdecydował o przeprowadzeniu operacji wojskowej USA w Syrii, ćwiczeń militarnych wokół Korei Północnej i na flance wschodniej NATO, co jest dowodem na to, że Waszyngton traktuje wojsko jako ważne narzędzie dyplomacji. Trump wprowadził też kolejne sankcje wobec sektora militarnego i petrochemicznego oraz oligarchów w Rosji, skutecznie uderzając w jej interesy ekonomiczne i polityczne. Oprócz tego dąży do zwiększenia nakładów na obronę przez europejskich członków sojuszu, czyli stara się wzmocnić NATO.

GOTOWI NA KONFRONTACJĘ

Wymienione okoliczności skłaniają do poważnego zastanowienia się nad aktualną polityką USA wobec Rosji. Wbrew opinii wielu mediów obecny prezydent

eprasa.pl 59fff9dc19

USA nie prowadzi wobec Moskwy polityki ustępstw.

Ze względu na to, że nasze bezpieczeństwo zależy głównie od pozycji i polityki USA, zwłaszcza od polityki Waszyngtonu wobec Europy i Rosji, omawianie uwarunkowań amerykańskiej dyplomacji wydaje się potrzebne. Jedno powinno być oczywiste dla polityków w Europie – prezydent USA ma takie informacje o rosyjskich zbrojeniach i zamiarach, że mimo problemów z deficytem budżetowym zdecydował się poważnie podnieść wydatki na zbrojenia i prowadzi politykę umacniania pozycji militarnej USA w Europie. Co więcej – amerykańskie operacje wojskowe w Syrii dowodzą, że obecna administracja jest gotowa na konfrontacje z Rosją na terenach, gdzie Moskwa prowadzi ekspansje. Z tej twardej polityki międzynarodowej Trumpa, a nie z opinii mediów, dyplomaci w Europie powinni wyciągnąć wnioski.

Pytanie: „Co robić z agresywną Rosją?" to pytanie, które dyplomacja USA zadaje sobie stale, co najmniej od końca II wojny światowej. Wydaje się, że współczesna polityka amerykańska wobec Rosji przez ostatnie pół wieku jest pochodną koncepcji powstrzymywania stworzonej przez George'a Kennana oraz wielu lat doświadczeń związanych z jej wprowadzaniem za czasów Trumana i w latach następnych. Nie mamy dostępu do aktualnych dokumentów Departamentu Stanu ani bieżących dyrektyw Narodowej Rady Bezpieczeństwa, które są podstawą aktualnej strategii obecnej dyplomacji. Zatem warto wrócić do analizy polityki USA z lat wcześniejszych, bo pewne kanony myślenia u amerykańskich dyplomatów i wojskowych, którym obca jest naiwność zwolenników resetu, są trwałe. Obecne dyrektywy są powiązane z rozwiązaniami, które z różnym skutkiem już dawniej stosowano w polityce międzynarodowej wobec Moskwy.

DOKTRYNA POWSTRZYMYWANIA

George Kennan był jednym z pierwszych dyplomatów, którzy nie tylko wyrażali sceptycyzm wobec możliwej kooperacji ze Związkiem Sowieckim. Był autorem słynnego telegramu nadanego z Moskwy w dniu 22 lutego 1946 r. liczącego 8 tys. słów, który stał się podstawą tzw. doktryny powstrzymywania, funkcjonującej w Waszyngtonie do czasów Reagana, a może i do dziś. Nie jest to tylko dokument historyczny. Znajdują się w nim bowiem pytania, które dotyczą każdej administracji, także obecnej. W telegramie tym są propozycje rozwiązań, których skuteczność udało się przetestować w ciągu paru dekad.

Później, w 1947 r., Kennan opublikował w „Foreign Affairs" tekst na ten sam temat dotyczący źródeł sowieckiego postępowania.

Kennan był tym, który stwierdzał wprost, że polityka zagraniczna USA podczas II wojny światowej zakończyła się geopolitycznym fiaskiem – czyli była błędna. Zakładała bowiem, że Moskwa chce kooperować z USA, a stan tej kooperacji zależy od stopnia elastyczności amerykańskiej dyplomacji. Kennan uważał, że przede wszystkim należy zdać sobie sprawę z odmiennych celów USA i Związku Sowieckiego oraz że nie należy tych różnic ignorować czy przemilczać. Za konieczne uważał wzmacnianie potencjału militarnego USA. Ten potencjał był jego zdaniem konieczny, by prowadzić skuteczną dyplomację. Dalej proponował, aby USA przeciwstawiały się ekspansji terytorialnej Moskwy. Jednocześnie Kennan chciał, by Waszyngton akceptował graniczne status quo – czyli by nie prowadził polityki wyzwalania terenów okupowanych przez Związek Sowiecki.

Wszelkie rokowania z Moskwą uznawał za możliwe, ale ugoda mogła nastąpić tylko na zachodnich warunkach. I nie ma mowy o ustępstwach. USA miały czekać, aż Rosja sama dojrzeje do reform lub do czasu, aż nastąpią tam procesy kryzysowe prowadzące do upadku systemu.

De facto była to strategia oporu wobec ekspansji i wyczekiwania na załamanie rosyjskiego systemu. Kennan uważał, że Związek Sowiecki prowadzi wyścig zbrojeń, ale nie zdecyduje się na uderzenie militarne w USA, że Rosja mimo imperialnych zamiarów nie odważy się na wojnę światową wobec państw zachodnich. Metoda rosyjskiej ekspansji to wojna psychologiczna, budowa politycznych wpływów przez partie komunistyczne oraz tzw. koła postępowe. Jednocześnie Kennan podkreślał, że celem USA nie może być amerykanizacja świata, czyli budowa jednolitego uniwersalnego ładu opartego na amerykańskich wartościach. Nie ma bowiem takich wspólnych wartości dla wszystkich państw na świecie. Jego zdaniem Ameryka powinna dążyć do tego, by żaden kraj nie był w stanie zdominować świata czy ważnego strategicznie regionu.

WAGA SOJUSZNIKÓW

Kennan nie ukrywał, że Ameryka potrzebuje sojuszników. Widział ich głównie w takich państwach jak Wielka Brytania czy Niemcy, a także w innych regionach, np. w Japonii. Dzisiaj relacje państw europejskich z USA są różne. W wielu zarówno większość społeczeństwa, jak i ogromna część elit politycznych jest antyamerykańska. Uznając nadrzędne znaczenie sojuszy dla USA, Kennan wprost stwierdzał, że polityka zagraniczna USA nie powinna ingerować w wewnętrzną politykę sojuszników czy być od niej zależna. Relacje sojusznicze mają służyć jedynie do zapewnienia bezpieczeństwa i nie mogą być wykorzystywane jako instrument nacisku w jakiejkolwiek innej kwestii (George Kennan, „Memoirs 1925–1950", str. 359 oraz w wielu innych publikacjach).

Warto dodać, że Kennan patrzył na kraje europejskie jako na całość. Uważał, że Europa jako wspólnota może łatwiej obronić się przed rosyjską ingerencją czy agresją. Jako realista był zdania, że nie da się zintegrować Europy bez Niemiec. Stąd proponował, by jak najszybciej politykę okupacji zastąpić polityką odbudowy Niemiec i by objąć Niemcy planem Marshalla.

Doceniając znaczenie sił militarnych, Kennan postulował, by wobec Rosji posługiwać się ekonomicznymi, technologicznymi i psychologicznymi narzędziami nacisku. Wykluczał wojnę jako metodę osiągania pokoju, natomiast dopuszczał działania destrukcyjne podczas czekania na autodestrukcję systemu rosyjskiego. Dyplomacja USA powinna czekać nawet kilka pokoleń, aż władze na Kremlu zrozumieją, że bez kooperacji z Waszyngtonem nie dostaną tego, co dla przetrwana ich systemu jest konieczne. Jednocześnie, jak stwierdzał Kennan, obrona militarna przed rosyjską ekspansją militarną jest

„Co robić z agresywną Rosją?" to pytanie, które dyplomacja USA zadaje sobie co najmniej od końca II wojny światowej

eprasa.pl 59fff9dc19

konieczna i musi obejmować wszelkie zaatakowane terytoria lub obszary uznane za ważne i państwa sojusznicze.

Fakt, że po rozwiązaniu Związku Sowieckiego zniknęło komunistyczne państwo, nie oznacza, iż koncepcja powstrzymywania Rosji straciła aktualność. Tak jak dawniej żywotne interesy USA i ich sojuszników były i są zagrożone przez rosyjski ekspansjonizm.

PROBLEM NIEMIEC

Zatem także dziś aktualne są pytania: Jak wpływać na Rosję? Jak doprowadzić do zmiany jej agresywnej polityki zagranicznej, by uznała reguły kooperacji? Co zrobić, by obywatele Rosji i jej elita stali się zainteresowani modyfikacją obecnej polityki zagranicznej? Czy można przekonać przywódców na Kremlu, że zdominowanie świata przez Moskwę nie jest możliwe? Czy na Kremlu są w stanie zaakceptować fakt, że świat to prawie 200 państw i że pozostaną one zróżnicowane, że Rosja – jeżeli chce być partnerem – musi przyjąć i stosować reguły Karty ONZ?

Otóż wydaje się, że także dziś nie ma innej metody przekonania Kremla do naszego punktu widzenia jak poprzez bodźce pozytywne wobec elementów kooperacji i negatywne wobec zachowań agresywnych. Postępowanie ekipy Trumpa, w tym jego rozmowy z Putinem, dowodzą, że taką aktywną strategię wobec Rosji przyjęła obecna administracja.

Jak pokazują ostatnie lata, od momentu rozwiązania Związku Sowieckiego niektóre państwa europejskie często prowadzą wobec Moskwy własną politykę, ignorując sprawy bezpieczeństwa, często jedynie symbolicznie akceptując wspólne deklaracje sojuszu północnoatlantyckiego.

W pamiętnikach Kennana kilkukrotnie powraca sprawa Niemiec. Po wojnie w wielu krajach istniało silne poczucie zagrożenia ze strony tego kraju. Kennan widział rozwiązanie tego problemu poprzez powiązanie Niemiec z USA w każdej dziedzinie, tak by Ameryka miała na stałe kontrolę nad sytuacją w tym kraju. To ma zapobiec temu, by Niemcy dostały się w sferę wpływów Rosji. Ta rola USA wobec Niemiec była realizowana do czasu ich zjednoczenia. Potem polityka Berlina stawała się coraz mniej atlantycka i faktycznie coraz bardziej przyjazna wobec Moskwy. Dzisiaj silne powiązania gospodarcze i polityczne Berlina z Moskwą są zagrożeniem dla polityki bezpieczeństwa prowadzonej w NATO. Stąd twarde słowa Trumpa wobec Merkel podczas ostatniego szczytu sojuszu. Stąd oskarżenie Berlina, że przez kupowanie w Rosji węglowodorów finansuje rosyjskie zbrojenia.

Obecna sytuacja międzynarodowa jest ukształtowana przez politykę zagraniczną epoki Putina. Różne kroki Moskwy na arenie międzynarodowej z tego okresu skłaniają do poglądu, że wobec agresywnego postępowania Moskwy (jak agresja na Gruzję czy Ukrainę, ingerencja w przebieg wyborów w kilku państwach zachodnich, próba zabójstwa Skripala, używanie broni chemicznej przez satelitów Moskwy w Syrii) kompromis z Rosją w sprawie kooperacji międzynarodowej prawie nie jest możliwy. Trzeba zatem sankcjami wymusić zmianę polityki zagranicznej Moskwy, by wrócić do prób porozumienia.

Trzeba sankcjami wymusić zmianę polityki zagranicznej Moskwy, by wrócić do prób porozumienia

Wobec nieobliczalnej elity politycznej w Rosji jakakolwiek równowaga czy równość stron jest celem nierealistycznym, bo oznacza zagrożenie dla państw zachodnich. Oznacza to, tak jak za czasów Reagana, konieczność odejścia od porozumień z Moskwą, gdy ta je łamie. Jak wskazywał Reagan – polityka odprężenia nie kończy zimnej wojny, lecz ją wydłuża, arsenały nuklearne nadal istnieją. Świat będzie bezpieczniejszy, jeżeli zmieni się Związek Sowiecki, a nie wtedy, kiedy będzie trwał w formie obecnej, totalitarnej z agresywną polityką na świecie. Zmiany w rosyjskiej polityce wewnętrznej i zagranicznej mogą być osiągnięte poprzez wyścig zbrojeń, przewagę militarną, gospodarczą oraz technologiczną. Reagan uważał, że to Inicjatywa Obrony Strategicznej może realnie zredukować nuklearne zagrożenia. Bo właśnie system obrony antyrakietowej może uczynić broń nuklearną bezużyteczną, a świat bezpieczniejszy. To jest podejście także obecnej administracji.

Destrukcyjne zachowania Rosji na arenie międzynarodowej czasów Putina stawiają polityków europejskich przed pytaniem, które istniało w czasach Kennana: Skoro odrzucamy wojnę i odrzucamy ustępstwa, to jak reagować na destrukcję systemu międzynarodowego spowodowaną polityką Moskwy? Jak postępować, kiedy wzrasta rywalizacja między USA a Rosją, a pewne kraje, takie jak Polska czy Rumunia są głównymi państwami pierwszej linii obrony sojuszu?

Rok 2017 przyniósł w Europie zmiany o ogromnym znaczeniu geopolitycznym. W tym czasie wojska USA w sposób pokojowy przesunęły się o kilkaset kilometrów na wschód i są dziś tam, gdzie przez 40 lat stacjonowała armia rosyjska. To całkowicie zmieniło układ sił w Europie. Zapewniło USA silniejszą pozycję na kontynencie, krajom Trójmorza dało poczucie bezpieczeństwa, a Polsce dało silniejszą pozycję wobec Moskwy, Brukseli i Berlina.

Okres władzy Putina skłania myślących racjonalnie polityków, by ponownie postrzegać Rosję jako zagrożenie. Tym samym silna pozycja USA jest dziś postrzegana inaczej – coraz częściej jako potrzebne wsparcie, a nie jako wroga dominacja. Jeżeli uda się połączyć amerykańską siłę z poszanowaniem przez Waszyngton suwerenności mniejszych państwa sojuszniczych, to pozycja Ameryki w świecie będzie rosła. To oznacza, że USA muszą odrzucić zarówno pokusę izolacjonizmu, jak i rolę hegemona rządzącego poszczególnymi państwami, a przyjąć rolę strażnika odpowiedzialnego za bezpieczeństwo świata zachodniego. USA nie mogą po prostu odrzucać wszelkich zasad i kierować się doraźnymi interesami czy ideologią. Mają być ich inicjatorem i współautorem nowego porządku wspólnie z sojusznikami. I to bez względu na postawę Moskwy.

Szczyt w Helsinkach to był krok w tym właśnie kierunku. Nie doszło tam ani do drugiej Jałty, ani do nowego resetu. Jest możliwa punktowa współpraca mocarstw, co nie oznacza zmiany dotychczasowej polityki USA wobec Moskwy. Waszyngton nadal realizuje wobec Rosji koncepcje powstrzymywania opracowaną przez George'a Kennana.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, publicystą i socjologiem, byłym ministrem obrony narodowej (1991–1992) oraz byłym szefem gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych (2015–2018).

eprasa.pl 59fff9dc19

REPUBLIKA

THE FIRST SOURCE OF RELIABLE INFORMATION

Poland Daily

WEATHER

BUSINESS

Everyday on Telewizja Republika

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM (Warsaw time)
4:00 PM, 6:00 PM, 8:00 PM, 10:00 PM (Eastern Time, US)

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

debata DO RZECZY

Słoń w

Tomasz Kwaśnicki

Nawet nieśmiałe nawoływania do naśladowania Węgier w ich suwerennej postawie wobec Rosji są w Polsce piętnowane. To błąd

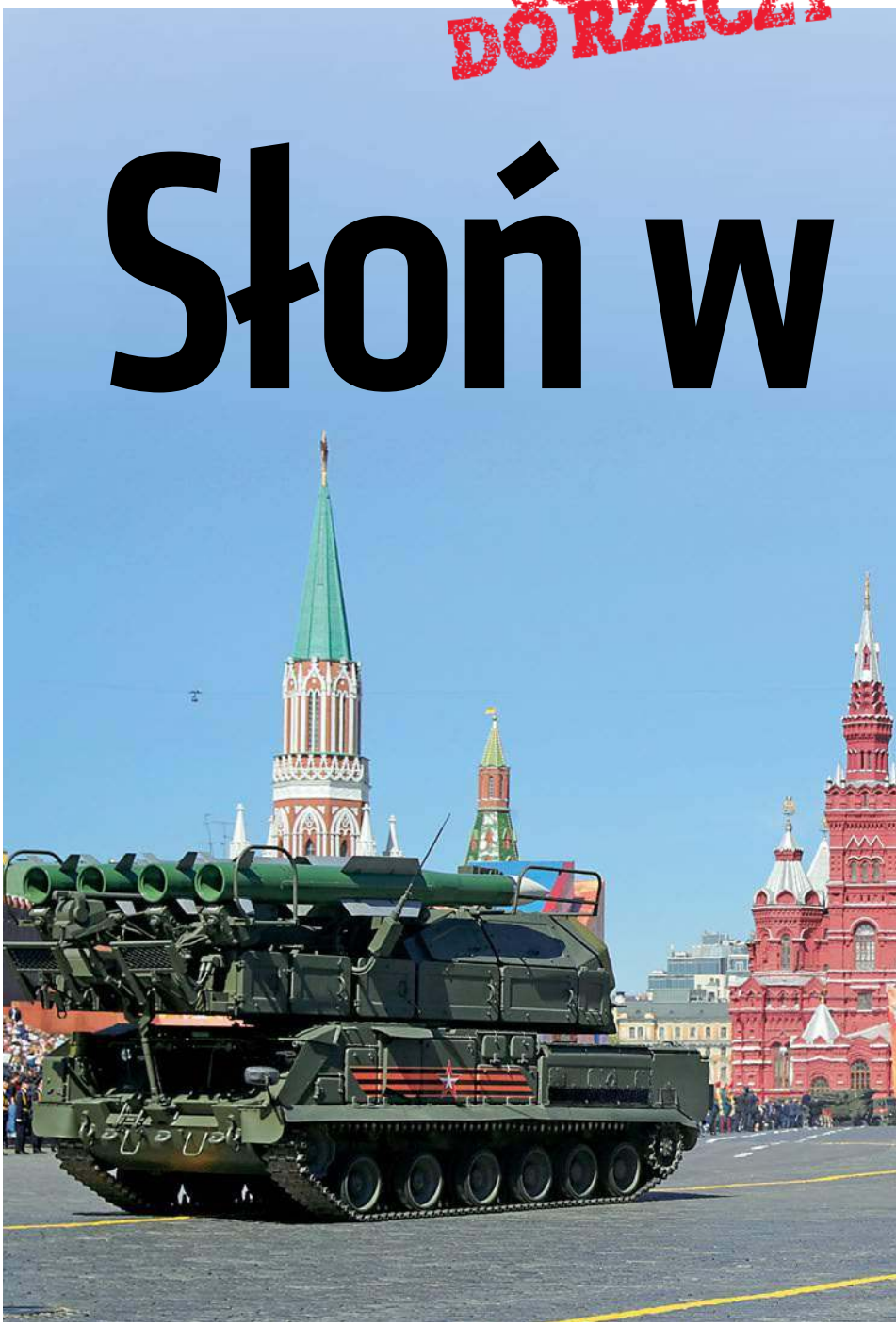

Od czasu, gdy Viktor Orbán nawiązał korzystną dla Węgier współpracę z Federacją Rosyjską, polskie elity starały się na wszelkie sposoby zdezawuować politykę Madziarów. Nie mogąc podważyć oczywistych profitów płynących z węgierskiego piwotu na Wschód, polska centroprawica zajęła się wymyślaniem powodów, dla których Rzeczpospolita pod żadnym pozorem nie jest i nigdy nie będzie w stanie podążać drogą Węgier. Nie znalazłszy racjonalnych argumentów, sięgnięto do arsenału środków zaczerpniętych z nauk ezoterycznych. Zaczęto wówczas pisać, że normalizację stosunków z Rosją uniemożliwia nam nasze geograficzne położenie. Polska – powtarzają od lat polityczni determiniści – leży „na północ od łuku Karpat" w „korytarzu geostrategicznym", co w definitywny sposób przesądza o niemożliwości porozumienia pomiędzy Warszawą a Moskwą. Sformułowanie „korytarz geostrategiczny" nosi bez wątpienia pozory naukowości, w rzeczywistości oznacza jednak wyłącznie tyle, że między Warszawą i Moskwą nie ma żadnych naturalnych przeszkód mogących istotnie spowalniać przemarsz wojsk. Z oczywistości tej wynikać ma według Andrzeja Talagi nieuchronność polsko-rosyjskiej konfrontacji.

SŁOWNA SZARLATANERIA

Trudno nie dostrzec paranoidalnego charakteru tego rozumowania. Dokładnie ten sam „korytarz" na dokładnie tej samej zasadzie powinien bowiem przesądzać z góry o nieodzowności konfliktu polsko-niemieckiego, idąc dalej, powinien determinować on permanentnie wrogie relacje między Paryżem a Berlinem, a także między Berlinem i Kopenhagą oraz między Paryżem a Amsterdamem i Brukselą. Równie źle powinny wyglądać relacje tych dwóch ostatnich stolic z Berlinem. Oczywiście historia wymienionych tu krajów obfituje w krwawe konflikty, a ich geograficzne położenie sprawia, że dochodzi do nich częściej, niż dochodziłoby w innych warunkach, ale to jeszcze nie powód, by uznać wojnę za bezwzględne fatum, a pokój za niewytłumaczalną anomalię, o którą w związku z tym nie warto zabiegać, gdyż jest ona darem niebios, a nie wynikiem zrównoważonej i realistycznej polityki. Tymczasem tak właśnie czyni Talaga, który z sobie wiadomych powodów redukuje stosunki międzynarodowe do logiki zbrojnego starcia, w której nie ma miejsca dla takich pojęć jak „dyplomacja", „gra interesów" czy „równowaga sił". Jedynie w ramach tak okrojonego rozumowania równanie Talagi (geograficzna bliskość + brak przeszkód naturalnych = nieuchronna konflikt) zyskuje rangę prawa fizyki. Poza tym jest ono zwykłą demagogią.

W Polsce tego typu słowna szarlataneria była zawsze szczególnie popularna: „Potęga frazesu była i jest w Polsce arcypotęgą – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz. Działa ona na mózg polski zupełnie tak jak duża butla spirytusu". O tej słabości Polaków do rozmaitych sloganów i łatwo przyswajalnych „doktryn", za pomocą których tak ochoczo zwalniają się

eprasa.pl 59fff9dc19

salonie

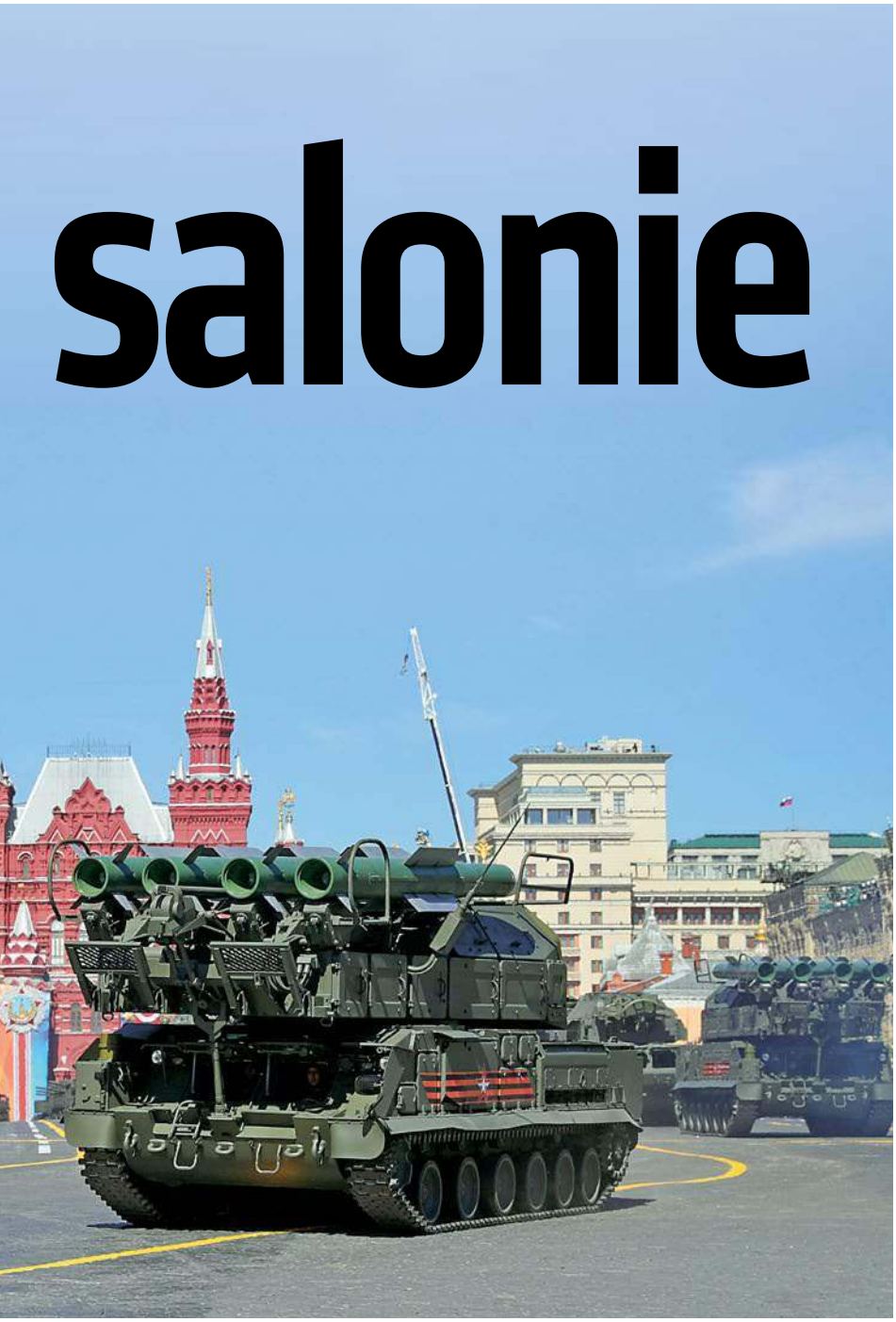

FOT. SERGEI BOBYLEV/TASS/FORUM

z samodzielnego myślenia, wie dobrze Andrzej Talaga, dlatego postarał się ująć swój polityczny pogląd w formie zgrabnej sentencji. Jak pisze na łamach „Rzeczpospolitej": „Im nasze relacje z Moskwą lepsze, tym gorzej dla naszego bezpieczeństwa". Aforyzm ten, który już dziś wypada nazwać prawem Talagi, stanowi jego największy wkład do polskiej myśli politycznej. Żelazna logika nakazuje nam wyciągnąć stąd jedyny możliwy wniosek: „Im nasze relacje z Rosją gorsze, tym lepiej dla naszego bezpieczeństwa".

Nie wykazawszy żadnego związku pomiędzy położeniem Polski na Nizinie Środkowoeuropejskiej a niemożnością uprawiania przez nią polityki innej niż antyrosyjska, Talaga stara się od innej strony uzasadnić to smutne przeznaczenie. Argumentuje, że Węgry mogą sobie pozwolić na podmiotowość, gdyż oprócz swojego geograficznego położenia są ponadto krajem o „małej populacji, nikłym PKB i generalnie słabej pozycji międzynarodowej" – co, zdaniem Talagi, „daje im większe pole manewru". Talaga nie pokusił się niestety o to, by wyjaśnić, w jaki sposób mała populacja, nikłe PKB i „generalnie słaba pozycja międzynarodowa" wpływają na zwiększenie pola manewru, a szkoda, bo być może byłaby to łatwa droga do politycznej emancypacji.

Poza argumentem „z korytarza" oraz argumentem „z generalnie słabej pozycji międzynarodowej" Talaga posługuje się także argumentem „z głębi". Chodzi o głębię strategiczną, „a więc odległość, jaką musi przebyć potencjalny agresor do Moskwy". Jak zauważa Talaga: „W okresie zimnej wojny było to ok. 2000 km, licząc od Łaby, obecnie jest to ok. 1000 km, licząc od Bugu". Z tych geodezyjnych obliczeń po raz kolejny wynikać ma nieubłagana konieczność rosyjskiej inwazji na Polskę lub w najlepszym wypadku zdominowanie jej innymi metodami. Talaga nie precyzuje, która dokładnie „głębia strategiczna" ostatecznie usatysfakcjonowałaby Federację Rosyjską. Czy zadowoli się ona jedynie okupacją Polski i wschodnich Niemiec, czy też, ze względu na postęp technologiczny, który nastąpił w ciągu ostatnich 30 lat, tym razem konieczna będzie również okupacja Francji, a być może i Półwyspu Iberyjskiego? W końcu większa głębia jest zawsze lepsza niż mniejsza. Talaga ze swej strony nie poinformował nas, czy istnieją jakieś rozumowo uchwytne granice rosyjskiej zachłanności na tym polu. Dopóki autor nie odpowie na te pytania, dopóty argument z „głębi" pozostanie kolejnym, uczenie brzmiącym nonsensem o dokładnie tym samym paranoidalnym charakterze co argument „z korytarza". To niezwykłe, jakiej retorycznej mocy może nabrać nic niewnoszący do debaty slogan, gdy nada mu się powab wiedzy eksperckiej.

W CO WIERZĄ POLACY

Powodem, dla którego Talaga może bez ryzyka kompromitacji wypisywać bzdury w poczytnej polskiej prasie, jest to, że bez względu na to, jak niedorzecznymi argumentami się posłuży, w ostatecznym rozrachunku zdecydowana większość Polaków i tak przyzna mu rację co do jednego: „Rosja jest agresorem i stanowi dla nas »egzystencjalne« zagrożenie". W Polsce taka diagnoza, jak z zadowoleniem konstatuje Andrzej Talaga, to „konsensus respektowany od prawa do lewa" i fakt ten jest bez wątpienia miarą upadku kultury politycznej w naszym kraju. „Kiedy mówimy o potędze – pisał Hans Morgenthau – mamy na myśli kontrolę człowieka nad myślami i działaniami innych ludzi […]. Potęga

eprasa.pl 59fff9dc19

polityczna to stosunek psychologiczny między tymi, którzy ją sprawują, a tymi, którzy się jej poddają. Daje tym pierwszym kontrolę nad określonymi działaniami tych drugich za pośrednictwem wpływu na ich umysły…". Otóż nie ma najmniejszej wątpliwości, że w przypadku Polski tak zdefiniowana potęga znajduje się w rękach Stanów Zjednoczonych. Wpływ amerykańskiej propagandy na umysły Polaków jest przemożny. Nic nie dowodzi tego w sposób bardziej dobitny niż to, że mimo agresywnej polityki prowadzonej przez Waszyngton w naszym regionie, mimo wywoływania wojen na granicach Federacji Rosyjskiej i organizowania krwawych przewrotów w jej bezpośrednim sąsiedztwie to właśnie Rosja oskarżana jest o imperialne dążenia i zaborcze intencje.

Bez względu na to, w co wierzą Polacy (i czy w ludzkiej mocy jest ich wiarę podważyć), fakty, które w maju tego roku opublikował sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem, przedstawiają się następująco: „W 2017 r. USA wydały na wojsko więcej (610 mld dol.) niż łączne wydatki kolejnych siedmiu krajów o najwyższych wydatkach […]. Rosyjskie wydatki wojskowe w 2017 r. wynoszące 66,3 mld dol. były o 20 proc. niższe niż w 2016 r.". Wydatki samych Amerykanów na zbrojenie to dziesięciokrotność tego, co wydają Rosjanie, z kolei wydatki tylko europejskich członków NATO to trzykrotność rosyjskich wydatków. Oprócz tego, podkreślmy to jeszcze raz, Rosjanie zmniejszają swoje wydatki na zbrojenia, podczas gdy NATO sukcesywnie je zwiększa.

Jak zauważa nestor szkoły realistycznej, prof. John Mearsheimer: „Wielkie mocarstwa ostro reagują, kiedy odległe rywale poszerzają strefy militarnego wpływu, nie mówiąc o próbach zrobienia sojusznika z kraju z nimi sąsiadującego. Właśnie dlatego Stany Zjednoczone posługują się doktryną Monroe'a, zgodnie z którą żaden amerykański przywódca nie tolerowałby możliwości wstąpienia Kanady czy Meksyku do sojuszu kierowanego przez inne mocarstwo". Jeśli weźmiemy te uwarunkowania pod uwagę, to reakcja Rosji, czy to w Gruzji, czy to na Ukrainie, nie wyda nam się tak irracjonalna i agresywna, jak starają się nas o tym przekonać polskie media. Bez względu na intencje przyświecające Amerykanom ich działania na terytorium byłych republik Związku Sowieckiego zostały zinterpretowane w Moskwie jako akt agresji i tylko wyjątkowo niekompetentni decydenci mogli się spodziewać, że stanie się inaczej.

Szczególnie drastycznie sytuacja przedstawia się w przypadku Ukrainy, kraju o fundamentalnym znaczeniu dla rosyjskiego bezpieczeństwa. Wspierając antydemokratyczny przewrót nad Dnieprem, USA przeprowadziły operację, której efektem stało się przekształcenie Ukrainy z kraju buforowego na w pełni uzależniony od Waszyngtonu protektorat. Przypomnijmy, że w chwili, w której dokonywał się kijowski pucz, niezależne badania opinii społecznej przeprowadzone przez Centrum Razumkowa wskazywały, że Majdan cieszył się poparciem zaledwie 50 proc. ukraińskiego społeczeństwa. Niemal tyle samo Ukraińców, bo 47 proc., było przeciwnikami kijowskich protestów. Nie zapominajmy także, że mimo upływu lat wciąż nie wskazano winnych masakry na Majdanie, a jedyną osobą skazaną za zabójstwo w tej sprawie jest przywódca „tituszek", którego mocodawcy nie zostali wskazani.

Jesteśmy Amerykanom potrzebni przede wszystkim jako „teren antyrosyjskich dywersji"

Jak dotąd wszystkie ustalenia niezależnych ekspertów i dziennikarzy (w tym czołowych zachodnich mediów) wskazują na to, że masakra na Majdanie była operacją typu „false flag", mającą ostatecznie skompromitować prezydenta Janukowycza i przechylić szalę na korzyść rebeliantów. Nawet taki wojenny podżegacz jak George Friedman w swojej futurologicznej pracy „Następne 100 lat", mimo nieskrywanego entuzjazmu, którym napełnia go wizja przyszłego konfliktu zbrojnego między NATO a Rosją, zapowiada otwarcie, że dojdzie do niego nie na skutek rzekomo agresywnej polityki Kremla, lecz ze względu na to, iż Rosja będzie czuć się coraz bardziej zagrożona militarnymi działaniami Stanów w bezpośrednim sąsiedztwie swoich granic, w tym przede wszystkim próbami przejęcia kontroli nad Ukrainą. Oczywiście zdaniem Friedmana wojna będzie zwycięska, gdyż włączy się do niej Polska wsparta „amerykańskimi technologiami", ale – jak już napisałem wyżej – Friedman to podżegacz.

CHOCHOLI TANIEC

O tym, że Amerykanie wytoczyli informacyjną wojnę umysłom Polaków, że je całkowicie pobili i skolonizowali, świadczą również histeryczne reakcje na pojawiające się od czasu do czasu nieśmiałe nawoływania do naśladowania Węgier w ich suwerennej postawie. Ludzie, którzy do tego wzywają, są w Polsce nieodmiennie piętnowani jako zdrajcy i ruska agentura, mimo że nie namawiają do opuszczenia NATO, do występowania przeciwko USA, nie mówiąc już o opowiadaniu się po stronie Rosji w jakiejkolwiek sprawie na arenie międzynarodowej. W chwili obecnej nie interesują nas dobre lub złe relacje z Federacją Rosyjską. Interesują nas kwestie o wiele bardziej fundamentalne, takie jak odzyskanie suwerenności z rąk Waszyngtonu, a nie Moskwy.

Niezastąpiony Stanisław Cat-Mackiewicz pisał tuż po II wojnie światowej: „My, Polacy, nie jesteśmy odpowiedzialni za losy świata, lecz jesteśmy odpowiedzialni za losy własnego państwa. Musimy sobie wyjaśnić, czy Ameryka zamierza serio nas wyswobodzić, chociażby w dalszej przyszłości, czy też potrzebni jesteśmy wyłącznie jako teren antyrosyjskich dywersji". Otóż od czasów Mackiewicza nic się pod tym względem nie zmieniło – zarówno wtedy, jak i dzisiaj jesteśmy Amerykanom potrzebni przede wszystkim jako „teren antyrosyjskich dywersji" i dopóki nie zaczniemy dostrzegać tej oczywistości, dopóty jakakolwiek debata o polskiej polityce zagranicznej przypominać będzie niekończący się chocholi taniec lub rozmowę obłąkańców, których interesuje wszystko, tylko nie „elephant in the room", jak mawiają Amerykanie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.

O Rosji na łamach „Do Rzeczy":

- **Andrzej Talaga** – „O Rosji realnie" – 9 lipca 2018 r.
- **Piotr Semka** – „Rosja – mroczny obiekt pożądania" – 25 czerwca 2018 r.
- **Stanisław Żaryn** – „Atakowani po kryjomu" – 25 czerwca 2018 r.
- **Rafał A. Ziemkiewicz** – „Kwadratura Rosji i Niemiec" – 11 czerwca 2018 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Ameryka nie kocha Polski" – 21 maja 2018 r.
- **Piotr Gursztyn** – „Kreml nie chce zgody" – 12 września 2016 r.

eprasa.pl 59fff9dc19

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nie będę Szwajcarem

Kilka, jeżeli nie kilkanaście razy w życiu zdarzyło mi się przejechać przez Słowację samochodem. Jednak dopiero niedawno znalazłem w Internecie opowieści o tym, jak pedantyczna oraz bezwzględna jest słowacka policja drogowa i jak drakońskie kary wymierza.

Tak się złożyło, że wyczytałem te wstrząsające historie dwa dni przed wyjazdem. Nie, nie na Słowację, bo w kraju, który zamęcza ludzi zupą czosnkową niesmakującą czosnkiem, staram się przebywać jak najkrócej. Jednak wybierałem się właśnie na Węgry i do Rumunii, więc nie było wyjścia – musiałem przedrzeć się przez krainę, w której drogówka za zbyt długą jazdę lewym pasem wymierza mandat w wysokości 200 euro. Nie ukrywam – wolałem te pieniądze wydać na pálinkę i egri bikavér.

Początkowo planowałem przedostać się przez Słowację w bagażniku własnego samochodu. Po namyśle zdecydowałem się przyjąć inną taktykę. Uznałem, że pokonam Słowaków ich własną bronią – to znaczy będę jechał zgodnie z przepisami, a samochód wyekwipuję tak, że mucha nie siada. Najpierw nabyłem komplet bezpieczników samochodowych. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że coś takiego jest w samochodach, ale oni tam podobno za brak owych przywalają solidne mandaty. Na stacji Orlenu były duże i małe. Podjąłem ryzyko i wziąłem tylko mniejsze, wychodząc z założenia, że chyba nie będą mi majdrować w elektryce i sprawdzać rozmiarów bezpieczników.

Potem kupiłem kamizelki odblaskowe bezwzględnie wymagane w pojeździe. Dopiero później przypomniałem sobie, że mam je od dawna, więc mogliśmy zakładać po dwie, jakby się nagle bardzo ochłodziło. Wreszcie rzutem na taśmę, już na granicy, kupiłem zapasowe żarówki. I apteczkę. Na Słowacji trzeba podobno mieć taką zgodną z ichnimi przepisami. Do wyboru było kilka, więc wziąłem taką z napisem „Europa". Europy chyba nie będą się czepiać, a zresztą mają euro, więc powinno pasować. Z żarówkami, apteczką i duszą na ramieniu przekroczyłem granicę i zacząłem jechać zgodnie z przepisami.

Nigdy w życiu nie sądziłem, że to takie trudne. Po każdym znaku ograniczałem prędkość i już po chwili aż mnie świerzbiło, żeby przyspieszyć. Jednak nie ze mną te numery. Wytrzymałem. Chcieli 50, jechałem 50. Żądali 40, zwalniałem do 40. Domagali się 30, mieli 30. Podróż przez zdecydowanie nie największy kraj Europy ciągnęła się niemiłosiernie. Przez całą drogę nie widziałem ani jednego radiowozu.

Na Węgrzech, wyczerpany, wypełzłem z samochodu i ucałowałem ziemię. Byłem wycieńczony. I już wiedziałem, że nie nadaję się na Szwajcara. Ani nawet na Słowaka. Przygnębiony tą myślą ruszyłem w stronę Egeru. I zaraz dostałem mandat. Na szczęście w forintach. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Smutek konfederatów

Choroba, którą można nazwać „kodomizmem", w swej mutacji światowej sięgnęła rodzin królewskich. Oto brytyjskie królewięta odmówiły spotkania z prezydentem USA. Nie ulega wątpliwości, że wychowanie w brytyjskich szkołach schodzi na psy, zwłaszcza od czasu wycofania z nich kary chłosty, jednak królewscy wnukowie to nie hollywoodzkie aktorusy (nawet psu wolno szczekać na księżyc). W tego rodzaju zachowaniach pobrzmiewa ogromna pogarda – dla wszystkich tych, którzy go wybrali. Jak śmieli?! Podobne zjawisko znamy z naszego podwórka. Tutaj też mamy do czynienia z oburzeniem, że naród wybrał inaczej, niż powinien! Nie posłuchał mądrych, światłych, z wielkich ośrodków!

Coś złego dzieje się na świecie, gdy zwolennicy tolerancji zwalczają jej istotę

Oczywiście nie ma przymusu kochania Kaczyńskiego, podziwiania Morawieckiego czy fascynowania się Dudą. Nie chodzi też wyłącznie o respekt należny stanowisku, ale o szacunek dla wyboru większości. Tak kiedyś się umówiliśmy, że mimo różnic nie będziemy się zabijać, a jedynie doceniając wybór większości, patrzeć zwycięzcom na ręce. Nietrudno przecież wyobrazić sobie, że po rządach partii A zwycięża partia B, bynajmniej nie w sposób przytłaczający, i sytuacja będzie wyglądać identycznie. Chociaż przy odwrotnych preferencjach… Coś złego się dzieje na świecie, kiedy zwolennicy tolerancji zwalczają jej istotę, a tropiciele mowy nienawiści posługują się nią na co dzień. I nie można nie dostrzegać, że jak Europa długa i szeroka narasta bunt przeciwko zmowie koterii, monopolowi elit. Na razie we wschodniej Europie zdrowy rozsadek dochodzi do władzy pokojowo. Co będzie w Europie Zachodniej? Nie wiadomo – w każdym razie wszystkim tym, którzy chcą skrzykiwać mniejszość przeciw większości w formie konfederacji, przypominam – była u nas konfederacja barska, ale była i targowicka. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

Książę Gotfryd antysemitą?

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. FOTOLIA

Bartłomiej Dźwigała

Gotfryd Lotaryński przeszedł do legendy jako wzór rycerza krzyżowca. Stał się też obiektem manipulacji, która utrwaliła jego obraz jako antysemity gotowego do popełniania zbrodni

Gotfryd zajmuje ważne miejsce pośród najpopularniejszych herosów europejskiej kultury, obok króla Artura i rycerza Rolanda. Był księciem Dolnej Lotaryngii, kiedy zdecydował się wziąć udział w pierwszej krucjacie. U jej kresu odniósł sukces, który zapewnił mu nieśmiertelną sławę – kilka dni po odzyskaniu Świętego Miasta został okrzyknięty władcą Jerozolimy. Chociaż panował krótko (umarł zaledwie rok później), to jako pierwszy monarcha krucjatowego królestwa przeszedł do zbiorowej pamięci i legend. Jego postać była sławiona w pieśniach powtarzanych na ulicach i dworach łacińskiej Europy. Młodzież słuchała o czynach Gotfryda, o jego waleczności i pobożności. Chciała iść w jego ślady.

Książę Lotaryngii był dobrze znaną postacią również w Polsce za sprawą włoskiego eposu „Jerozolima wyzwolona", który na początku XVII w. został przełożony przez Piotra Kochanowskiego i stał się w Polsce na tyle popularny, że bez przesady można powiedzieć, iż Gotfryd był wzorem rycerskich cnót dla naszych przodków w epoce szlacheckiej Rzeczypospolitej. Towarzysze husarscy pod Chocimiem i Wiedniem, aby dodać sobie otuchy, recytowali z pamięci wersety przywołujące czyny tego pobożnego rycerza krzyżowca.

POGROMY W 1096 R.

Żeby odpowiedzieć na pytanie, czy Gotfryd był antysemitą i czy nawoływał do popełnienia ludobójstwa na Żydach, należy przenieść się do wydarzeń, które bezpośrednio poprzedzały pierwszą wyprawę krzyżową. Na synodzie w Clermont, 27 listopada 1095 r., papież Urban II wezwał rycerstwo Europy do walki o wyzwolenie Grobu Chrystusa z rąk muzułmanów prześladujących chrześcijan i burzących kościoły. Ustalono, że wyprawa wyruszy w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, czyli 15 sierpnia 1096 r. Apel papieża odbił się szerokim echem i wywołał poruszenie w całym łacińskim kręgu cywilizacyjnym.

Hasło krucjaty wywołało oddźwięk pośród bogatej arystokracji, rycerstwa, a także pośród ludności chłopskiej i mieszczaństwa. Szybko rozpoczęły się gorączkowe przygotowania, którym towarzyszyły niepokoje społeczne. Wiosną 1096 r., jeszcze przed rozpoczęciem głównej krucjaty rycerskiej, w drogę do Konstantynopola ruszyły tłumy ludzi, które chaotycznie formowały się w większe grupy. Przemarszom towarzyszyły zamieszki, rabunki, przestępstwa. Dwie pierwsze takie grupy, pod przywództwem kolejno Piotra Pustelnika i Waltera bez Mienia – wędrownych, charyzmatycznych kaznodziejów – dotarły do Azji Mniejszej, gdzie zostały zmasakrowane przez tureckie oddziały.

Kolejne grupy przechodzące przez tereny Nadrenii skierowały swoją agresję przeciwko społecznościom żydowskim. W maju i czerwcu 1096 r. w wielu niemieckich miastach wybuchły zamieszki i pogromy. Tłum atakował dzielnice żydowskie i synagogi. W niektórych miejscach doszło do masakr, w których śmierć poniosły tysiące Żydów – stało się tak w Wormacji, Moguncji oraz w czeskiej Pradze.

BISKUPI RATUJĄCY ŻYDÓW

Aby zrozumieć te wydarzenia, należy wziąć pod uwagę, że w obronie żydowskich współmieszkańców stawali lokalni biskupi oraz samorząd miejski. W Spirze zdecydowana postawa biskupa wobec atakujących tłumów doprowadziła do zatrzymania zamieszek i uratowania gminy żydowskiej. We wspomnianej Wormacji biskup udzielił schronienia Żydom w swojej siedzibie, jednak napastnicy przełamali obronę, wdarli się do środka i dokonali masowych zbrodni. Podobnie w Moguncji – gdzie bp Ruotard przewodził obronie miasta przed oblegającym tłumem. Po dwudniowej walce napastnicy wdarli się za mury miejskie, po czym doszło do masakry ludności żydowskiej. Inaczej

eprasa.pl 59fff9dc19

wypadki potoczyły się w Kolonii i Trewirze, gdzie biskupom udało się obronić Żydów, częściowo poprzez udzielenie im przymusowego chrztu. Co ważne, ochrzczeni Żydzi bez przeszkód wracali później do własnych praktyk religijnych.

Po przejściu przez niemieckie miasta tłumy kierowały się w stronę Węgier. Tamtejszy król Koloman zapewnił swoim poddanym, a więc również Żydom, pełne bezpieczeństwo. W tym celu zostały zmobilizowane główne siły zbrojne Węgier – dzięki czemu przechodzące przez kraj grupy Madziarów były pilnowane i eskortowane. Co więcej, gdy Węgrzy dowiedzieli się o antyżydowskich rozruchach, zabronili tym grupom wstępu na swoje ziemie – ostatecznie te nieobliczalne tłumy zmierzające do Ziemi Świętej, które dopuściły się zbrodni na Żydach, zostały rozbite przez węgierskie wojsko. Król Koloman nie dopuścił do żadnych wystąpień antyżydowskich na swoich ziemiach.

Należy również dodać, że ówczesny cesarz Henryk IV, sprawujący władzę zwierzchnią na ziemiach niemieckich, zabronił stosowania przemocy wobec Żydów, jednocześnie wzywając wszystkich posiadaczy ziemskich do ich obrony. Ta postawa cesarza, a więc najwyższego świeckiego władcy chrześcijańskiego świata, harmonizowała z opinią elit intelektualnych ówczesnej Europy – łacińscy dziejopisarze negatywnie oceniali antyżydowskie zamieszki, co można wyczytać z kart kronik.

ŚREDNIOWIECZNY HOLOKAUST?

Na szczegółowy przebieg wydarzeń – który można poznać dzięki kronikom łacińskim i hebrajskim – nie zwraca się współcześnie większej uwagi. W przeważającej dziś opinii wydarzenia z wiosny 1096 r. dowodzą antysemickiego i rasistowskiego charakteru krucjaty – tak twierdzi m.in. popularny dzisiaj brytyjski historyk Thomas Asbridge, nie zważając na to, że początek wyprawy został ustalony na dzień 15 sierpnia 1096 r. Pisze on, że jest to najczarniejsza karta w historii średniowiecza i dowód na nienawiść zakodowaną w katolickich fundamentach europejskiej kultury. Za taką wizją kryje się całościowe potępienie Kościoła katolickiego i cywilizacji łacińskiej wraz z konstytuującymi ją wartościami. Obecnie obowiązuje teza, że pogromy Żydów w 1096 r. były średniowiecznym preludium Holokaustu, który swoją kontynuację znalazł w hitlerowskim ludobójstwie z lat II wojny światowej.

Oskarżeniem o przeprowadzenie średniowiecznego Holokaustu w 1096 r. została obarczona arystokratyczna elita katolickiej Europy, na czele z bohaterem pierwszej krucjaty, księciem Gotfrydem Lotaryńskim. W większości książek na temat wypraw krzyżowych można odnaleźć informację, że Gotfryd uczestniczył w antysemickich zamieszkach – co prawda nie bezpośrednio, ale miał zadeklarować, że nie wyruszy do Jerozolimy, zanim nie zamorduje wszystkich Żydów. Czy heros europejskiej kultury, wzór cnót rycerskich i pobożny wojownik Chrystusa, był jednocześnie antysemitą nawołującym do mordowania Żydów?

Mechanizm XII-wiecznej manipulacji w sprawie Gotfryda opisał prof. Robert Chazan, jeden z najwybitniejszych badaczy historii Żydów w średniowiecznej Europie

MECHANIZM MANIPULACJI

Wzmianka o rzekomym dążeniu Gotfryda do przemocy wobec ludności żydowskiej została zamieszczona w hebrajskiej kronice Solomona bar Simsona, napisanej w latach 40. XII w., a więc kilkadziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach. Solomon opierał się na przekazie innej hebrajskiej kroniki spisanej krótko po 1096 r. – kroniki tzw. Anonima z Moguncji. W niej można odnaleźć wzmiankę, że pewien nadreński hrabia Ditmar przysiągł, że zanim wyruszy na krucjatę, będzie zabijał Żydów w swojej ojczyźnie. Solomon dokonał typowego w średniowieczu zabiegu literackiego, polegającego na stworzeniu własnej opowieści o wydarzeniach na bazie istniejącego już przekazu – wprowadził on jednak istotną zmianę: w opowieści o pogromach żydowskich obsadził w roli arystokraty nienawidzącego Żydów samego Gotfryda Lotaryńskiego. Dlaczego żydowski kronikarz Solomon bar Simson postanowił oczernić postać księcia?

Lata 40. XII w. to czas propagowania drugiej krucjaty, która miała wyruszyć w odpowiedzi na muzułmańską ofensywę na Bliskim Wschodzie. Wówczas były już w szerokim obiegu dzieła literackie opisujące przebieg pierwszej krucjaty – miała ona stanowić wzór dla potomnych. Przykład sukcesu z 1099 r. miał pociągać następców do podjęcia wyzwania. Gotfryd Lotaryński jako pierwszy władca krucjatowego Królestwa Jerozolimskiego stanowił ucieleśnienie ideałów rycerskich oraz był stawiany za wzór do naśladowania. Stąd jest zrozumiałe, że oskarżenie rzucone na osobę Gotfryda uderza ogólnie w ideę ruchu krucjatowego i jej autora, którym był biskup Rzymu, głowa Kościoła katolickiego.

Ten mechanizm XII-wiecznej manipulacji opisał profesor Uniwersytetu w Berkeley Robert Chazan, jeden z najwybitniejszych badaczy historii Żydów w średniowiecznej Europie. Ukończył on również Żydowskie Seminarium Teologiczne w Nowym Jorku, co uprawnia go do sprawowania funkcji rabina. Nie przeszkadzało mu to jednak wnikliwie analizować źródła i poddać krytyce przekaz Solomona bar Simsona – uczynił to w opublikowanej w 2000 r. pracy pt. „God, Humanity, and History: The Hebrew First Crusade Narratives".

Badania prof. Roberta Chazana nie mają jednak większego oddźwięku – nie są one przywoływane w przypisach najnowszych monografii pierwszej krucjaty, mimo że autorytet tego naukowca nie został przez nikogo podważony. Wyraźnie widać tutaj ideologizację ośrodków opiniotwórczych, które narzucają „jedynie słuszną" interpretację dziejów. Według tej interpretacji antysemityzm Gotfryda i rasizm krzyżowców są odzwierciedleniem poglądów elity chrześcijańskiej cywilizacji łacińskiej. Rzetelne badanie źródeł przynosi jednak zupełnie inne wnioski. W 1096 r., w obliczu zamieszek i niepokojów społecznych, świeckie instytucje władzy lokalnej, katolicki cesarz oraz biskupi stanęli w obronie żydowskich współmieszkańców – ich postawa pokazuje, jaka jest prawda na temat katolickiej Europy

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem, pracownikiem Instytutu Nauk Historycznych UKSW.

eprasa.pl 59fff9dc19

Scena albo śmierć

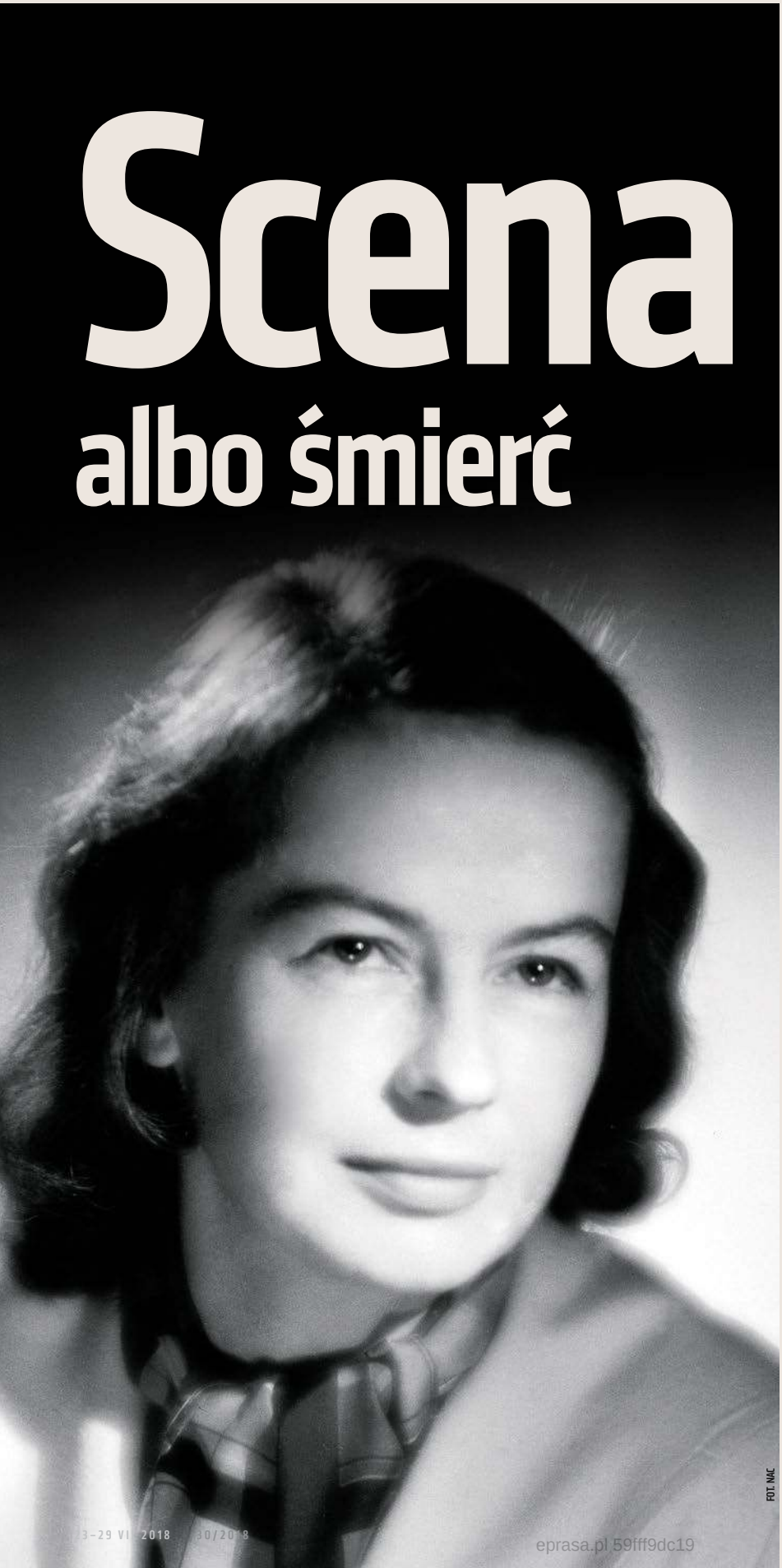

FOT. NAC

Gabriel Michalik

22 czerwca 1941 r., po blisko dwóch latach sowieckiego terroru i litewskich prześladowań, niemieckie bomby dopełniły zagłady Wilna. Jego kresowi przyglądałem się oczami aktorki polskiego teatru Danuty Szaflarskiej

Angaż był nader obiecujący. I choć po dyplomie w szkole aktorskiej mogła przyjąć ofertę Aleksandra Zelwerowicza i pozostać w Warszawie, to obawiała się, że na najważniejszej scenie w kraju długo nie będzie miała okazji zagrać żadnej istotnej roli. Tymczasem dyrektor wileńskiego Teatru na Pohulance, Leopold Pobóg-Kielanowski, nie tylko wziął hurtem cały rocznik 1939 – Szaflarską, Jerzego Duszyńskiego, Irenę Brzezińską i Hankę Bielicką, lecz także przede wszystkim solennie obiecywał, że nie da im zejść ze sceny.

Inaugurującą sezon premierę „Szczęśliwych dni", pogodnej farsy Claude'a Pugeta, zaplanowano na 14 września. Dzień wcześniej zaczął się kataklizm. Nad miasto nadleciały niemieckie samoloty. Na koszary, elektrownię i dworzec posypały się bomby. Jednak zagrali w terminie. Grali też następnego dnia. I kolejnego.

17 września Sowieci przekroczyli granicę Rzeczypospolitej, a na Wilno znowu poleciały niemieckie bomby. 18 września grali pośród kanonad i wybuchów bomb. Do końca przedstawienia na widowni dotrwały tylko trzy osoby.

Jeden z aktorów wygłaszał swoje komediowe repliki z takim patosem, jakby „Szczęśliwe dni" były antyczną tragedią, a nie niemądrą farsą.

– Nie mogę grać inaczej, kiedy Polska ginie! – wyjaśnił po spektaklu.

Kiedy opadła kurtyna, wybiegli przed teatr. Danusia po raz pierwszy zobaczyła wówczas oświetlone nocne Wilno. Nie było już zaciemnienia. – Ponad głowami strzelały bez przerwy pociski. Ulicą maszerowało polskie wojsko, ale bez broni... – opowiadała po latach.

* * *

Nazajutrz miasto opanowała Armia Czerwona. Niemal natychmiast przybyłe

eprasa.pl 59fff9dc19

wraz z wojskiem NKWD rozpoczęło obławę na polską elitę. Aresztowano władze, część profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego, dziennikarzy, pisarzy, urzędników – łącznie kilkaset osób. Wileńscy inteligenci ratowali się ucieczką na wieś, gdzie można było przylgnąć do ziemi, żyć po chłopsku, zarobkować wycinką lasu czy pracą woźnicy. Z dnia na dzień zmienił się wygląd wilnian. Było to zjawisko na tyle masowe i wyraziste, że jego opis pojawia się w wielu wariantach we wspomnieniach o tamtym czasie. „Wszyscy mieszkańcy wpadli na ten sam pomysł, aby się sztucznie przybiednić. Kobiety zamiast kapeluszy włożyły chustki na głowę, mężczyźni zaś czapki. Każdy wdział ubranie możliwie najstarsze i podniszczone. Unikano [jednak] wyróżniania się szczególną biednością. Przeciwnie, chodziło o to właśnie, aby się jak najmniej wyróżniać, zlać z otoczeniem możliwie najidealniej, przystosować do tła. W ten sposób w państwach kapitalistycznych usiłują zlewać się niewidocznie z tłem ulicy szpicle policyjni i konfidenci. Po wkroczeniu Armii Czerwonej sztuka rozpływania się w szarości dnia stała się od razu udziałem wszystkich; nie musiała być zatem trudna, skoro ulica od pierwszych dni przybrała wygląd, jakby szły nią wyłącznie tłumy konfidentów" – pisał w „Drodze donikąd" Józef Mackiewicz.

* * *

Stalin zaoferował władzom w Kownie następującą transakcję: Wileńszczyzna trafi pod administrację Litwy, o ile litewski rząd zgodzi się na stacjonowanie na terenie kraju 20 tys. żołnierzy sowieckich. Przy czym wojska te, dla wygody negocjacji, i tak już znajdowały się na miejscu, na Wileńszczyźnie właśnie. Prezydent Antanas Smetona przyjął zatem propozycję Kremla, dzięki czemu Stalin mógł zacząć rozprawę z wileńskimi Polakami rękami Litwinów, przygotować grunt pod kolonizację, a na razie skupić się na podboju innych państw bałtyckich.

* * *

Pośród gwałtów i rozbojów żołnierze sowieccy opuszczali miasto. Pod teatr zajechały ciężarówki. Ktoś rzucił hasło, że teraz trupa Pohulanki zostanie teatrem objazdowym. W bezkresy Związku Sowieckiego powiozą polską dramaturgię. Trzeba się pakować. Na razie jednak sowieccy żołnierze ładowali na ciężarówki nie aktorów, ale dekoracje i kostiumy.

Danusia biegała pomiędzy teatrem a mieszkaniem. W garderobie zakładała na siebie pięć warstw kostiumów. W domu się rozbierała. Potem następny kurs.

Kielanowski użył całego swojego sprytu, aby ocalić, co się dało, z teatralnego dobytku. Wykupywał go detalicznie oraz hurtem za wódkę i żywność. Przynajmniej w przypadku najważniejszych dla trwania teatru utensyliów udawało mu się przekonać chwilowych posiadaczy sztucznego horyzontu, kurtyny, zestawu peruk i drewnianej broni białej o większej wartości użytkowej wódki i kiełbasy.

W końcu, gdy najstarszy rangą sołdat miał wszystkie kieszenie wypełnione butelkami z wódką, splunął i dał kierowcom sygnał do odjazdu. Ciężarówki z teatralnym mieniem, ale wyładowane tylko do połowy, odjechały.

Teatr objazdowy nie powstał.

26 października zainstalowały się w Wilnie władze litewskie. Rozpoczęła się lituanizacja, w szkołach wprowadzono litewski język nauczania, zlikwidowano Uniwersytet Stefana Batorego. Restrykcje w zasadzie omijały jednak teatr. Na Pohulance, równolegle z polskim teatrem repertuarowym, funkcjonowała gościnna scena, na której Litwini prezentowali spektakle zespołów czołowych teatrów Kowna.

GABRIEL MICHALIK
„DANUTA SZAFLARSKA. JEJ CZAS"
AGORA 2018

Mimo wszystko było to nadal to samo wielokulturowe Wilno. Na teatralnej widowni zasiadali Polacy, Żydzi, Rosjanie, Litwini, Karaimi i z pół tuzina innych narodowości.

* * *

Z wiosną 1940 r. „miękka okupacja" Litwy odegrała już swoją rolę w scenariuszu napisanym przez Stalina. Historia Pierwszej Republiki Litewskiej zakończyła się wkroczeniem Armii Czerwonej 15 czerwca 1940 r.

Władzę w Kownie przejęli komuniści.

Wewnątrz NKWD powstała komórka do spraw teatru. Kierownictwo Teatru na Pohulance przejęła „rada delegatów załogi". Na jej czele stanął teatralny stolarz (notabene „wtyczka" aktorów, obawiających się przysłania nowej dyrekcji z zewnątrz). Na zebraniu upił się i bełkotliwie dodawał ducha artystom słowami: „My tę łódź do portu doprowadziem".

* * *

Przewidywania, które sprawiły, że Danuta Szaflarska przyjęła angaż do Teatru na Pohulance, spełniły się. W Warszawie by nie grała, choć przecież nie z powodu zbyt silnej konkurencji. Wszystkie sceny na terenach okupowanych przez Niemców zostały dość szybko objęte bojkotem aktorskim. Jest od lat przedmiotem dyskusji, czy bojkot ten obowiązywał lub powinien był obowiązywać na terenach okupowanych przez Sowietów. A zatem, czy aktorzy masowo występujący w sowieckich Wilnie czy we Lwowie nie powinni zostać pociągnięci do karnej, a przynajmniej moralnej odpowiedzialności za sui generis zdradę, podobnie jak ci nieliczni, którzy łamali bojkot w Generalnej Guberni. Przybliżyć odpowiedź na to pytanie może rekonstrukcja celów, w imię których obaj okupanci byli zainteresowani tym, żeby polskie teatry nadal funkcjonowały.

Sowietom w stopniu dużo większym niż Niemcom zależało na stabilizacji wprowadzonego porządku. Terrorem i indoktrynacją tworzyli „proletariat", amorficzną masę ludzką o nowym typie świadomości. Jeszcze przed wojną tę różnicę celów dwóch przyszłych okupantów tak ujął Józef Beck: „Niemcy chcą zabić nasze ciała, Sowieci chcą zabić nasze dusze". W efekcie jedni i drudzy mordowali. Jednak kształtowaniem trwałych postaw zainteresowani byli tylko Sowieci. Jeśli zatem porównywać społeczną szkodliwość grania pod obiema okupacjami, to zasadny będzie wniosek, że aktywność pod władzą Sowietów była dużo groźniejsza, stanowiła udział w sowieckim programie obrazowo opisanym przez Becka.

Zarazem wybory – grać czy nie grać – pod każdą z okupacji miały różny ciężar gatunkowy. W zasadzie, poza nielicznymi wyjątkami, jak prowadzony m.in. z użyciem szantażu casting do filmu „Heimkehr", odmowa grania w jawnym teatrze pod okupacją niemiecką nie pogarszała radykalnie położenia aktora, nie powiększała ryzyka deportacji, uwięzienia w łagrze, wyroku śmierci. Pod okupacją sowiecką analogiczna postawa była jednoznaczna z zajęciem pozycji „wroga klasowego", którego perspektywy w ZSRS czasów stalinowskich można opisać dwoma słowami: „łagier" i „śmierć". Może warto przypomnieć (z całą świadomością ułomności podobnych analogii), że decyzją teatral-

eprasa.pl 59fff9dc19

Armia Czerwona na ulicach Wilna FOT. SOVFOTO/UIG/GETTY IMAGES

nego podziemia spod bojkotu wyjęci byli aktorzy znajdujący się w gettach.

Nie bez znaczenia pozostaje też pozorna racjonalność oczekiwań Sowietów na tle celów Niemców. Idea powszechnej równości wyklucza tylko sobków nieskłonnych do dzielenia się z innymi, podczas gdy idea rasowego braterstwa z góry stawia niebraci na pozycji osób zbędnych.

Rację miał Józef Beck – niektórzy spośród aktorów wrócili spod sowieckiej okupacji z jakąś przykrą namiastką duszy. Dalszy bieg życia, już w Warszawie, heroiczny udział w podziemiu, pokaże jednak, że swoją duszę Danuta Szaflarska zachowała w krzepkim zdrowiu.

* * *

Z końcem maja nad miastem gruchnęła wieść: „Wywożą!".

Wywozili już wcześniej, ale selektywnie. Najpierw, jeszcze w 1940 r., Rosjan z białej emigracji, którzy schronili się w Wilnie po rewolucji. Potem rozlicznych „wrogów ludu". W czerwcu 1941 r. już deportowali masowo. Polaków, Litwinów, Żydów. W drodze umrze co 10. deportowany

Szaflarska: – Miałam paczkę dla kogoś z deportowanych. Poszłam do Nowej Wilejki. Dworzec otoczony wojskiem. Wagony stały się tymczasowym więzieniem. Mówiło się potem, że Ruscy stłoczyli w nich 36 tys. ludzi.

Przyjrzała się czerwonoarmistom pilnującym wejścia na teren dworca. Wybrała najbrzydszego.

– Ty, taki krasiwy... – nie znała rosyjskiego, ale umiała czarować mężczyzn.

Wpuścił ją. Metodą „na krasiwego" szybko posuwała się dalej. Następny żołnierz, następny. A każdy z nich – krasawiec! Na wszystkich torach stały pociągi towarowe wyładowane ludźmi. W wagonach zabite deskami okienka. Tylko oczy widać przez szparę w deskach.

– Coś tam mówiono do mnie z tych wagonów. Poznawali mnie jako aktorkę. Pytałam o tych, których szukałam.

I cud! W którymś zabitym deskami okienku pokazały się te oczy, które chciała zobaczyć.

Po torach krążyła kobieta z Litewskiego Czerwonego Krzyża. Przez nią podała paczkę.

– Stałam jeszcze chwilę przy wagonie. Mówiłam: „Nie martwcie się, tu za tydzień spadną niemieckie bomby". Dlaczego tak mówiłam? Nie wiem. Byłam tam w niedzielę 15 czerwca.

* * *

22 czerwca 1941 r. siedziała z kolegami w kawiarnianym ogródku przy jednej z głównych ulic Wilna. Niebo bezchmurne, jaskrawe słońce. Nagle pojawił się samolot, potem drugi, trzeci, w końcu tyle było na niebie samolotów, że w ten pogodny dzień zrobiło się ciemno. Usłyszała wycie. Sztukasy pikowały, wydając przerażający ryk. Posypały się bomby. Celem nalotu była gazownia miejska. Jednak bomby poleciały też na ulice, domy mieszkalne i kawiarniane ogródki. Podmuch wybuchu zmiótł stoliki.

– Wszyscy znaleźliśmy się na ziemi, leżeliśmy my i stoliki, jedni na drugich. I znowu idzie nawała bomb. Leżę na ziemi w tym ogródku, nad nami wypuścili kolejne bomby. Lecą na nas. Nie wiedziałam, że bomby idą ukośnie, że jeżeli wypuszczone są wprost nad nami, to nie uderzą w nas. Jednak moje przerażenie i ból w plecach, bo czułam, że mnie ta bomba zaraz rozerwie... Wbiłam zęby w ziemię. Wołałam: „Mamo!".

* * *

Jeśli jeszcze pod władzą Sowietów istniał cień niegdysiejszych Kresów, to teraz niemieckie bomby inaugurowały sterylną etniczną jednorodność. Po wkroczeniu Niemców rozpoczęły się masowe egzekucje w Ponarach i innych miejscowościach Wileńszczyzny, w których mordowano ludność żydowską i polską elitę. Fascynujący różnorodnością i kulturowym bogactwem świat, którego zagłady domagali się i Sowieci, i Litwini, i Niemcy, a którego Polacy nie mieli siły, a może nawet woli obronić, ostatecznie przeszedł do historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z J. Hernik-Spalińska „Życie teatralne w Wilnie podczas II wojny światowej", Warszawa 2005 oraz wywiadów Tadeusza Tomaszewskiego i Michała Smolisa z Danutą Szaflarską.

eprasa.pl 59fff9dc19

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piekło Majdanka

Koło bloku 22 zostały porozkręcane druty kolczaste w parkanie i zrobiono w ten sposób furtkę do przechodzenia do krematorium. Żydzi byli wpędzani do poszczególnych bloków, po czym grupami po 100 wprowadzano ich do bloku 22, gdzie się rozbierali. Nadzy, z podniesionymi rękami, biegli gęsiego do rowów „obronnych", gdzie ich koszono karabinami maszynowymi. Na warstwę krwawiących i drgających jeszcze trupów wbiegała następna setka".

To fragment książki „485 dni na Majdanku" – wstrząsających wspomnień z KL Lublin napisanych przez Jerzego Kwiatkowskiego. Podczas opisanej wyżej masakry Niemcy puszczali z głośników płyty – tango milonga i fokstrota. A nad obozem z rykiem silników przelatywał samolot. Chodziło o to, by pozostali więźniowie nie słyszeli odgłosów egzekucji.

Gdy Niemcy mordowali Żydów, siedzący na Majdanku sowieccy więźniowie wpadli do pozostawionych przez ofiary baraków. „Szakale rzuciły się na bloki żydowskie – pisał Kwiatkowski. – Rozpruli setki sienników, porabowali wszystko, co jakąkolwiek wartość przedstawiało. To jest oblicze moralne i etyczne młodzieży sowieckiej, która wyssała hasła komunistyczne razem z mlekiem z piersi matczynej. Nawet pies zaskomli, gdy stanie nad ciepłym trupem drugiego psa".

To jest właśnie najmocniejsza strona wspomnień Kwiatkowskiego. Autor nie pudruje, nie upiększa rzeczywistości. Wskazuje nie tylko na bestialstwo Niemców, lecz także na demoralizację części więźniów, którzy często wyręczali władze obozowe w gnębieniu swoich towarzyszy niedoli.

Kwiatkowski trafił na Majdanek za działalność w Armii Krajowej. Wywodził się z rodziny ziemiańskiej, walczył z bolszewikami, był fabrykantem i zdeklarowanym antykomunistą. Po wojnie wybrał emigrację w Stanach Zjednoczonych. A mimo to jego wspomnienia dwukrotnie, w latach 1966 i 1988, ukazały się w wysokich nakładach w PRL.

Historia tych wydań, przedstawiona w przedmowie przez Wojciecha Lenarczyka, jest nie mniej ciekawa niż same wspomnienia Kwiatkowskiego. Wystarczy napisać, że „485 dni na Majdanku" zostało poddane kolosalnym ingerencjom komunistycznej cenzury. Teraz po raz pierwszy książka wydana została w oryginalnym kształcie. Niesamowite świadectwo. ©℗

★★★★★★

JERZY KWIATKOWSKI „485 DNI NA MAJDANKU" PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Królowa kryminału

Pierwszym tekstem Joanny Chmielewskiej był artykuł „Kolorystyka wnętrz zakładów pracy" opublikowany przez „Kulturę i Życie". Potem pojawiły się kolejne, aż wreszcie przyszedł czas na debiut powieściowy. Autorka uznała jednak, że nie może opublikować książki pod swoim nazwiskiem. „Akurat rozwodziłam się z moim mężem – wspominała. – I pomyślałam sobie, że może mieć do mnie pretensje, bo szargam jego nazwisko po literaturze jego zdaniem podrzędnej". Tak narodziła się Joanna Chmielewska, jedna z najbardziej poczytnych polskich autorek. Do końca życia jednak oficjalnie posługiwała się nazwiskiem rozwiedzionego męża i w dokumentach figurowała jako Barbara Kuhn.

Pani Joanna była tytanem pracy. Wydała ponad 60 książek

Chociaż jej pierwsze powieści biły rekordy popularności, to długo wahała się z porzuceniem wyuczonego zawodu architekta. Ostateczną decyzję podjęła dopiero w 1970 r., sześć lat po opublikowaniu debiutanckiej powieści „Klin". Uznała, że jako architekt jest przeciętnym fachowcem, natomiast kariera pisarska rokuje większe nadzieje. I miała rację, opowiadano, że utwory uratowały niejedną drukarnię i co najmniej dwa wydawnictwa. Szybko stała się najlepiej zarabiającym polskim autorem, okazując się zresztą prawdziwym tytanem pracy. Wydała ponad 60 książek, pisała z zadziwiającą regularnością, a pracować mogła wszędzie.

„Pamiętam – mówiła w jednym z wywiadów – że pisaliśmy z Janem Batorym scenariusz do filmu »Lekarstwo na miłość«, a ponieważ u niego w domu był remont, a u mnie małe dzieci, pracowaliśmy w kawiarni Grand Hotelu. Przy stoliku głośno omawialiśmy różne przestępstwa z naciskiem na fałszowanie pieniędzy. Nagle zorientowaliśmy się, że ludzie w popłochu zmieniają miejsca, by siedzieć daleko od nas!".

„Lekarstwo na miłość" (ekranizacja „Klina" – premiera: 20 lipca 1966 r.) było całkiem udaną produkcją. Wszyscy byli tam sympatyczni: główne bohaterki, przestępcy, a zabójczo przystojny Andrzej Łapicki w roli kapitana milicji łamał serca żeńskiej części widowni.

Pani Joanna zawsze uwielbiała hazard, przez długie lata była stałym gościem toru wyścigów konnych na Służewcu, gdzie w 1987 r. wygrała jednorazowo 274 tys. zł (za spotkanie autorskie pobierała wówczas tysiąc złotych). Była też wierną bywalczynią kasyn, i to nie tylko w Polsce. Przy okazji mawiała, że ma szczęście w pokera, natomiast zawsze przegrywała w blackjacka. Miała też swoje przesądy związane z hazardem, wybierając się z przyjaciółmi do kasyna, dbała o to, aby przed wyjściem z taksówki obrzucać się z nimi przekleństwami. Podobno miało to przynosić jej szczęście... ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER
OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z „TARZANEM", BOHATEREM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Marcin Bartnicki – **Ludowe Wojsko Patologii**
Jarosław Kapsa – **Zgnoić „kota"**
Piotr Zychowicz – **Żydowska agentka gestapo**
Spór o powstanie – **Janusz Korwin-Mikke kontra Tadeusz Płużański**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Antysemityzm klasowy**
Sławomir Cenckiewicz – **Agenci tajnych służb PRL**
Paweł Szulc – **Mroczne tajemnice brata Hermaszewskiego**
Marek Gałęzowski – **Rozwadowski kontra Piłsudski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 59fff9dc19

Tomasz P. Terlikowski

Geopolityczne starcie prawosławnych

Spór o autokefalię dla Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, wbrew temu, co może się wydawać, ma ogromne znaczenie geopolityczne. I może zdecydować o przyszłości naszego wschodniego sąsiada

W tle wielkiej rozgrywki Rosji, która nieustannie próbuje – agresją militarną, siłą, przekupstwem, a także skuteczną dyplomacją – wymusić na Ukrainie całkowity powrót do rosyjskiej strefy wpływów, rozgrywa się inna walka o Ukrainę. Toczy się ona pomiędzy różnymi patriarchatami prawosławnymi, a u jej podstaw leżą nie tylko przyszłość Ukrainy, lecz także prawosławne rozumienie prymatu, kwestia wpływów rozmaitych tradycji duchowych i politycznych wewnątrz Cerkwi, a także pytanie o to, która ze wspólnot prawosławnych będzie realnie największa i najbardziej wpływowa w prawosławnym świecie. Dla Rosjan zaś, i to nie tylko tych szczerze prawosławnych, kwestia przyszłości Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej to pytanie o to, czy zachowane zostaną istotne dla rosyjskiego imperializmu, a mocno wspierane przez patriarchat moskiewski, idee „ruskiego świata", a także „terytorium kanonicznego". Spór ten, choć toczy się od wielu już lat, zdaje się wkraczać w nową fazę.

SPRAWA PRZYJĘTA DO ROZPATRZENIA

W kwietniu na oficjalnej stronie prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki pojawiła się informacja, że Święty Synod Patriarchatu Ekumenicznego w Konstantynopolu przyjął do rozpatrzenia prośbę ukraińskich władz o nadanie Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej autokefalii, a także wszczął konieczne do tego procedury. Spór zaostrzyła jeszcze wypowiedź patriarchy Konstantynopola – Bartłomieja – który podkreślił, wbrew interpretacjom Moskwy, że „wielomilionowy naród Ukrainy […] znajduje się wewnątrz Cerkwi kanonicznej". Ta wypowiedź oznacza, na razie nieoficjalne, ale jednak uznanie kanoniczności dwóch niezależnych od Moskwy wspólnot prawosławnych na Ukrainie, a to jest niezwykle istotny krok w kierunku autokefalii (niezależności) Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej.

I choć sam patriarchat bardzo ostrożnie komentuje te wypowiedzi, to od tego momentu rozpoczął się napływ kolejnych informacji (a czasem dezinformacji) dotyczących rozpoczęcia, kontynuacji czy nawet dobiegania do końca owych procedur, a także kolejnych komentarzy innych wspólnot prawosławnych dotyczących owego procesu. I tak najistotniejsza wypowiedź pochodzi w tej sprawie od archimandryty Cyryla (Goworuna) z Ukraińskiej Cerkwi

eprasa.pl 59fff9dc19

Dla Ukrainy autokefalia ma istotne znaczenie, bo byłaby potwierdzeniem niezależności Kijowa od Moskwy. Na zdjęciu ekskomunikowany przez Moskwę patriarcha Filaret

FOT. INA SOKOLEVSKAYA/UKRAFOTO/EASTNEWS

Prawosławnej, który przekonuje, że tomos (dekret) o autokefalii dla Ukrainy jest już napisany. – Powiem o swego rodzaju sensacji: tomos jest już gotowy. On jest już napisany. Ja nawet wiem, kto go pisał. Jego autorem jest mój nauczyciel z Uniwersytetu w Atenach. To jeden z najlepszych kanonistów w świecie prawosławnym. Teksty, które on pisze, są zawsze absolutnie poprawne. I dlatego sądzę, że ten dokument będzie absolutnie kanoniczny. Nic nie będzie mu można zarzucić – dodał archimandryta Cyryl.

Ta wypowiedź jednak wcale nie oznacza, że spór dobiegłby końca. Procedura jest bowiem taka, że najpierw patriarchat Konstantynopola wydaje tomos/dekret o autokefalii, a później rozpoczyna się proces jego recepcji przez kolejne Cerkwie prawosławne. To zaś, co przyznaje także archimandryta, może trwać bardzo długo i może doprowadzić do sytuacji, w której jedne z Cerkwi autokefalię uznają, a inne nie.

eprasa.pl 59fff9dc19

Odpowiedź Moskwy na takie sugestie była natychmiastowa. Metropolita Hilarion, druga osoba w patriarchacie moskiewskim, natychmiast odpowiedział, że „nawet gdyby tomos był gotowy, to nie byłoby go komu wręczać", a inni hierarchowie rosyjscy przekonywali – w kolejnych wywiadach – że z ich informacji wynika, że Bartłomiej wcale nie chce wydawać żadnego tomosu, a informacje o autokefalii są przedwczesne. Zwierzchnicy Cerkwi prawosławnych pozostających w strefie wpływów Moskwy także zdecydowali się wydać oświadczenia, w których apelują (albo przynajmniej wyrażają nadzieję) na kanoniczne załatwienie sprawy. Takie oświadczenia pochodzą choćby od Polskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej i Cerkwi serbskiej. Kłopot polega na tym, że wszyscy wiedzą, że nie o kanoniczność tu chodzi, a o to, kto postawi na swoim i kto realnie dzierży prymat jurysdykcyjny wewnątrz prawosławia. Albo bowiem jest tak, jak to miało miejsce od czasów Bizancjum, że o tomosach decyduje patriarcha Konstantynopola, który jest pierwszym wśród równych patriarchów, albo… władza ta przeszła na Trzeci Rzym i o wszystkim wewnątrz prawosławnego świata decyduje już Moskwa (realnie najsilniejsza Cerkiew na świecie).

TRZY CERKWIE I AUTOKEFALIA

Dla Moskwy jednak, i o tym też trzeba pamiętać, to nie jest tylko spór symboliczny czy polityczny, lecz także egzystencjalny. Tak się bowiem składa, że jeśli trzy ukraińskie Cerkwie (dwie niekanoniczne i jedna kanoniczna) zjednoczą się i stworzą jedną Ukraińską Cerkiew Prawosławną (mniejsza już o to, czy z tytułem patriarszym czy bez niego), to właśnie ona stanie się największą i z największą liczbą duchownych wspólnotą ortodoksyjną na świecie. I to wspólnotą, w której wierni praktykują o wiele częściej, niż ma to miejsce w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Jest przy tym prawdopodobne, że wierni i hierarchowie tej wspólnoty w układance prawosławnych sporów zajęliby miejsce po stronie Konstantynopola, któremu zawdzięczaliby niezależność. A to całkowicie zmieniłoby układ sił.

Jednak są także inne, bardziej historyczne, przyczyny, dla których Rosji i patriarchatowi moskiewskiemu trudno będzie pogodzić się z autokefalią dla Kijowa. Otóż tak się składa, że to Kijów, a nie Moskwa jest najstarszą metropolią ruską, i to od chrztu Kijowa liczy się czas istnienia ruskiego prawosławia. Odłączenie Kijowa od Moskwy to więc zniszczenie mitów tworzących idee Trzeciego Rzymu i rosyjskiego prawosławia. I o to również toczy się spór, ponieważ w cytowanym już wywiadzie patriarcha Bartłomiej poniekąd zanegował prawo Moskwy do zarządzania ukraińskimi (a może lepiej byłoby powiedzieć: kijowskimi) eparchiami i terenami. – Cerkiew Konstantynopola nigdy nie przekazała żadnym swoim aktem terenów Ukrainy Moskwie – powiedział patriarcha Bartłomiej. A jego słowa niezwykle ostro komentowali rosyjscy historycy. – Ta wypowiedź jest zaskakująca, ponieważ od momentu przekazania metropolii kijowskiej pod jurysdykcję Moskwy Konstantynopol nigdy nie zgłaszał swoich praw do ukraińskich eparchii – mówił ks. Paweł Ermilow, wykładowca historii Kościoła. I choć wypowiedź ta jest ahistoryczna, tak się bowiem składa, że w XVII, XVIII i XIX w. prawosławni w Konstantynopolu mieli liczne inne problemy niż zajmowanie się kanonicznością przejęcia przez Moskwę władzy w Kijowie, a do tego niewielu było chętnych wówczas do autokefalii na tych terenach, to wypowiedź ta pokazuje kierunek myślenia w Moskwie.

Watykan, choć rzecz jasna nie jest to jego sprawa, ma z autokefalią ukraińską poważny problem

Dla Ukrainy i Kijowa autokefalia ma jeszcze istotniejsze znaczenie, ponieważ byłaby ona – gdyby rzeczywiście została nadana i uznana przynajmniej przez część prawosławnych Cerkwi na świecie – potwierdzeniem ich niezależności od Moskwy, a także słuszności kierunku obranego przez twórców najpierw (jeszcze po I wojnie światowej) Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, a później (to już po roku 1990) Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego (z ekskomunikowanym przez Moskwę patriarchą Filaretem na czele). To, że nie są one uznawane obecnie przez pozostałe wspólnoty prawosławne, przestałoby wówczas mieć znaczenie. Politycznie zaś ten eklezjalny gest byłby mocnym sygnałem dotyczącym niezależności samej Ukrainy od Moskwy. Trudno więc się dziwić i władzom państwa, i władzom kościelnym, że robią tak wiele, by uzyskać niezależność.

RZYM, GREKOKATOLICY I DYLEMATY FRANCISZKA

Watykan, choć rzecz jasna nie jest to jego sprawa, ma z autokefalią ukraińską poważny problem. Tak się bowiem składa, że w dialogu z Rzymem ważną rolę odgrywa Konstantynopol, ale… z punktu widzenia jego przyszłości istotniejsza jest Moskwa, bez której zgody dialog i pojednanie nie posuną się ani krok do przodu. Ukraina, która wiele zawdzięcza papiestwu (warto przypomnieć, że św. Jan Paweł II spotkał się w czasie swojej wizyty w tym kraju z przedstawicielami niekanonicznych Cerkwi), mogłaby być znacznie bardziej otwarta na jednoczące i ekumeniczne inicjatywy płynące z Rzymu. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że jeszcze kilka lat temu (później gwałtownie to prostowano) płynęły z Kijowa sygnały o możliwym pojednaniu prawosławia z grekokatolikami i stworzeniu jednej, podlegającej równocześnie Konstantynopolowi i Rzymowi, narodowej Cerkwi ukraińskiej. Kanonicznie i teologicznie byłoby to niezwykle trudne, ale… nawet sama taka możliwość miałaby ogromne znaczenie dla dialogu prawosławno-katolickiego.

Mimo jednak tak dużych możliwości mocne kroki w kierunku ukraińskim byłyby niezgodne z obecnie prowadzoną w Rzymie polityką wschodnią. Jej istotnym elementem pozostają próby dogadania się z Moskwą, doprowadzenia do spotkania papieża i patriarchy Cyryla w Moskwie, a także wiara w szczerość moskiewskich intencji. Jednocześnie, i o tym trzeba pamiętać, ukraińscy grekokatolicy robią wszystko, by ich perspektywa także była w Rzymie obecna, stąd także jednoznacznie promoskiewska deklaracja Watykanu nie wydaje się prawdopodobna. A szkoda, bo skuteczna polityka Stolicy Apostolskiej w tej sprawie mogłaby mieć potężne znaczenie dla prawdziwego pojednania między prawosławnymi a katolikami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI

„WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, MORDERSTWO. ZBRODNIE REWOLUCJI FRANCUSKIEJ"

„LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI"

Cena: 147 zł

Oszczędność: 122 zł

+

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE PAKIET DO KUCHNI: SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920 I BLENDER RĘCZNY MANTA 700W HBL931 + POJEMNIK

Cena: 299 zł

Oszczędność: 218 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 59fff9dc19

Partnerstwo z problemami

Piotr Kościński

Chociaż litewskie władze wykonują znaczące gesty pod adresem Polski, to jednak podstawowe problemy polskiej mniejszości w tym kraju pozostają nierozwiązane

Litewskie władze umożliwiły mieszkańcom Wileńszczyzny oglądanie w ramach bezpłatnej, naziemnej telewizji cyfrowej pięciu polskich kanałów: TVP Info, TVP Historia, TVP Polonia oraz muzycznych Power TV i Nuta TV. – Wojna informacyjna, propaganda i fałszywe wiadomości są wyzwaniem dla wielu państw. Dlatego sprawą honoru każdego kraju jest zapewnienie jak najszerszego dostępu do obiektywnej informacji – mówił podczas uroczystości uruchomienia ich nadawania premier Litwy Saulius Skvernelis. – Cieszę się, że Litwa idzie tą drogą. Wierzę, że mieszkańcy Wileńszczyzny wybiorą nowe kanały zamiast tych, które rozpowszechniają antylitewską i antypolską propagandę – dodał. Ambasador RP w Wilnie Urszula Doroszewska podkreśliła, że cieszy się, iż „Polacy i Litwini, wspólnymi siłami, stworzyli kluczowy, dla dobrych relacji naszych krajów, projekt".

eprasa.pl 59fff9dc19

Polacy pochodem przez Wilno uczcili Dzień Polonii i Polaków za Granicą, 227. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja oraz stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę i Litwę

FOT. VALDEMAR DOVEIKO/FORUM

Od lat na Wileńszczyźnie retransmitowana była jedynie TVP Polonia, co dla miejscowych Polaków było ofertą bardzo skromną. TVP1 przestała być nadawana jeszcze w 1994 r., a jej miejsce zajęły cieszące się dużą popularnością kanały rosyjskie. Powrót Telewizji Polskiej na Litwę stał się możliwy wobec usiłowań władz w Wilnie ograniczania dostępu do zdecydowanie antylitewskich programów nadawanych z Rosji. I gdy się okazało, że zagrożeniem jest niekoniecznie język polski, a raczej – powszechnie znany rosyjski.

DEKLARACJA 3 MAJA

Kolejnym, symbolicznym gestem Litwinów było przyjęcie przez Sejm Litwy Deklaracji 3 maja. Stwierdzono w niej m.in.: „Z hasłem »Za waszą i naszą wolność« Litwini i Polacy, Ukraińcy i Białorusini, Żydzi i Tatarzy, ludzie innych narodowości na naszej ziemi szli walczyć o europejskie ideały Konstytucji 3 maja. W połowie XX w. wolna i pojednana Europa była stworzona pod takim samym hasłem. Dzisiaj nawołujemy spadkobierców twórców Konstytucji 3 maja do zrobienia wszystkiego, aby państwa znajdujące się na byłych ziemiach Rzeczypospolitej Obojga Narodów miały możliwość stania się częścią wolnej i pojednanej Europy”.

RAZEM O PRZESZŁOŚCI

Prezydenci Andrzej Duda i Dalia Grybauskaitė wydali też wspólną deklarację z okazji 227. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Podkreślili, że są gotowi „wspólnie i z determinacją stawać w obronie” ideałów ustawy zasadniczej z 1791 r. Wskazali też, że „głębokie historyczne więzi łączące nasze narody inspirują nas do tego, aby wzmacniając nasze relacje, jako sąsiedzi i partnerzy jeszcze bardziej zbliżyć do siebie nasze kraje”.

Polskie zagrożenie okazało się mitem. Realne jest zagrożenie rosyjskie, a wspólne – polsko-litewskie interesy

To ważne stwierdzenia. Litwa dość wstrzemięźliwe odnosi się bowiem do wspólnej przeszłości, z niechęcią wspominając zwłaszcza Jagiełłę. To widoczne jest choćby w muzeum w wileńskim Pałacu Wielkich Książąt Litewskich – można mieć wrażenie, że o ile dla nas ważna jest wspólnota Rzeczypospolitej Obojga Narodów, o tyle dla Litwinów szczególnie istotna jest ich odrębność w tej wspólnocie.

Jednak też przywoływane przez litewskich nacjonalistów rzekome, wciąż trwające polskie zagrożenie okazało się mitem. Realne jest zagrożenie rosyjskie, a wspólne – polsko-litewskie interesy, m.in. w związku z wojną na Ukrainie. Wilno zdecydowanie popiera Ukraińców, a Warszawa jest w tym jego najlepszym sojusznikiem. Jest też sojusznikiem w dążeniu do zapewnienia jak największej obecności sił NATO w krajach bałtyckich.

O randze stosunków polsko-litewskich świadczy też niedawne forum

eprasa.pl 59fff9dc19

gospodarcze w Wilnie – „Partnerstwo strategiczne". W jego trakcie największa polska firma na Litwie, Orlen Lietuva, otrzymała nagrodę Inwestycja Stulecia. W 2006 r. Orlen kupił pakiet kontrolny rafinerii w Możejkach. Na zakup i inwestycje zakład wydał ok. 4 mld dol. Przez minione lata miał niemałe problemy, z rosyjskim Transnieftem, który blokował dostawy ropy, a także z kolejami litewskimi LG, które zdemontowały część torów prowadzących z Możejek, co utrudniło działalność rafinerii. W 2017 r. udało się na szczęście osiągnąć porozumienie z LG, dzięki czemu Możejki będą mogły się rozwijać.

Jednak redaktor naczelny wydawanego w języku polskim „Kuriera Wileńskiego" Robert Mickiewicz tak podsumował te obrady: „Dzisiaj współpraca ekonomiczna pomiędzy Litwą i Polską przypomina w pewnym sensie relacje pomiędzy obydwoma krajami z lat 90. i początku naszego wieku, gdy w końcu lat 90. politycy z obydwu krajów ogłosili, że jesteśmy partnerami strategicznymi, a stosunki są najlepsze w całej historii. I rzeczywiście były one najlepsze, ale dotyczyło to wyłącznie stosunków pomiędzy ówczesnymi politykami. Po kilkunastu latach okazało się, że król jest nagi, bo nie rozstrzygnięto wielu ważnych i spornych kwestii".

POLACY WCIĄŻ CZEKAJĄ

3 maja ulicami Wilna przeszła Parada Polskości. Wzięli w niej udział przedstawiciele 14 oddziałów Związku Polaków na Litwie, polskich szkół, a także zespołów artystycznych, harcerzy oraz polskich organizacji społecznych. Około 10 tys. osób przeszło od Sejmu do Ostrej Bramy.

– Wielotysięczny, barwny pochód z biało-czerwonymi flagami, w polskich strojach ludowych, z polską pieśnią na ustach, który organizujemy raz na kilka lat w Wilnie, jest nie tylko demonstracją tożsamości narodowej, lecz także daje nam poczucie dumy i jedności – podkreślił prezes ZPnL Michał Mackiewicz. A lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie-Związku Chrześcijańskich Rodzin, eurodeputowany Waldemar Tomaszewski, podkreślał, że pochód ulicami Wilna jest demonstracją polskości. – Szczycimy się, że jesteśmy Polakami – mówił.

Na co dzień nie widać ani biało-czerwonych flag, ani napisów po polsku. Na Litwie, według oficjalnych danych, żyje 200 tys. naszych rodaków – w Wilnie stanowią ok. 17 proc., ale w rejonie wileńskim – 63 proc., a solecznickim – aż 80 proc. Mimo tego – i mimo że do Wilna przyjeżdżają ogromne rzesze turystów z Polski – jeśli na ulicach słychać jakiś inny język niż litewski, to jest nim… angielski. Nawet na tabliczce informacyjnej koło cmentarza Na Rossie…

Wspomniany już „Kurier Wileński" cytował Jarosława Narkiewicza, polityka, nauczyciela i samorządowca, od 2008 r. posła z ramienia Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Jego zdaniem zasadniczym problemem jest obowiązująca od 2010 r. ustawa oświatowa. – Wówczas dopuszczono się uszczuplenia praw polskiej mniejszości narodowej i do dzisiaj nie są one nam przywrócone – uważa Narkiewicz. – Kolejną dziedziną, w której czujemy dyskryminację, jest problem zwrotu majątku, ziemi i nieruchomości, które należały do polskiej mniejszości przed II wojną światową, a po niej zostały jej przez Związek Sowiecki odebrane. Ba! Czego jest warta historia z dwujęzycznymi nazwami ulic, która została wyciszona, ale ciągle pozostaje nierozstrzygnięta. Pozostaje nierozstrzygniętą sprawą kwestia pisowni nazwisk… Dla nas, Polaków, nie jest korzystne ustawodawstwo wyborcze. Istnieje pięcioprocentowy próg wyborczy, który stanowi barierę dla zwiększenia reprezentacji polskiej mniejszości narodowej w sejmie Litwy.

NAZWISKA W SĄDZIE

Z kolei litewski polityk i deputowany konserwatywny, były szef MSZ Audronius Ažubalis, twierdzi, że zarzuty polskich działaczy są przesadzone. – Jest to ich sposób na pozostanie u władzy. W niektórych samorządach politycy, którzy reprezentują polską mniejszość na Litwie, są u władzy przez dziesięciolecia. Dzięki rozmowom o nieistniejącym zagrożeniu mobilizują swoich wyborców, natomiast rozmowy o rzekomych próbach Litwinów w asymilowaniu czy wynarodowianiu polskiej mniejszości na Litwie również mają swoje przewrotne znaczenie – podkreśla. I dodaje, że jego zdaniem „ci ludzie są podżegaczami, gdy nie są w stanie samodzielnie zaproponować czegoś pozytywnego. Zajmują się rozpowszechnianiem fałszywych plotek, podjudzaniem skandali, tworzeniem nieprawdziwych informacji".

PROBLEMY DO ROZWIĄZANIA

Zwrot ziemi, polskie nazwiska w dowodach tożsamości i polskie napisy – to powtarzane od lat problemy litewskich Polaków. Ziemia na Wileńszczyźnie oddawana jest Polakom bardzo niechętnie. Kwestia pisowni nazwisk, choć jest uregulowana w traktacie polsko-litewskim z 1994 r., wciąż pozostaje nierozwiązana. Ostatnio ujawniono korespondencję prezydent Litwy Dalii Grybauskaitė, która tak pisała w sprawie proponowanej ustawy zezwalającej na polską pisownię: „Będę musiała wetować i w ten sposób spowoduję niezadowolenie wśród Polaków".

Najwyższy Sąd Administracyjny przyjął niedawno orzeczenie w sprawie pisowni nazwiska „Mickiewicz". Polecono wydanie paszportu z dwiema wersjami nazwiska – litewską na głównej stronie i oryginalną na dalszej. Jednak Zarząd Migracji wciąż odmawia wykonania tego wyroku

Niedawno Najwyższy Sąd Administracyjny przyjął orzeczenia w sprawie pisowni nazwiska „Mickiewicz". Polecono wydanie paszportu z dwiema wersjami nazwiska – litewską na głównej stronie i oryginalną na dalszej. Jednak Zarząd Migracji wciąż odmawia wykonania tego wyroku. Z kolei o ile w polskim Puńsku, gdzie żyją Litwini, mogą na drogowskazach i ulicach być napisy po litewsku, o tyle w zamieszkanych przez Polaków Solecznikach za napisy po polsku nakładane są kary.

Potrzeba więc sporego wysiłku polityków po obu stronach granicy, by wreszcie strategiczne partnerstwo Polski i Litwy przestało być hasłem, a stało się faktem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest współpracownikiem tygodnika „Idziemy" i wykładowcą AFiB Vistula.

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. FOTOLIA

PIŁKARSKI ZAKAZ ZBLIŻEŃ

Podczas ostatniego mundialu nadawcy telewizyjni dostali zakaz od FIFA – nie wolno im było podczas przerw w grze przekazywać na ekranach zbliżeń, na których byłoby widać ładne kobiety na trybunach. FIFA ma bowiem komórkę zajmującą się równouprawnieniem i ta uznała, że pokazywanie ładnych kibicek to przejaw seksizmu. Ciekawe, kiedy taka sama komórka muzealników zakaże pokazywania obrazów z pięknymi kobietami albo nakaże zasłonić w Luwrze Wenus z Milo.

ROSYJSKI NIEFART DEPARDIEU

Gérard Depardieu sześć lat temu oddał obywatelstwo Francji, bo ówczesny prezydent zapowiadał nałożenie 75-procentowego podatku dla tych, którzy osiągają dochód wyższy niż milion euro rocznie. Znany aktor w 2013 r. został oficjalnie Rosjaninem. Okazało się teraz, że i tak nie radzi sobie za dobrze z wydatkami. Ma takie długi podatkowe w Sarańsku, że komornicy nie mogli ich wyegzekwować i trafił do bazy dłużników federalnej służby rynku finansowego. Depardieu zapowiada, że zamierza przenieść się do Algierii.

SKURCZ JUNCKERA

Wszyscy mogli niedawno zobaczyć, jak przewodniczący Komisji Europejskiej podczas szczytu NATO tracił równowagę i musiał być podtrzymywany przez liderów krajów członkowskich, którzy obok niego stali. Rzecznik KE Margaritis Schinas tłumaczył, że Jean-Claude Juncker cierpiał z powodu rwy kulszowej. A sam szef KE stwierdził potem, że miał „skurcz nogi", ale – jak dodał – „byłem na spotkaniu NATO i były tam sprawy ważniejsze niż mój stan zdrowia".

ELON NA DNIE

Wielki wizjoner, milioner, biznesmen Elon Musk, gdy tylko dowiedział się o dramacie uwięzionych w tajlandzkiej jaskini chłopców z drużyny piłkarskiej, wysłał ratownikom kapsułę, która miała pomóc uwolnić dzieci. Jeden z ratowników stwierdził brutalnie, że Musk nie ma pojęcia, jak wygląda sytuacja w tej jaskini, więc może sobie kapsułę „wsadzić tam, gdzie boli". Wówczas wielki innowator napisał na Twitterze, że ów ratownik jest pedofilem. Teraz mniej więcej wiadomo, że poziom mentalny twórcy Tesli odpowiada poziomowi wydajności produkcji tego auta.

ROZŁAM W LGBT

Niedawno w Londynie lesbijki zablokowały paradę równości. Poszło o to, że ich zdaniem organizacje LGBT promują mężczyzn, którzy identyfikują się jako kobiety i jednocześnie uważają się za lesbijki. Zdaniem „prawdziwych" lesbijek taka polityka LGBT „zmusza lesbijki do zaakceptowania penisa jako żeńskiego narządu i promuje heteroseksualne stosunki jako formę seksu lesbijskiego". A to dla nich jest „nowy aspekt kultury gwałtu i przymusowej heteroseksualności". ©℗

Łukasz Zboralski

PIECZEŃ RZYMSKA

Anna Frank

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Ile trzeba głupoty, zaślepienia i podłości, żeby w walce z politycznym i ideologicznym adwersarzem posłużyć się jako narzędziem tragedią Anny Frank, która stała się symbolem i uosobieniem hekatomby całego narodu.

Nicolas Kristof przypomniał w „New York Timesie", że państwo Frank starali się wyemigrować do USA. Jednak na przeszkodzie stanęła im najpierw amerykańska biurokracja, a potem zaostrzone z powodu wojny przepisy imigracyjne i obawa, że pośród imigrantów mogą się znaleźć szpiedzy. Prezydent Roosevelt obawiał się, że Niemcy mogą zmusić żydowskich imigrantów do szpiegostwa i sabotażu, zatrzymując ich rodziny jako zakładników. Dalej Kristof sugeruje, że obecna polityka imigracyjna Donalda Trumpa może się skończyć dla wielu dzieci tak tragicznie jak dla Anny Frank za czasów Roosevelta.

Dużo gorzej od intelektualisty Kristofa zachowali się najwyraźniej obrani z rozumu i poczucia jakiejkolwiek przyzwoitości fani klubu futbolowego Lazio Rzym. Postanowili dokuczyć swoim przysięgłym wrogom, kibicom AS Romy (zorganizowani fani obu klubów darzą się szczerą nienawiścią o rzadko spotykanej intensywności). Na Stadionie Olimpijskim w Rzymie na łuku, na którym zasiadają tradycyjnie kibice AS Romy, rozlepili plakaciki z fotomontażem: Anna Frank w żółto-czerwonej koszulce Romy. Miało z tego wynikać, że fani Romy powinni skończyć jak żydowska dziewczynka.

Przy tej manifestacji wybujałego kretyństwa blednie wyczyn Teatro delle Albe w Mediolanie. Wystawiają tam dla dzieci postępową wersję „Czerwonego Kapturka". W procesie dostosowywania bajki braci Grimm do wymogów naszych trudnych czasów Czerwony Kapturek rozmnożył się, zmienił płeć i kolor skóry. W przedstawieniu występuje dwóch dorosłych Czerwonych Kapturków z Senegalu. Przemierzają sawannę i rozmawiają w języku wolof. Reżyser powiada, że jego przedstawienie jest hymnem na cześć migracji. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 59fff9dc19

Z Adamem Abramowiczem, rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorców
rozmawia Łukasz Warzecha

Powołam radę przedsiębiorców

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

ŁUKASZ WARZECHA: Czy potrzebny jest nam kolejny rzecznik dla kolejnej grupy obywateli? W dobrze działającym państwie powinny wystarczyć sprawne sądy i dobrze funkcjonujący wymiar sprawiedliwości.

ADAM ABRAMOWICZ: Słuszne zastrzeżenie: w dobrze działającym państwie – tak. Jednak dziś w Polsce, w sytuacji, gdy co chwila zmieniane jest prawo, a ustawy są nowelizowane po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt razy i gdy na polską legislację nakłada się unijna – rzecznik dla małych i średnich firm jest niezbędny. Dobrze by natomiast było, gdyby przez sześć lat kadencji udało mi się doprowadzić do sytuacji, gdy będzie to kadencja pierwsza i zarazem ostatnia.

Czy ma pan już biuro? Ile osób będzie w nim zatrudnionych?

Biura jeszcze nie mamy, również dlatego, że to całkowicie nowy urząd i sam muszę go stworzyć od podstaw. W uzasadnieniu do ustawy przewidziano zatrudnienie 75 osób w centrali oraz w oddziałach, które zamierzam uruchomić. Pracujemy właśnie nad statutem urzędu i nad planem finansowym.

Jest pan biznesmenem, więc chyba z tym ostatnim nie będzie problemu?

Okazuje się, że doświadczenie biznesowe nie jest tu specjalnie pomocne. Nie mogę po prostu wynająć lokalu na biuro. Procedura jest bardziej skomplikowana, a dodatkowo trzeba uważnie pilnować przestrzegania ustawy o finansach publicznych, która do prostych nie należy. Da się jednak te problemy pokonać. Pełną parą powinniśmy ruszyć od września.

Ustawa określa budżet urzędu do 2027 r. na 170,5 mln zł. To dużo czy mało jak na zadania stojące przed rzecznikiem?

Wystarczająco. To nie musi być duży urząd. Przeciwnie, chciałbym, żeby to był urząd mały, sprawny i skuteczny, i tak będę go budował. Chcę zatrudnić ludzi ideowo spójnych, czyli nie tych, którzy po prostu szukają etatu w administracji, ale tych, którzy naprawdę chcą zmienić sytuację w Polsce na normalną, czyli taką, jaka jest w krajach, do których chętnie wyjeżdżają Polacy: w Niemczech, Wielkiej Brytanii. Mam już szkieletową załogę w postaci dwóch osób, które tymczasowo pracują w zasadzie jako wolontariusze, bo urząd jeszcze nie ma na swoim koncie pieniędzy.

Ustawa mówi, że rzecznika powołuje premier na wniosek ministra właściwego do spraw gospodarki. Przy obecnym podziale kompetencji jest to szef resortu przedsiębiorczości i technologii, czyli Jadwiga Emilewicz. Czy taka konstrukcja gwarantuje rzecznikowi wystarczającą niezależność? Przecież z zasady zadaniem rzecznika jest ścieranie się z władzą o interesy ludzi, których ma chronić.

Nie mam tu obaw. Po powołaniu rzecznika premier nie może wydawać mu poleceń albo nagradzać go lub karać finansowo. Kadencji powtórzyć nie można, więc rzecznik nie będzie myślał o podlizywaniu się władzy, żeby pozostać na stanowisku na kolejnych sześć lat. Wprawdzie kontrolę finansów rzecznika prowadzi ministerstwo, ale ja się tego nie boję. U mnie wszystko będzie transparentne. Poza tym proszę zauważyć, że główną rolą rzecznika jest dopilnowanie wdrażania Konstytucji Biznesu. Owszem, jako poseł uczestniczyłem w dyskusjach o jej kształcie i głosowałem za, ale nie ja ją wymyśliłem, lecz rządzący. Jako rzecznik mam więc pilnować przepisów, których chciał i które firmuje ten rząd. To znaczy, że rząd, walcząc w tej sprawie z rzecznikiem, walczyłby sam ze sobą. Główne zasady konstytucji dla biznesu są cztery: 1) co nie jest zabronione, jest dozwolone; 2) domniemanie niewinności przedsiębiorcy; 3) rozstrzyganie na rzecz przedsiębiorcy wątpliwości niemożliwych do usunięcia; 4) zasada pewności prawa. Premier Morawiecki zażartował, że byłoby najlepiej, gdyby te zasady urzędnicy oprawili sobie w ramki i powiesili nad biurkiem. Będę to sprawdzał! To oczywiście znów żart, ale faktycznie będę kontrolował, czy stosują je na co dzień.

Słowa pana premiera nic nie kosztują.

Gdybym miał do tego tak podchodzić, musiałbym założyć, że zamiary rządu w tej sprawie były nieszczere, a nie mam powodu, żeby tak sądzić. Uważam, że były to zamiary całkowicie szczere i w tym sensie interes rządu, przedsiębiorców i rzecznika jest taki sam.

Rządzący mają jednak to do siebie, że lubią tworzyć nowe prawo. Ono zresztą często ma źródło nie w głowach polityków, lecz urzędników, którzy albo chcą sobie przyznać większe kompetencje, albo chcą sobie ułatwić życie kosztem obywateli. I co wtedy?

Zamierzam powołać przy rzeczniku radę przedsiębiorców. Każda ustawa, która będzie dotyczyć działalności małych i średnich firm, będzie musiała mieć opinię rzecznika, a ja w tych sprawach będę się opierał na zdaniu rady. Można

eprasa.pl 59fff9dc19

więc założyć, że niektóre projekty będą opiniowane negatywnie. Należy to jednak widzieć jako pomoc dla rządu, który w ten sposób dostanie sygnał od bezpośrednio zainteresowanych, że przygotowywane rozwiązanie nie jest najlepsze i lepiej poszukać innego.

Z tym że będzie to tylko opinia...

Oczywiście i żaden rząd czy Sejm nie będą zobligowane, żeby po negatywnej opinii zmieniać projekt. Natomiast mądry rząd powinien to poważnie rozważyć.

I tu pojawia się pytanie: Czy szklanka jest do połowy pusta czy pełna? Kompetencje rzecznika według ustawy to m.in. właśnie „opiniowanie projektów aktów normatywnych dotyczących interesów przedsiębiorców oraz zasad podejmowania, wykonywania lub zakończenia działalności gospodarczej" czy występowanie „do właściwych organów z wnioskami o podjęcie inicjatywy ustawodawczej albo wydanie lub zmianę innych aktów normatywnych w sprawach dotyczących działalności gospodarczej". Wszystko polega na opiniowaniu, informowaniu lub żądaniu informacji, występowaniu – nie ma żadnych twardych kompetencji. Początkowo był pomysł, żeby rzecznik mógł wstrzymywać postępowania wobec przedsiębiorców, ale to się nie uchowało w ustawie. Czy w takim razie pana urząd nie będzie bezzębny?

Prawo do wstrzymywania postępowania wobec przedsiębiorców wiązałoby się z dużym ryzykiem. Taka decyzja rodziłaby poważne skutki prawne dla obu stron i chyba dobrze, że tego uprawnienia rzecznik nie ma. Natomiast może uczestniczyć na prawach prokuratora w postępowaniach. Dla małego przedsiębiorcy, którego nie stać na drogiego prawnika, to może być wartościowa pomoc. Będę mógł w imieniu przedsiębiorcy składać wniosek o apelację. Będę mógł występować do Sądu Najwyższego o interpretację przepisów, bo przecież bywają w podobnych sprawach całkiem inne wyroki. No i będę mógł występować o ukaranie urzędników, którzy nie będą się stosować do zasad zapisanych w Konstytucji Biznesu.

Czy ktoś widział kiedyś w Polsce ukaranego urzędnika?

Wkrótce to się zmieni. Zresztą wielu urzędników już traktuje przedsiębiorców tak, jak powinni, czyli jako ciężko pracujących ludzi, tworzących dochód narodowy. Jednak prawdą jest też, że znaczna część sądzi, że trudny dla siebie okres uda im się przeczekać. Przecież już tyle razy władza mówiła, że będzie pomagać przedsiębiorcom i nigdy nic z tego nie wynikało, żeby wspomnieć choćby komisję Przyjazne Państwo w poprzedniej kadencji Sejmu, której zresztą byłem członkiem. Teraz mogę jednak zapowiedzieć wszystkim urzędnikom, którzy myślą, że będzie, jak było: nie będzie. Jeśli mój urząd stwierdzi, że urzędnik naruszył którąś z zasad Konstytucji Biznesu, to niech się liczy z ukaraniem.

Jakieś przypadki ma pan już na celowniku?

Tak. Będziemy m.in. prosić o wyjaśnienia naczelnika urzędu skarbowego, który w głośnym ostatnio piśmie nakazał przedsiębiorcy wytłumaczenie się ze spadku obrotów. Spadek obrotów nie jest zabroniony i istnieje domniemanie niewinności. Być może ta zasada została złamana, sprawdzimy.

> **Mogę zapowiedzieć wszystkim urzędnikom, którzy myślą, że będzie, jak było: nie będzie. Jeśli mój urząd stwierdzi, że urzędnik naruszył którąś z zasad Konstytucji Biznesu, to niech się liczy z ukaraniem**

Na czym, poza wspomnianymi czterema zasadami, chce się pan skupić jako rzecznik przedsiębiorców?

Są dwie rzeczy, które najbardziej przeszkadzają przedsiębiorcom: ZUS i niejasne prawo. Wielu mikroprzedsiębiorców wpadło w ogromne kłopoty z powodu ryczałtowej składki ZUS. Ludzie zakładali działalność gospodarczą, często z przymusu. Najpierw przez dwa lata cieszyli się specjalną niższą stawką ZUS, a potem wpadali w pułapkę, gdy ulga się kończyła, a ryczałt skakał do 1,2 tys. zł. I to bez związku z tym, ile się zarobiło.

Niektórzy mówią: jeśli kogoś nie stać na opłacenie składki ZUS, to niech nie zakłada firmy.

Tak, znam te uwagi socjalistów. Ostatnio taką opinię wygłaszał Adrian Zandberg. To absurd. Przecież gdy otwieramy firmę, nigdy nie mamy pewności, jak nam pójdzie. Próbujemy zarabiać, ale bez żadnej gwarancji. W dodatku często alternatywą dla założenia firmy nie jest praca na wygodnym etacie, ale brak pracy w ogóle. A jeśli się nie pracuje, to pobiera się świadczenia od państwa albo pracuje się na czarno, co jest upokarzające dla pracownika i złe dla państwa. Bezrobotny państwu nic nie daje, za to kosztuje.

Przedsiębiorcy próbowali unikać ryczałtu ZUS-owskiego, rejestrując działalność za granicą, ale to też sprowadziło na nich kłopoty.

Tak, takie rozwiązanie oferowały niektóre kancelarie prawne. Przedsiębiorcy przenosili działalność na Litwę lub do Czech, gdzie składki są niższe niż w Polsce. Dzisiaj ściga ich ZUS, żądając sum rzędu 50 czy 100 tys. zł. Dla tych ludzi i ich rodzin oznacza to ruinę finansową, a mówimy tu o tysiącach osób. Na szczęście Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii powołało zespół do spraw abolicji w kwestii składek ZUS. Trzeba też przyznać, że pojawiają się nowe, lepsze rozwiązania. Jest tzw. pas startowy, czyli przez pół roku można prowadzić działalność bez rejestracji i płacenia składki. Ma wejść mały ZUS dla małych firm. Wciąż jednak istnieje problem powiązania składki z przychodem, a nie z dochodem. Nad tym będziemy pracować.

A skomplikowane prawo?

Będziemy proponować rozwiązania legislacyjne. Chodzi głównie o to, żeby wielkie firmy i małe firmy nie były traktowane identycznie.

Nie widzi pan problemu w tym, że państwo pod rządami PiS odgrywa coraz większą rolę w gospodarce? Otwarcie deklarował to wielokrotnie premier Morawiecki.

To wybór określonej filozofii gospodarczej i premier ma do tego prawo. Ja uważam się za liberała. Uważam, że państwo powinno tworzyć ramy dla działalności gospodarczej, ale niekoniecznie musi ją prowadzić, a jeżeli już, to w strategicznych dla działania państwa obszarach. Ponieważ państwo chce być aktorem w sektorze dużych firm, nie małych i średnich, więc nie będzie stanowić konkurencji dla tego sektora, którego jestem rzecznikiem.

Mówi pan, że jest pan liberałem. Nie niepokoi pana, że szef rządu w ogóle nie cytuje klasyków liberalizmu, takich jak Fryderyk von Hayek, Milton Friedman czy nawet Adam Smith, za to chętnie powołuje się na Piketty'ego, guru gospodarczego lewicy?

Takie rzeczy mogą mnie już tylko martwić prywatnie, bo jako rzecznik jestem apolityczny. I prywatnie mnie martwią. Jednak tylko prywatnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Własny polski Nord Stream

Ileż to już razy w przestrzeni publicznej pojawiała się informacja, że któreś z państw albo ważnych czy wręcz bardzo ważnych instytucji lub urzędów – państwowych lub unijnych – sprzeciwia się budowie Nord Stream 2? I wtedy, na krótko, wiało optymizmem. Tak jak niedawno, gdy weto w tej sprawie ogłosił premier Danii Lars Løkke Rasmussen – a sprzeciw ten jest konsekwencją zmienienia przez jego kraj prawa, które teraz pozwala władzom państwa, przy ocenianiu wpływu tego rodzaju przedsięwzięć, brać pod uwagę nie tylko ich konsekwencje dla środowiska i bezpieczeństwa, lecz także polityki zagranicznej oraz stosunków z innymi państwami.

A po jakimś czasie okazywało się, że jednak to państwo, ta instytucja czy ten urząd – państwowy lub unijny – z jakichś, czasami wielce niejasnych, rzec można: tajemniczych, powodów, albo przeciwnie – z powodów bardzo jasnych, oczywistych – bo tak nakazywał mu własny interes, jednak od sprzeciwu odstępowało i wszystko toczyło się dalej swoim torem. Torem fatalnym dla tych krajów, w które projekt Nord Stream jest bezpośrednio i z premedytacją wymierzony: Polski, Ukrainy, Litwy, Łotwy i Estonii. Tak jakby tego gigantycznego walca politycznego, którym jest machina Nord Stream – w tym Nord Stream 2 – walca rosyjsko-niemieckiego, ze wsparciem Francji, Austrii, Holandii i Wielkiej Brytanii (bo to ich energetyczne giganty są w to zaangażowane), nic nie było w stanie zatrzymać. Czy tak będzie również z wetem Duńczyków – nie wiadomo, lecz na wszelki wypadek ewentualności, że to właśnie oni ten walec zastopują, za wysoko bym nie obstawiał.

Z tego wszystkiego dla państw, w które Nord Stream 2 ma uderzyć, a więc i dla Polski, płynie prosty niczym nitka gazociągu wniosek: istnieje tylko jeden w miarę pewny sposób uwolnienia się od fatalnych konsekwencji tej zmowy – samemu zadbać o własne bezpieczeństwo energetyczne. Czyli zbudować nasz własny polski Nord Stream, bo – jak wiadomo – jeśli się chce na kogoś liczyć, to trzeba liczyć na siebie. I jak raz w tej akurat sprawie rząd PiS, jak się wydaje, robi, co w jego mocy, zawsze zresztą robił, także w latach 2005–2007. Pilnie rozbudowany ma być nasz świnoujski gazoport – z 5 do 7,5 mld m sześc. rocznie. I, co najważniejsze, zatwierdzona już też została trasa Baltic Pipe – gazociągu, który pobiegnie z polskiego Niechorza do Danii. I na razie sporo wskazuje na to, że przed rokiem 2022 oba te przedsięwzięcia zostaną doprowadzone do szczęśliwego końca. A to by oznaczało, że ewentualny rosyjsko-niemiecki szantaż, gdyby doszło do powstania Nord Stream 2, będzie nam już wtedy niestraszny. A przynajmniej nie aż tak straszny jak w tej chwili. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Widzę cię!

Gdy w zeszłym roku byłem na dwutygodniowym szkoleniu w Singapurze, próbowałem znaleźć miejsce, którego nie widziała kamera. Było to prawie niemożliwe, a w ruchliwych miejscach naliczyłem nawet pięć i więcej kamer. Obecne technologie rozpoznawania obrazu pozwalają na identyfikację osób w czasie rzeczywistym, zatem teoretycznie władze Singapuru mogą stworzyć mapę pokazującą, gdzie znajdują się konkretni mieszkańcy. Co więcej, analizując zbiory takich danych z przeszłości już obecnie można przewidzieć z dużym prawdopodobieństwem, gdzie dana osoba będzie za jakiś czas.

Już pojawiają się metody oszukiwania sztucznej inteligencji

Istnieją wzorce zachowań, nasze lub ludzi o podobnym do nas stylu życia, z których nawet możemy sobie nie zdawać sprawy, a które umożliwiają takie prognozy. Np. sztuczna inteligencja wie, kto jedzie danym autobusem, i może prognozować, że dana osoba wysiądzie na danym przystanku z prawdopodobieństwem 85 proc., a na innym przystanku z prawdopodobieństwem 15 proc.

W przyszłości właściciel restauracji, jeżeli uzyska dostęp do takich danych i technologii, będzie mógł z wysokim prawdopodobieństwem prognozować nie tylko, ile osób przyjdzie danego wieczoru do restauracji, lecz także to, kto przyjdzie i co zamówi.

To oczywiście zwiększy zyski restauracji, poprawi poziom satysfakcji gości (będą krócej czekali na ulubione danie) oraz polepszy funkcjonowanie taksówek w mieście, bo będzie wiadomo, o której godzinie goście wyjdą z restauracji i dokąd pojadą. Niepotrzebne będą ratingi restauracji, bo kamery rozpoznają emocje na twarzach gości w restauracji i na ich podstawie będą mogły automatycznie wystawić oceny. Wówczas zniknie problem fałszywych opinii, które mogą sobie same wystawiać restauracje, używając botów.

Już jednak pojawiają się metody oszukiwania sztucznej inteligencji. Na przykład przeprowadzono eksperyment i na stole umieszczono naklejkę, na której człowiek nic nie może rozpoznać, ale algorytm sztucznej inteligencji zawsze widzi na niej toster. Mogę sobie wyobrazić, że w sprzedaży pojawią się naklejki, które restaurator będzie umieszczał w polu widzenia kamery, która zawsze będzie wymuszała rozpoznanie zadowolonego gościa. Myślę, że przestępcy lub służby specjalne wkrótce opracują takie elementy ubrania lub makijażu, które będą myliły programy rozpoznające twarze – i z kamer miejskich, i z urządzeń noszonych przez policję w USA (kamerki) i w Chinach (inteligentne okulary). Witamy w XXI w. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 59fff9dc19

Grupa trzymająca

Jacek Przybylski

Najbardziej znane stadiony coraz częściej przypominają place zabaw dla bogaczy, którzy płacą setki milionów euro za kolejne piłkarskie gwiazdy. Jednocześnie europejskie kluby są przejmowane przez bogatych szejków, rosyjskich nuworyszy, a także chińskich i indyjskich biznesmenów

Boski Cristiano Ronaldo w zeszły poniedziałek wylądował w Turynie. Za piłkarza, który jak dotąd pięciokrotnie otrzymał tytuł najlepszego na świecie, Włosi zapłacili aż 112 mln euro, czyli niemal pół miliarda złotych.

Jeden z najdroższych transferów w dziejach włoskiej piłki nie wszystkim się jednak podoba. Cena, którą klub zapłacił za Portugalczyka, to bowiem dopiero początek gigantycznych wydatków. Bożyszcze milionów kobiet na całym świecie będzie bowiem zarabiało rocznie 30 mln euro. A ponieważ Ronaldo podpisał kontrakt na cztery lata, to jak łatwo policzyć, na nowego zawodnika Juventus będzie musiał wydać jeszcze co najmniej 120 mln euro. Znaczną część kosztów utrzymania piłkarza będzie ponosił koncern Fiat. I chociaż Włosi kochają piłkę nożną, to i tak związkowcy zatrudnieni w fabryce w Melfi pod Neapolem zorganizowali strajk. – To niedopuszczalne, że pracownicy fabryk od lat czekają na podwyżki, w zamian za ogromne poświęcenia i pracę, a władze firmy decydują się na wydanie setek milionów euro na piłkarza – marudzili związkowcy.

KLUB WŁOSKICH KENNEDYCH

Tymi argumentami nie przejmuje się zbytnio włoska dynastia, która wyniosła Juventus ku sławie i potędze. Słynny klan Agnellich klubem piłkarskim w Turynie rządzi już niemal od 100 lat. Prezes klubu Andrea Agnelli uwielbia podkreślać, że nigdy nie porzucił marzeń o piłce i nigdy nie myślał o tym, aby zdradzić „Starą Damę". W XXI w. taka biznesowa wierność to rzeczywiście ewenement: w 2013 r. udziały w słynnym Interze sprzedał Massimo Moratti – potentat branży naftowej i syn Angela Morattiego, prezydenta mediolańskiego klubu

eprasa.pl 59fff9dc19

piłkę

Andrea Agnelli – ze słynnego włoskiego klanu, który Juventusem rządzi już niemal od 100 lat – ściągnął do swojego klubu Cristiano Ronaldo

FOT. DANIELE BADOLATO/JUVENTUS FC/GETTY IMAGES

w latach 60., gdy Inter Mediolan nie miał sobie równych ani we Włoszech, ani w Europie, ani na świecie. Przez 18 lat rządów w klubie Massima Morattiego Inter zapłacił za nowych zawodników ponad 600 mln euro, dzięki czemu święcił triumfy w Lidze Mistrzów i Pucharze UEFA , a także zdobył cztery mistrzostwa Włoch, cztery Puchary Włoch etc.

W roku 2017 swój ukochany AC Milan po 31 latach sprzedał zaś magnat medialny Silvio Berlusconi. I chociaż transakcja warta aż 740 mln euro była wówczas największą inwestycją biznesmenów z Dalekiego Wschodu w europejską piłkę nożną, to decyzja o pozbyciu się ukochanego klubu mogła zaszkodzić politykowi bardziej niż słynna afera bunga-bunga. Zresztą trzykrotny premier Włoch sam sugeruje, że to właśnie przez sprzedaż AC Milanu jego partia uzyskała o wiele słabszy rezultat w ostatnich wyborach parlamentarnych. W 2018 r. podczas spotkania wyborczego Berlusconi zapowiedział więc, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to prędzej czy później odkupi klub. Mimo to wielu fanów wciąż ma mu za złe decyzję o sprzedaży Milanu, który w rękach chińskiej spółki Rossoneri Sport Investment Lux osiąga na boisku dużo gorsze wyniki niż wcześniej.

Juventus miał więcej szczęścia. W 1923 r. prezydentem klubu został Edoardo Agnelli, syn założyciela koncernu Fiat, który w tym czasie kontrolował większość europejskiego rynku motoryzacyjnego. Dzięki Edoardo klub w latach 30. aż pięć razy zdobywał tytuł mistrza Włoch. Po II wojnie światowej ród Agnellich stał się tak potężny, że Włosi zaczęli porównywać go z brytyjską rodziną królewską lub z amerykańskim klanem Kennedych. Członkowie Agnellich zainwestowali bowiem nie tylko w przemysł motoryzacyjny, lecz także w wydawnictwa, firmy budowlane czy korporacje ubezpieczeniowe. Kochający dobry futbol, szybkie samochody i piękne kobiety wnuk założyciela marki Fiat Gianni Agnelli – ze względu na prawnicze wykształcenie nazywany L'avvocato – w pewnym momencie kontrolował ponad jedną czwartą spółek na włoskiej giełdzie papierów wartościowych, które zatrudniały w sumie ok. 360 tys. pracowników. Elegancki Gianni Agnelli był również ulubieńcem mediów i wrogiem wielu mężczyzn, którzy zazdrościli mu m.in. licznych romansów (Gianni uwiódł ponoć m.in. pierwszą damę Stanów Zjednoczonych Jackie Kennedy).

Jednocześnie doprowadził do tego, że Juventus stał się włoskim skarbem narodowym – drużyną, która jednoczy nie tylko robotników Fiata z wybitnymi intelektualistami, lecz także wszystkich Włochów, od Sycylii poprzez biedne Południe po bogatą Północ. Wymógł także na piłkarzach, aby również poza boiskiem zachowywali „styl Juve", czyli niepisaną regułę nakazującą gwiazdom futbolu przestrzeganie zasad elegancji również poza boiskiem.

Rodzina Agnellich może zakładać, że zakup Ronalda okaże się trafioną inwestycją. Dzięki temu transferowi Juventus ma bowiem szanse wrócić do czołówki europejskich klubów. Zarobić może nie tylko na większych wpływach od sponsorów, rosnącej sprzedaży biletów (Portugalczyk znany jest z tego, że swoje występy daje przy wypełnionych po brzegi stadionach), lecz także na sprzedaży najróżniejszych marketingowych gadżetów. Same tylko biało-czarne koszulki Juventusu z nazwiskiem Ronaldo i numerem 7 kosztują od ponad 80 do niemal 150 euro za sztukę.

ROSYJSKA OFENSYWA

Najsłynniejszym rosyjskim bogaczem, który zdecydował się zainwestować w europejski klub piłkarski, jest Roman Abramowicz. Rosjanin żydowskiego pochodzenia jest uważany za jednego z najbogatszych ludzi urodzonych w Europie Wschodniej. Znajduje się również w pierwszej piętnastce najbogatszych mieszkańców Wielkiej Brytanii i w elitarnym gronie posiadaczy największych jachtów na świecie (należąca do niego luksusowa łódź Eclipse ma aż 163,5 m długości i 17,3 m szerokości, umożliwia lądowanie dwóm śmigłowcom naraz, a gościom oferuje dwa baseny, kilka saun i ponad 20 kabin). Magazyn „Forbes" wartość majątku rosyjskiego nuworysza szacuje na ponad 11,5 mld dol. Sama jego brytyjska rezydencja warta jest niemal 500 mln zł. A przecież Abramowicz ma również luksusowe posiadłości w innych miastach Europy.

Osierocony w wieku zaledwie trzech lat nigdy nie był zbyt zdolnym uczniem. Nie skończył też studiów. Fortuny dorobił się po rozpadzie Związku Sowieckiego w pierwszej połowie lat 90., głównie dzięki interesom w branży naftowej, które prowadził wraz z Borysem Bierezowskim. Nie bez znaczenia były też jego kontakty z Borysem Jelcynem. Abramowicz stał się udziałowcem rosyjskich linii lotniczych Aeroflot, firmy telewizyjnej i właścicielem pierwszoligowej drużyny hokeja Awangard Omsk.

W 2003 r. miłośnik futbolu, który widywany był zarówno na mistrzostwach świata we Francji w 1998 r., jak i w Japonii i Korei cztery lata później kupił własny klub piłkarski.

Legenda mówi, że rosyjski miliarder w 2003 r. zdecydował się na kupno angielskiego Chelsea F.C., gdy przelatując śmigłowcem nad stadionem Stamford Bridge, zapytał: „A co to?". – Chciał też kupić kilka innych rzeczy, ale to własność królowej – opowiadał przed laty brytyjskiemu dziennikowi „Daily Mail" grający w Chelsea argentyński piłkarz Franco Di Santo. Z pewnością był to świetny moment na zakupy. Stuletni klub z siedzibą w zachodnim Londynie był w finansowych tarapatach. Po wyjątkowo krótkich, 20-minutowych negocjacjach Roman Abramowicz dobił

eprasa.pl 59fff9dc19

targu i zgodził się zapłacić za większościowy pakiet udziałów aż 140 mln funtów. Była to największa transakcja w historii brytyjskiego futbolu. Rosyjski potentat naftowy wyłożył w gotówce 60 mln funtów, a pozostałe 80 mln przeznaczył na spłatę zadłużenia klubu. Trudno mówić o okazyjnej cenie. Poprzedni właściciel Chelsea – Ken Bates – gdy kupował klub w 1982 r. zapłacił za niego symbolicznego funta, jednocześnie zobowiązując się do spłaty zadłużenia wynoszącego wówczas 1,5 mln funtów. Dla Abramowicza taki wydatek i tak był jednak tylko kroplą w morzu dochodów z ropy.

I chociaż kupowanie sukcesów na boisku to wrażliwy temat, bo żaden kibic nie chce słyszeć, że seria zwycięstw jego ukochanej drużyny to zasługa głębokiej kieszeni właściciela, to liczby nie kłamią. Szacuje się, że w ciągu pierwszych 10 lat przyjaciel prezydenta Władimira Putina wydał na swój klub 2 mld funtów, czyli niemal 10 mld zł, z czego mniej więcej połowę na transfery. Dzięki temu Chelsea zaczęła zdobywać trofea, o których wcześniej jej kibice nie mogli nawet marzyć: pięć tytułów mistrza Premier League (ten osiągnięty w 2005 r. był pierwszym takim trofeum zdobytym przez Chelsea od 50 lat), Puchar UEFA oraz Puchar Europy Ligi Mistrzów – najwyższe trofeum, jakie mogą wywalczyć piłkarze na europejskich boiskach.

Abramowicz nie mógł narzekać na brak pieniędzy – w 2005 r. państwowy Gazprom za 73 proc. udziałów w przedsiębiorstwie Sibnieft zapłacił mu aż 13 mld dol. Ku uciesze kibiców bogaty 51-latek nie zamierza jeszcze zakręcać kurka z gotówką, chociaż w tym roku musiał zmienić obywatelstwo. Abramowiczowi skończyła się bowiem wiza, a rząd w Londynie odmówił wydania mu nowej dopóty, dopóki nie udowodni, że legalnie dorobił się swojego majątku. Dawny potentat naftowy od maja jest więc obywatelem Izraela.

SZEJKOWIE W POLU KARNYM

Chelsea pod względem pieniędzy wydanych na transfery w ciągu ostatnich 10 lat i tak znajduje się jednak na drugim miejscu. Pierwsze zajmuje Manchester City. Klub, który stał się przykładem ofensywy przypuszczonej na europejskie boiska przez inwestorów znad Zatoki Perskiej. W 2008 r. należąca do szejka Mansoura bin Zayeda al-Nahyana z Abu Zabi grupa Abu Dhabi United Group

Szejk Mansour bin Zayed al-Nahyan dzięki dużym pieniądzom kompletnie odmienił Manchester City

FOT. VICTORIA HAYDN/MANCHESTER CITY FC/GETTY IMAGES)

Investment and Development Limited przejęła klub Manchester City, który był wówczas w fatalnej kondycji finansowej i sportowej. Arabowie zapłacili 210 mln funtów.

Szejk Mansour – którego majątek szacuje się na równowartość ponad 60 mld zł i który poza udziałami w takich spółkach jak Daimler czy Virgin Galactic może się również pochwalić m.in. wartym 2 mld zł jachtem, który pożycza czasem gwiazdom pokroju Leonardo DiCaprio – szybko przekształcił swój nowy nabytek w jeden z najpotężniejszych klubów w Wielkiej Brytanii. Jak? Tylko w kupno 74 nowych piłkarzy zainwestował w ciągu ostatnich 10 lat aż 1,4 mld funtów (równowartość 6,8 mld zł). W tym samym czasie średnie wydatki na transfery angielskich klubów wynosiły jedną trzecią tej kwoty. Jednocześnie średnie pensje w zespole wzrosły o ponad połowę.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. W 2011 r. klub wszedł do Ligi Mistrzów, zdobył też Puchar Anglii. W sezonie 2011/2012 Manchester City po 44 latach odzyskał tytuł mistrza kraju, który zdobył ponownie w sezonie 2013/2014, a także w sezonie 2017/2018. Według portalu Transfermarkt piłkarze trzymają swoją wartość rynkową lub stają się coraz droższi. Dla przykładu ofensywny pomocnik Kevin de Bruyne, kupiony w 2015 r. za 76 mln euro, obecnie jest już wyceniany na 150 mln euro.

Na sprzedaży zawodników klub zarobił w ostatnich latach 368 mln funtów. Ponad 300 mln funtów przyniosły przychody z krajowych zwycięstw. Do przychodów doliczyć można również kilkaset milionów funtów za udział w rozgrywkach Ligi Mistrzostw, a także udział w zyskach ze sprzedaży praw do transmisji Premier League (chodzi o ok. 80 mln funtów za każdy sezon) oraz pieniądze od sponsorów (według wyliczeń Sportcal od czasu, gdy klub przeszedł w ręce szejka, sponsorzy wydali na Manchester City ponad 470 mln dol.). Można więc oszacować, że całkowite przychody klubu wyniosły w tym czasie ok. 1 mld funtów. Jeśli się weźmie pod uwagę dużo wyższe koszty, to aby szejk mógł zacząć liczyć zyski z inwestycji, piłkarze muszą jeszcze lepiej radzić sobie np. w rozgrywkach Ligi Mistrzów.

Manchester City nie jest jedynym klubem piłkarskim, na którego stadionach pokazuje się szejk Mansour. Wicepremier Zjednoczonych Emiratów Arabskich kontroluje również m.in. Melbourne City, New York City oraz Atlético Torque. Jest także mniejszościowym udziałowcem w japońskim Yokohama F. Marinos.

Do arabskich inwestorów – a dokładniej do funduszu Qatar Sports Investments – należy również francuski klub Paris Saint-Germain. W połowie 2011 r. zapłacili oni za PSG ponad 130 mln euro. Dzięki dobremu zarządzaniu przez nowego prezydenta klubu, Katarczyka Nassera al-Khelaifiego – byłego tenisisty i dyrektora w Al-Jazeera Sports – a także wielomilionowym inwestycjom w piłkarzy w sezonie 2012/2013 paryski klub dotarł do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. W roku 2013 pierwszy raz od 19 lat Paris Saint-Germain zdobył mistrzostwo Francji, po czym tytuł ten zdobywał kolejno w latach 2014, 2015, 2016 oraz 2018.

Pięć lat temu w piłkę nożną zainwestował również Shahid Khan. Pochodzący z Pakistanu amerykański miliarder – którego majątek wyceniany jest na 6,3 mld funtów (ponad 30 mld zł) i który wiosną obecnego roku złożył wartą ponad 500 mln funtów ofertę zakupu legendarnego stadionu Wembley – w 2013 r. nabył londyński klub Fulham od właściciela sklepu Harrods, Mohameda al-Fayeda, którego syn Dodi zasłynął romansem z księżną Dianą. Shahid Khan zapłacił za niego ponad 150 mln funtów. Kilka razy wymieniał trenerów. Nie zainwestował jednak wystarczająco dużo w nowych zawodników: dla Fulham sukcesem jest więc sam fakt gry w Premier League.

Nowych bogatych właścicieli różnych klubów łączy jedno: żaden nie lubi wyrzucać pieniędzy w błoto i gdy ładują fortunę w zawodników, wymagają od nich ogromnej pracy i wielkich poświęceń. Nie zawsze pamiętają jednak, że zakup klubu to dopiero początek ogromnych wydatków. A bez wartych szalone pieniądze gwiazd trudno liczyć na nieziemskie wyniki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

TEST „DO RZECZY": GOLARKA I TRYMER PANASONIC

Czy brodaci są sexy? Tak. Wystarczy zapuścić 10-dniowy zarost, aby dookoła nas zaroiło się od pięknych kobiet – tak przynajmniej wynika z przeprowadzonych przed kilkoma laty badań australijskich naukowców. Zarośnięci wydają się ponoć paniom bardziej dojrzali, władczy oraz zdrowsi. Są też postrzegani jako lepsi kandydaci na ojców. Zgodnie z tymi samymi badaniami drudzy w kolejności pod względem atrakcyjności są mężczyźni z pełną brodą lub gładko ogoleni. Najmniej pociągający są zaś ponoć mężczyźni z zarostem pięciodniowym.

Zacznijmy więc od testu gadżetu, który pozwala codziennie nosić 10-dniowy zarost lub dbać o pełną brodę bez zatrudnia golibrody. Model ER-GB96 to jeden z 20 najlepszych trymerów na rynku, który ułatwia wykorzystanie zarostu nie tylko w celach ewolucyjnych, lecz także jako elementu stylizacji modowej. Największą zaletą testowanego urządzenia jest bardzo duży zakres kontroli nad długością brody: można przycinać brodę na długość od 0,5 mm (wówczas uzyskamy efekt tzw. papieru ściernego) aż do 30 mm. W sumie do wyboru jest aż 58 różnych długości (nie można przyciąć brody na długość 10,5 lub 20,5 mm). Japońskie ostrza tną równo (choć przy pełnej brodzie zawsze znajdzie się kilku buntowników), a mocny silnik pozwala na stosunkowo płynne cięcie nawet gęstych bród, bez częstego bolesnego zaciągania włosów. W zestawie znajdują się też cztery plastikowe nakładki, które ułatwiają dokładniejszą stylizację w zależności od długości zarostu. Plusem tego trymera jest też łatwość czyszczenia. Wodoodporna konstrukcja sprawia, że urządzenie można umyć pod bieżącą wodą.

Trymer ładuje się do pełna mniej więcej godzinę, po czym w trybie bezprzewodowym można go używać do 50 minut. Największy minus tego modelu to stosunkowo wysoka cena: 389 zł.

Dla tych, którzy wolą być przynajmniej na części twarzy gładko ogoleni, jest inny, spory droższy gadżet: golarka elektryczna ES-LV9Q. W solidnie wykonanym urządzeniu, które pozwala golić się zarówno na mokro, jak i na sucho, zarostu pozbywamy się za pomocą pięciu ostrzy umieszczonych w głowicy MultiFlex 5D. Ruchoma głowica to jedna z największych zalet tego urządzenia – poruszając się w pięciu kierunkach, lepiej podąża ona za konturami twarzy, przez co goli dokładniej. Trzeba jednak pamiętać, że elektryczne golenie na sucho nie zawsze da tak dobre rezultaty jak przy użyciu tradycyjnej brzytwy. Wystarczy jednak użyć elektrycznej maszynki do golenia na mokro, aby uzyskać zadowalające rezultaty. Olbrzymią zaletą tego gadżetu jest też liniowy silnik, który pozwala na taką samą moc golenia niezależnie od gęstości zarostu czy stanu naładowania baterii. Specjalny czujnik automatycznie wykrywa gęstość brody i steruje mocą golenia. Testowany model ma również wysuwany trymer, który pozwala np. na precyzyjnie przycięcie baków.

A jak z czyszczeniem? Na co dzień golarkę można po prostu opłukać pod bieżącą wodą. W zestawie znajduje się też stacja czyszcząca, która dokładnie czyści golarkę z włosków i łoju skórnego, przez co ostrza dłużej pozostają ostre. Po stronie plusów trzeba wpisać też akumulator, który pozwala golarce działać w trybie bezprzewodowym do 60 minut. W razie potrzeby wystarczy zaś pięć minut ładowania, aby energii wystarczyło na jedno golenie. Przenoszenie gadżetu ułatwia zaś wygodny, skórzany futerał. I znów największą wadą jest wysoka cena: 1699 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAWIGACJA DLA MOTOCYKLISTÓW

„Motocykliści są wszędzie" – ostrzega jedna z kampanii. To prawda, ale zdarza się, że motocykliści nie wiedzą, gdzie są – a to ponoć dlatego, że inaczej niż samochodziarze w czasie jazdy nie bardzo mogą korzystać z nawigacji GPS. Teraz ma się to zmienić za sprawą Beeline Moto, czyli prostej nawigacji dla motocyklistów. Producenci, czyli Mark Jenner i Ton Putnam, mają już na koncie nawigację dla rowerzystów.

Beeline Moto nie pokazuje nic poza szarą drogą opatrzoną strzałką wskazującą kierunek jazdy. Nie ma na niej dodatkowych informacji graficznych, co ma zapobiegać rozproszeniu uwagi. W efekcie graficznie nawigacja może nie wyglądać zbyt imponująco, ale jest dokładna i prosta w obsłudze. Oczywiście nie obsługuje się jej w telefonie, ale na niewielkim ekranie ulokowanym w opasce, którą można zamontować w pobliżu kierownicy. Wyświetlacz jest widoczny nawet

w ostrym świetle, a wbudowane podświetlenie włącza się automatycznie o zmierzchu. Zamawiać można na Kickstarterze. Cena: ok. 400 zł.

COŚ DLA KORPO

Nie będzie już potrzebny dyrygent wskazujący telewizyjnej publiczności, kiedy trzeba się śmiać, kiedy klaskać, a kiedy wyć z zachwytu. W zasadzie publiczność też nie jest potrzebna. Wystarczy robot Big Clapper. Urządzenie przypominające przydepniętego ufoludka wykorzystuje technologię cyfrowego przetwarzania dzięków, by odtwarzać w sposób realistyczny dźwięk klaskania dłoni. Można go nauczyć też wymawiać sporo słów, np. „Witajcie w pracy", „Miło cię widzieć", „Znakomicie, że już jesteś" – przy czym mówi to prostym, robotycznym głosem wspartym klaskaniem. Nie do przecenienia w korporacjach. QWWPo podłączeniu do dedykowanej aplikacji Big Clapper może też śpiewać, pocieszać, deklamować wierszyki. Można go też zsynchronizować z muzyką iTunes. Niestety, jeden robocik kosztuje na Kickstarterze ok. 15 tys. zł. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl 59fff9dc19

Joanna Bojańczyk

W czasach II RP Druskienniki były modną miejscowością kuracyjną. Przyjeżdżano tu dla klimatu, solanek, wód... i romansów

Nad Niemnem

Opisywali je Mickiewicz, Miłosz, Konwicki (bo czy ktoś czyta jeszcze bez przymusu Orzeszkową?). Dzięki nim ziemia i przyroda nadniemeńskie stały się ikonami tęsknoty za krajem dzieciństwa, symbolami trwania, ostoją tradycji.

A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy

– pisał Adam Mickiewicz w wierszu „Do Joachima Lelewela”. Dzisiaj Litwa z całą pewnością jest Europą, nadniemeńska ziemia do Polski nie należy i trzeba się z tym ostatecznie pogodzić. Druskienniki nad Niemnem są litewskie, choć zaliczyły spory polski epizod w historii swoich przynależności. Były częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego, II Rzeczypospolitej, Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, po 1990 r. stały się częścią Republiki Litwy.

Pokolenie moich dziadków – urodzonych pod koniec XIX w., a przeżywających najlepszy okres życia w latach 30. XX w. – z tym uroczym uzdrowiskiem wiązało przyjemne wspomnienia. Dużo o tym w domu słuchałam.

Cieszę się, że babcia nie zobaczyła dzisiejszych Druskiennik. Nie poznałaby tego miejsca. Ostatnich dwadzieścia parę lat poczyniło tam spore spustoszenia w przestrzeni publicznej. Kameralne niegdyś i eleganckie uzdrowisko stało się gęsto zabudowanym miastem. Nie wiadomo, czy drewniane świdermajery zatopione w lesie rozpadły się za sowiecko-białoruskich czasów, czy dzieła zniszczenia dokonała na nich ręka dzikiego kapitalizmu, który w ciągu ostatnich 20 lat zawładnął każdym wolnym metrem kwadratowym. W każdym razie najstarszą część Druskiennik przestrzennie zdemolowano. Wypełniono ją pseudonowoczesną deweloperką wybudowaną z rozmachem i brakiem gustu właściwym nowym pieniądzom. Szkło, aluminium, beton. Gdy ktoś chce poczuć genius loci, miłoszowski klimat, musi oddalić się od centrum miasteczka i pójść nad Niemen. Tam można odetchnąć i siedząc na ławce, patrzeć na rzekę.

Dla żądnych rozrywek miasteczko oferuje wachlarz współczesnych atrakcji. Park linowy, Snow Arenę, klub golfowy, klub nocny, no i oczywiście aquapark, podobno największy w tej części Europy. Powierzchnia 3 ha, dziewięciometrowe palmy, błękitna woda w basenach, zjeżdżalnie, jacuzzi, kaskady, 22 łaźnie... Bilet – 5 euro. Ze stacji obok parku wodnego można wspiąć się kolejką linową na wzgórza na drugą stronę Niemna i stamtąd zobaczyć panoramę miasta oraz zakola rzeki toczącej się meandrami wśród lasów.

MIŁOŚĆ I MEDYCYNA

W niezbyt dawnych czasach, gdy uzdrowisko służyło leczeniu, a nie urodzie, tak jak dzisiejsze spa, Druskienniki zdobyły sławę dzięki solankowym źródłom i leczniczym właściwościom białej borowiny, miejscowego bogactwa naturalnego. Właściwości źródeł były znane już w XVIII w. Na początku wieku XIX zajął się nimi w sposób naukowy profesor chemii Uniwersytetu Wileńskiego, Ignacy Fonberg. Badaniami zainteresował się car Mikołaj i widocznie był zadowolony z wyniku, bo nadał Druskiennikom status uzdrowiska.

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. FOTOLIA

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Biała borowina, minerał o wyglądzie cementu, to tutejszy skarb. Zalega pod pokładami „zwykłej” ciemnej borowiny i uważana jest za panaceum na liczne dolegliwości. Ma pomagać na schorzenia krążenia, układu nerwowego, narządów trawiennych, kręgosłupa i stawów, problemy skóry, dróg oddechowych, endokrynologiczne, ginekologiczne... Nic dziwnego, że w czasach II Rzeczypospolitej Druskienniki stały się tak modnym miejscem. Ci, których było stać, spędzali długie miesiące w „zakładach wodo- i przyrodoleczniczych”, gdzie leczono za pomocą wód, soli i klimatu. A Druskienniki leżą niedaleko Wilna, 60 km od dzisiejszej granicy z Polską, wśród lasów Puszczy Orańsko-Druskiennickiej.

Skuszony właściwościami leśnego mikroklimatu i cudotwórczym działaniem borowin do Druskiennik przybył w 1924 r. sam Józef Piłsudski. Od pewnego czasu Marszałek nie czuł się dobrze i w popularnym kurorcie miał zamiar odpocząć i poddać się leczeniu. Zamieszkał w niewielkiej wiejskiej chacie, bez elektryczności, ale widok Niemna i leśne otoczenie rekompensowały brak wygód.

Odpoczywał, dużo chodził. Gdy któregoś dnia po spacerze słabo się poczuł, Aleksandra Piłsudska wezwała lekarza. A właściwie lekarkę, 28-letnią Eugenię Lewicką, która właśnie kilka tygodni wcześniej rozpoczęła w miejscowej lecznicy pracę jako lekarz. Od tej chwili 58-letni Piłsudski i piękna pani doktor spędzali ze sobą dużo więcej czasu, niż wskazywałaby na to konieczność medyczna. Zabiegi, ćwiczenia, spacery po lesie. Romans kwitł pod bokiem żony i mimo dzielącej parę 30-letniej różnicy wieku nie skończył się wraz z powrotem Marszałka do Sulejówka. Rozstanie nie trwało długo, bo pani doktor została służbowo przeniesiona do stolicy, gdzie objęła funkcję w zarządzie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Mówiono, że organizację powołano specjalnie po to, by stworzyć pretekst dla ściągnięcia Lewickiej do Warszawy. Jednak nominacja nie była całkiem bezpodstawna, bo dr Lewicka, propagatorka zdrowego stylu życia, miała dokonania zawodowe. Jeszcze pracując w Druskiennikach, założyła tam Zakład Leczniczego Stosowania Słońca, Powietrza i Ruchu.

MARSZAŁEK ZAPOMNIANY

W każdym razie w atmosferze dyskrecji para spotykała się wciąż na wspólnych wyjazdach, odbyła nawet wspólną podróż na Maderę. Niespodziewanie w czerwcu 1931 r. Eugenia Lewicka została znaleziona nieprzytomna w swoim gabinecie. Odwieziono ją do szpitala, lecz mimo wysiłków lekarzy zmarła po dwóch dniach. Oficjalnie uznano, że popełniła samobójstwo, choć wielu podejrzewało akcję służb specjalnych. Jak zeznał później zaprzyjaźniony z Piłsudskim gen. Wieniawa-Długoszowski, w kaplicy Marszałek miał mu powiedzieć: „Nawet tego mi nie oszczędzono”...

Chociaż Druskienniki stawiają dziś na masowego turystę, to są i tacy, którzy korzystają z zalet uzdrowiska. Tu i tam widzi się kuracjuszy przemykających w białych szlafrokach, w drodze ze spa do pensjonatu. Jednak trudno się dziwić, że miasto się modernizuje. Ciasne drewniane wille, choć wyglądają uroczo, nie spełniają współczesnych standardów. Jedne się rozpadły, zostało jeszcze kilka. Imperial, Omega, Linksma, Maur... W willi Markiewiczów mieści się muzeum rzeźbiarza Jacques’a Lipchitza, willa hrabiów Kiersnowskich jest siedzibą Muzeum Miejskiego. Łazienki zdrojowe z 1894 r. dają pojęcie o tym, jak kiedyś w praktyce wyglądało propagowane przez dr Lewicką leczenie wodą… Po Piłsudskim śladów, przynajmniej materialnych, Druskienniki nie zachowały. Ma wprawdzie tytuł honorowego obywatela miasta, jednak jego dworek Na Pogance rozebrano za czasów sowieckich.

O drewnianą zabudowę z przełomu XIX i XX w. miasto dba. Polacy, którzy wzdychają do polskości na Litwie, powinni odwiedzić zabytkowe cerkwie. Niech przypominają o skomplikowanej, wielonarodowościowej sytuacji tej romantycznej nadniemeńskiej ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

FOT. FOTOLIA

Wycofane leki

Katarzyna Pinkosz

Nawet kilkaset tysięcy chorych w Polsce będzie musiało zmienić przyjmowany lek na nadciśnienie po decyzji o wycofaniu z obrotu części preparatów z walsartanem. Przy okazji pojawiły się pytania, czy nasz system kontroli leków jest skuteczny

Fakty wyglądają tak: Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF) zdecydował o wycofaniu z aptek i hurtowni niektórych leków na nadciśnienie zawierających substancję czynną walsartan. W tej grupie znalazły się wszystkie produkty, w których użyto substancji aktywnej pochodzącej od chińskiego producenta Zhejiang Huahai Pharmaceutical Co., Ltd.

Alarm podniosła hiszpańska agencja kontrolna, która wykryła ślady N-nitrozodimetyloaminy (NDMA) w walsartanie pochodzącym od chińskiego dostawcy. Europejska Agencja Leków (EMA) zawiadomiła o potencjalnym zagrożeniu poprzez system Rapid Alert pozostałe kraje – stąd decyzja GIF.

NDMA to substancja, którą Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem (IARC) umieściła w grupie 2A (substancje prawdopodobnie rakotwórcze dla ludzi). Znajduje się m.in. w produktach spożywczych grillowanych, peklowanych, wędzonych oraz konserwowanych solami azotowymi. Może przyczyniać się do wzrostu zachorowań na nowotwory wątroby.

Jak NDMA mogła znaleźć się w leku? – Zanieczyszczenia są pochodnymi drogi jego otrzymywania, a w 2012 r. zmieniono sposób syntetyzowania walsartanu – wyjaśnia dr Leszek Borkowski, farmakolog kliniczny, były prezes Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych.

– Alert, który podniosła EMA, jak również decyzja o wycofaniu niektórych leków z walsartanem, ma charakter prewencyjny. EMA doszła do wniosku, że skoro są sygnały, iż w tej substancji występują ślady zanieczyszczenia, to bezpieczniej będzie wycofać z rynku wszystkie produkty, w których znajduje się walsartan pochodzący od tego wytwórcy. Obecnie czekamy na dalsze badania i decyzje, co dalej – mówi Irena Rej, prezes Izby Gospodarczej Farmacja Polska.

PO ZAMIENNIK DO LEKARZA

Co w takiej sytuacji ma zrobić pacjent? Po pierwsze, nie wpadać w panikę, ponieważ decyzja o wycofaniu leków nie została spowodowana zgłoszeniami jakichkolwiek działań niepożądanych czy częstszym występowaniem nowotworów wątroby, tylko wykryciem w Hiszpanii śladowych ilości NDMA w substancji czynnej. Po drugie, do czasu wyjaśnienia sytuacji lepiej nie przyjmować wycofanych z obrotu leków.

EMA wraz z państwami członkowskimi UE oceniają obecnie wpływ stosowania produktów zawierających zanieczyszczony walsartan na zdrowie pacjentów. Badania mają pokazać, czy NDMA znajdowała się tylko w niektórych seriach leków, do których produkcji stosowano substancję czynną pochodzącą od chińskiego producenta, czy również w lekach zawierających walsartan od innych wytwórców.

Na stronach GIF można sprawdzić, które serie leków zawierających walsartan zostały wycofane z rynku. Do czasu rozwiązania problemu lekarze nie powinni ich już zapisywać i nie ma możliwości kupienia ich w aptekach (wszystkie dostały zawiadomienia o wycofaniu poszczególnych serii produktów). Osoby chorujące na nadciśnienie powinny sprawdzić substancję czynną w przyjmowanych lekach. Jeśli jest to walsartan, to trzeba sprawdzić na stronie GIF, czy produkt nie

eprasa.pl 59fff9dc19

został wycofany. Można też o to zapytać w aptece. Jeśli okaże się, że tak, to trzeba jak najszybciej skontaktować się z lekarzem w celu zamiany leku na inny.

Rzecznik Praw Pacjenta zaapelował, by lekarze jak najszybciej przyjmowali pacjentów, którzy przychodzą z prośbą o zamianę leku. Jest też możliwość, że farmaceuta w aptece wyda jedno opakowanie preparatu na tzw. receptę farmaceutyczną. Pacjenci mogą mieć jednak problem ze zwrotem pieniędzy za wcześniej zakupione leki. Jak dotychczas tylko jedna z firm, której lek z walsartanem został wycofany, zadeklarowała, że pacjenci mogą do niej odsyłać leki lub przekazywać je do apteki i dostaną zwrot pieniędzy. Być może w ślady tej firmy pójdą kolejne. Zaapelowała o to Naczelna Izba Aptekarska, podkreślając, że pacjent, który otrzymał wadliwy lek, nie może ponosić kosztów jego zakupu. Nie powinien ich też ponosić farmaceuta.

SYSTEMY BEZPIECZEŃSTWA

Sytuacja związana z wykryciem NDMA w walsartanie chińskiego producenta spowodowała pojawienie się pytań, czy nasz system kontroli leków na pewno działa sprawnie. Nie jest niczym niezwykłym, że substancja czynna pochodzi z Chin: wielu producentów produktów leczniczych tam właśnie dokonuje zakupów ze względu na niższe ceny. – Jeśli lek jest zarejestrowany przez EMA lub agencje krajowe, to znaczy, że zostało sprawdzone, czy ma on wszystkie dokumenty oraz świadectwa pochodzenia substancji czynnej i pomocniczych, zgodnie z dokumentacją rejestracyjną, a także czy lek odpowiada Farmakopei Europejskiej. Są międzynarodowe normy i systemy kontroli, które pokazują, czy firmy produkują zgodnie z zasadami dobrych praktyk GMP – mówi Irena Rej.

Doktor Anna Kowalczuk, dyrektor Narodowego Instytutu Leków, na pytanie, czy leki są bezpieczne dla polskich pacjentów, odpowiada, że tym, co odróżnia leki od innych produktów, są ich udowodniona jakość, bezpieczeństwo i skuteczność. Nad spełnieniem tych wymagań czuwają podległe Ministerstwu Zdrowia instytucje, takie jak Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, GIF oraz Główny Inspektorat Weterynarii, a cały system kontroli współpracuje z organami regulacyjnymi Unii Europejskiej. – Leki dopuszczone do obrotu na polskim rynku podlegają okresowej i doraźnej kontroli jakości, prowadzonej przez GIF i realizowanej w NIL. Próbki produktów leczniczych są kierowane do NIL w zakresie m.in. planowej kontroli, zgłoszeń reklamacyjnych, kontroli pod kątem zafałszowania. W ramach europejskiego systemu Rapid Alert organy kontrolujące każdego z państw UE otrzymują powiadomienia o podejrzeniu lub wykryciu wady jakościowej produktu leczniczego, o kradzieżach leków z legalnego łańcucha dystrybucji oraz o wykryciu zafałszowań. Każde powiadomienie podlega analizie ryzyka, na podstawie której podejmowane są decyzje o dalszym postępowaniu. Z doświadczenia NIL wynika, że wśród leków znajdujących się w legalnym obrocie (apteki i hurtownie) odsetek tych, które nie spełniają wymagań jakościowych, jest nieznaczny i nie stwarza zagrożenia dla pacjentów. Mówimy tu oczywiście o wadach niezamierzonych i produktach leczniczych od uprawnionych wytwórców, a nie o lekach zafałszowanych – zaznacza dr Anna Kowalczuk.

Z kolei dr Wojciech Łuszczyna, rzecznik Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, podkreśla, że obecnie w związku z trwającą analizą ryzyka prowadzoną przez EMA polski Urząd Rejestracji prowadzi dodatkową analizę otrzymanych zgłoszeń działań niepożądanych produktów wycofanych z obrotu.

Konieczne jest przedstawienie pacjentom wyników analizy potencjalnego zagrożenia wynikającego ze stosowania wycofanych leków

DODATKOWE KONTROLE?

Niezależnie od tego, czy po analizach okaże się, że tylko niektóre serie leków były zanieczyszczone, że ilości NDMA były śladowe i nie spowodowały zagrożenia zdrowia, cała ta sytuacja uświadomiła, iż kontrola leków – zwłaszcza tych, które są przyjmowane w sposób przewlekły – musi być przeprowadzana wyjątkowo drobiazgowo. – Moim zdaniem minister zdrowia powinien przypomnieć wszystkim podmiotom odpowiedzialnym (producentom), że substancje czynne stosowane w lekach muszą być systematycznie badane, nie tylko w sposób rutynowy. Warto od czasu do czasu zrobić skrining także pod kątem innych zanieczyszczeń, których na co dzień się nie bada. Poza tym trzeba pamiętać, że każda zmiana w procesie syntezy danego związku wymaga szczegółowych badań, ponieważ mogą powstawać toksyczne zanieczyszczenia. Jeśli biorę jednorazowo tabletkę leku, to nic mi się nie stanie. Jeżeli jednak przyjmuję go codziennie przez wiele lat, to nawet niewielkie ilości zanieczyszczeń mogą spowodować, że w organizmie może wydarzyć się coś złego – zastrzega dr Leszek Borkowski.

Szybka decyzja o wycofywaniu leków to dowód, że kontrola i procedury pod tym względem zadziałały. Z tego trzeba się cieszyć i mieć nadzieję, że analiza zagrożenia dla pacjentów stosujących wycofane leki będzie wykonana rzetelnie i odpowie na pytanie, czy obecność NDMA mogła zaszkodzić. Trzeba mieć nadzieję, że nie, bo inaczej zaufanie pacjentów do leczenia drastycznie spadnie (a w dobie wzrostu popularności ruchów antyszczepionkowych i tzw. alternatywnej medycyny na pewno nie jest to pożądane). Ta sytuacja pokazała też, że system kontroli leków trzeba nadal udoskonalać, by zabezpieczyć się przed powtórką tego typu problemów. – Minister zdrowia powinien też zadać pytanie GIF i Urzędowi Rejestracji o plany na przyszłość. Oczekiwałbym, że powiedzą: sprawa walsartanu była ostrzeżeniem, dlatego w ciągu najbliższych dwóch lat dokładnie sprawdzimy np. 20 substancji czynnych stosowanych w przewlekłym leczeniu. GIF i Urząd Rejestracji to instytucje, które mają stać na straży życia i zdrowia, dlatego powinny tak zrobić. Sprawa walsartanu to sygnał, że trzeba podjąć działania prewencyjne – dodaje dr Borkowski.

Konieczne jest też przedstawienie pacjentom wyników analizy potencjalnego zagrożenia wynikającego ze stosowania wycofanych leków, kiedy tylko się ona pojawi. Jest to ważne ze względu na zaufanie pacjenta, które jest podstawą stosowanej terapii. Zwłaszcza przewlekłej, tak jak w przypadku nadciśnienia, gdy rezygnacja z leczenia grozi takimi konsekwencjami jak zawał serca czy udar mózgu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 59fff9dc19

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Moskiewska unia Sapiehy

Lew Sapieha herbu Lis, hetman i kanclerz wielki litewski, na początku XVII w. był twórcą jednej z najbardziej unikalnych koncepcji połączenia dwóch krajów – unii polsko-moskiewskiej, która na wzór lubelskiej doprowadzić miała do powolnego zjednoczenia narodów. Ciekawe, że był to projekt zawierający wiele propozycji, które wyprzedzały o 400 lat podobne rozwiązania obowiązujące dziś w Unii Europejskiej.

Najciekawsze, że proponowana unia zakładała wspólny związek suwerennych państw, z których każde miało osobnego władcę. Królowie mieli być koronowani przez posłów (polskiego i moskiewskiego), następcami tronu stawali się zaś ich synowie. Gdyby zaś któryś z nich zmarł bezpotomnie, drugi władca mógł odziedziczyć tron, o ile tylko zostałby wybrany w wolnej elekcji. Najważniejszym punktem było jednak wprowadzenie swoistej unii wschodnioeuropejskiej, a więc: wspólna unia handlowa, zniesienie granicy, wolność małżeństw i zamieszkania. Moskale, Polacy i Litwini mogliby dowolnie nabywać włości i majątki, dziedziczyć je i zamieszkiwać na terenie Wielkiego Księstwa lub Rzeczypospolitej. Tak samo bez żadnych ograniczeń podejmować służbę w wojskach i na dworach władców obu państw. Zakładano całkowitą wolność wyznania – prawosławia i katolicyzmu, włącznie z budową cerkwi i kościołów na terytorium sąsiada.

Jeszcze ciekawszą sprawą stała się unia handlowa, dokładnie taka sama jak we współczesnej UE. Zniesione miały zostać bariery celne, a mieszkańcy Moskwy otrzymaliby całkowitą swobodę wyjazdów zagranicznych i poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej, co już w XVI w. było w Wielkim Księstwie zakazane. Co więcej, jak podaje Marek Gajda, zunifikować miano wagi i miary, dla ułatwienia wymiany

FOT. WIKIPEDIA

towarowej, a nawet wprowadzić wspólne ustalanie cen na najważniejsze towary. Kolejne punkty unii zawierały prawo o obowiązku wydawania przestępców i współpracę wojskową. Propozycje Sapiehy szły w tym względzie daleko – przewidywały utworzenie wspólnej armii składającej się zarówno z Polaków, jak i Moskali dla obrony południowych kresów przed Tatarami, odlewanie dział i budowę polsko-moskiewskiej floty wojennej. Zakładano, że jeśli w rezultacie wspólnych działań wojennych zdobyte zostaną jakieś ziemie, zostaną one podzielone sprawiedliwie między oba państwa. Najważniejsze jednak było nadanie moskiewskim bojarom wolności osobistej podobnej do tej, jaką cieszyła się szlachta polsko-litewsko-ruska.

Projekt unii przedłożony został przez poselstwo Lwa Sapiehy carowi Fiodorowi 3 lub 4 grudnia 1600 r. w czasie rozmów o podpisaniu pokoju w Moskwie. Trzy dni później upoważnieni przez cara negocjatorzy przedstawili odpowiedź na polskie propozycje. Zdecydowanie odrzucili projekt polegający na nadaniu mieszkańcom Wielkiego Księstwa przywilejów i wolności, jak również mieszanych małżeństw i nabywania przez Polaków dóbr ziemskich na terenach Moskwy. Dodatkowo podnosili kwestię zwrotu Inflant, do których rzekomo nabyli praw w czasach… Jarosława Mądrego. Pozytywnie jednak odnieśli się do planów sojuszu wojskowego i wprowadzenia wolnego handlu. Ostatecznie, po długich pertraktacjach, w których obie strony groziły sobie i odrzucały kolejne propozycje, 11 marca 1601 r. zaprzysiężono tylko rozejm na 20 lat. Propozycje unii nie zostały przyjęte. Wracano do nich wielokrotnie w czasach wielkiej smuty – z podobnymi warunkami przybyło w 1606 r. poselstwo do Dymitra Samozwańca.

Z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się, że Lew Sapieha był politycznie naiwny i myślał bardziej kategoriami wzniosłego humanizmu niż moskiewskiego pragmatyzmu, a jego propozycje nie mogły mieć szans powodzenia. Nic bardziej mylnego – w 1587 r., po śmierci Stefana Batorego, poselstwo moskiewskie samo zaproponowało podobny sojusz i unię – oczywiście w razie wyboru na tron cara. Tym razem stał za nim wszechwładny bojar Borys Godunow, który rządził w zastępstwie psychicznie chorego Fiodora, a po jego śmierci sam został władcą Moskwy.

Lew Sapieha do końca życia angażował się w sprawy wschodnie. Był zwolennikiem osadzenia na carskim tronie królewicza Władysława, próbował przekonać króla Zygmunta, aby pozostawił go na tronie, zamiast samemu ogłaszać się regentem. Brał także stronę Władysława na sejmie w 1618 r., gdzie jednak nie udało mu się skłonić posłów do uchwalenia nowych podatków na odzyskanie carskiego tronu przez królewicza. ©℗

eprasa.pl 59fff9dc19

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Owoce made in Poland

JOANNA BOJAŃCZYK

Mała torebka, w niej elegancko zapakowanych 10 ziarenek bobu. Takie zdjęcie przysłała mi mieszkająca w Tokio kuzynka. U nich tak jest. Owoce i jarzyny pięknie opakowane, ale w dawkach aptecznych i cenach, które nas wprawiłyby w przerażenie. Oczywiście po uwzględnieniu relacji zarobków i cen przerażenie się zmniejszy, ale nie zmienia to faktu, że w Japonii owoce i warzywa są bardzo drogie. Ta kuzynka, gdy przyjeżdża do Polski, zachwyca się widokiem letnich straganów. Łubianka truskawek – 12 zł (w sezonie), dorodne czereśnie – 12 zł kilogram, agrest, wiśnie, jabłka, morele, fasolka szparagowa, bób – wszystko tanie i na kilogramy, nie na sztuki.

Aby to docenić, wystarczy przekroczyć granicę polsko-niemiecką. W Szczecinie łubianka truskawek – kilkanaście złotych; w Niemczech mały koszyczek – 5 euro.

Nasze owoce i warzywa zrobią wrażenie nie tylko na Japończyku. Ich jakość, świeżość, smak i ceny podziwiają Włosi, Norwegowie, Amerykanie. Polskie owoce są wspaniałe i powinniśmy upajać się nimi aż do jesieni. Polski pomidor, kartofel, czereśnia mają smak. Ludzie to wiedzą. Nie bez powodu na początku sezonu hiszpańskie truskawki importerzy przepakowują tak, żeby udawały polskie...

Jednak kij ma dwa końce. Kiedy klient jest zadowolony, rolnik płacze. Owoce w tym roku obrodziły nadzwyczajnie, ale ceny w skupie dawno nie były tak niskie. Za kilogram wiśni do mrożenia rolnicy dostają poniżej złotówki, za wiśnię do tłoczenia – 70 gr. Czarna porzeczka – 35 gr, czerwona – 1,29 zł. Maliny – poniżej 2 zł. Powodów tych skandalicznie niskich cen jest wiele: wyjątkowy urodzaj (klęska!), brak rąk do pracy, trudności w zatrudnianiu obcokrajowców, czytaj: Ukraińców. Protestują Unia Warzywno-Ziemniaczana, Sadownicy RP, Solidarność Rolników Indywidualnych. Rozumiem i popieram nawet jako konsumentka.

Na Facebooku właściciel sadu ogłasza, że szuka kandydatów do zrywania wiśni. Kto chętny, ten ze 100 kg może zatrzymać dla siebie 70 kg. Na szczęście zgłasza się sporo osób.

To nie jest rozwiązanie, to tylko pierwsza pomoc, jednak ten dramatyczny apel daje pojęcie o beznadziejności sytuacji. Nie jestem ekonomistką, nie wiem, jak z tego wybrnąć tak, żeby zadowoleni byli i klienci, i rolnicy. Czy to w ogóle jest możliwe? Pytam tylko: Czy ktoś mądry uratuje polskie truskawki i polskie sadownictwo? ©℗

ENERGETYCZNE ŚNIADANIE IRKA BIELENINIKA

Jestem wiecznie zajęty i zabiegany. Wiadomo, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia, więc staram się, by dawało jak najwięcej energii. Często śniadania jadam w hotelach, wybieram wtedy produkty, które dadzą mi „power" na cały dzień. Natomiast kiedy jestem w domu, najczęściej jadam moją „owsiankę mocy".

Jest świetna na początek dnia. Daje siłę na wiele godzin pracy, a potem na sport. Moją pasją jest jazda na rowerze, przejeżdżam rocznie tysiące kilometrów. Takie śniadanie polecam tym, którzy czują się zmęczeni, którzy sporo pracują lub ćwiczą, a w zasadzie wszystkim, bo nie ma to jak zacząć dzień od porządnego strzału energetycznego.

Składniki:

- dwie łyżki płatków żytnich lub owsianych
- łyżka ziaren słonecznika
- łyżka pestek dyni
- łyżka nasion amarantusa
- kilka rozdrobnionych orzechów włoskich
- łyżka ostropestu plamistego
- łyżka suszonej żurawiny
- pół litra wody

Przygotowanie:

Takie śniadanie przyrządza się niezwykle szybko. Wystarczy wszystkie składniki wrzucić do wody i chwilę pogotować. Jednak niezbyt długo, by nasiona pęczniały w żołądku, a nie w garnku. ©℗

oprac. raw

FOT. TOMASZ ŻUKOWSKI/EAST NEWS

Ireneusz Bieleninik jest dziennikarzem prowadzącym programy telewizyjne i konferansjerem.

eprasa.pl 59fff9dc19

NASZ TEST: AUDI A6

W czerwcu na drogi wyjechała ósma generacja limuzyny z Ingolstadt. Zaprojektowana przez polskiego stylistę Parysa Cybulskiego jest jednocześnie elegancka i efektowna. Prestiżowa i seksowna. A w wersji S-Line biznesowa limuzyna staje się również bardziej dynamiczna, a nawet nieco agresywna.

Nowa odmiana A6 nie przeszła rewolucyjnych zmian. Ma 4939 mm długości, 1886 mm szerokości o 1457 mm wysokości. Jest więc od poprzedniczki dłuższa o 7 mm, szersza o 12 mm i wyższa o 2 mm. Niezwykłe wrażenie robią w niej np. opcjonalne reflektory HD Matrix LED, a także tylne lampy LED. Konkurenci mają się więc czego bać – na miejscu menedżerów średniego szczebla trochę wstydziłbym się przy nowym modelu Audi zaparkować Jaguara XF. Samo Audi ma jednak godnych rywali: limuzyna BMW świetnie jeździ, Mercedes ma luksusową kabinę, a S90 przyciąga urokiem skandynawskiego designu.

W KABINIE

Przestronne wnętrze utrzymane jest w luksusowym, lecz minimalistycznym stylu. Kabina zbudowana jest z materiałów wysokiej jakości, które zostały ze sobą bardzo dobrze spasowane.

Miejsca jest sporo zarówno z przodu, na świetnie wyprofilowanych fotelach, jak i na tylnej kanapie. Menedżerowie wyżsi nie tylko rangą docenią fakt, że w odnowionej limuzynie inżynierowie Audi dołożyli miejsca nie tylko na nogi, lecz także nad głową.

W centralnym punkcie deski rozdzielczej umieszczono dwa kolorowe ekrany dotykowe, które zastępują zdecydowaną większość przycisków. Górny – o przekątnej 10,1 cala – służy m.in. do obsługi nawigacji oraz systemu multimedialnego. Imponuje jakością wykonania, a zwłaszcza niezwykle wysoką rozdzielczością obrazu. Za pomocą dolnego ekranu – o przekątnej 8,6 cala – steruje się klimatyzacją. Można też po nim pisać, aby np. łatwiej ustawić cel w nawigacji.

To nieporównywalnie lepszy system od tego, który w swoich samochodach instaluje Jaguar, ale miłośnicy BMW mają prawo się upierać, że wolą rozwiązania inżynierów z Monachium.

Niestety, ekrany w nowym Audi łatwo zbierają ślady palców, przez co – aby zawsze wyglądały elegancko – trzeba je regularnie czyścić lub... używać opcji sterowania głosem. Wystarczy po polsku powiedzieć np. „Jest mi gorąco", aby system zapytał, do jakiej wartości obniżyć temperaturę wnętrza.

A jeśli po spotkaniu biznesowym menedżer znajdzie jeszcze czas na randkę, to w stworzeniu odpowiedniej atmosfery może pomóc konturowe oświetlenie najważniejszych elementów wnętrza.

Bagażnik ma 530 l pojemności. Jest to więc tak samo duży kufer jak w BMW i tylko nieco mniejszy niż w Mercedesie, który w swej limuzynie klasy E oferuje bagażnik o pojemności 540 l.

JAZDA

Egzemplarz testowy miał pod maską trzylitrowy, sześciocylindrowy silnik benzynowy 55 TFSI. 340 KM mocy i 500 Nm pozwala rozpędzić tę limuzynę od 0 do 100 km/godz. w zaledwie 5,1 s. Prędkość maksymalna została ograniczona do 250 km/godz.

Na pochwałę zasługują zarówno napęd quattro, jak i innowacyjne zawieszenie, które sprawia, że samochód jest jednocześnie zwrotny na zakrętach i komfortowy na autostradzie. Bardzo dobrze sprawuje się również siedmiobiegowa skrzynia „S-tronic".

Kabina jest tak perfekcyjnie wyciszona, że podczas jazdy trudno nawet zauważyć momenty, gdy na chwilę wyłącza się silnik. Jak to wyłącza? Otóż nowe A6 jest też wyposażone w układ miękkiej hybrydy, który pozwala wykorzystywać momenty, w których auto przy prędkościach od 55 do 160 km/godz. może momentami po prostu „żeglować" przy wyłączonym silniku, co pozwala na zmniejszenie zużycie paliwa nawet o 0,7 l na każde 100 km. W nowej limuzynie Audi wreszcie poprawnie działa też system start/sport, dzięki czemu jest to jedno z nielicznych aut, w których nie wyłączyłem go kilka kilometrów po rozpoczęciu testu. Średnie zużycie paliwa wyniosło 8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Nowe A6 jest napakowane technologiami, które przy użyciu radarów, kamer, ultradźwięków i skanera laserowego mają nie tylko zmniejszać ryzyko najechania na poprzedzający pojazd, lecz także np. zapobiegać kolizjom przy lewoskręcie.

Na uwagę zasługują też wspomniane na początku reflektory HD Matrix LED, bo nie tylko dobrze wyglądają, lecz także doskonale oświetlają drogę (do 600 m), nie oślepiając przy tym kierowców innych samochodów. Dynamiczne kierunkowskazy wyraźnie sygnalizują zaś zmianę kierunku jazdy. Bardzo pomocny przy jeździe w mieście jest też system kamer 360 stopni.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CENA

Za nowe Audi A6 z trzylitrowym silnikiem Diesla 50 TDI o mocy 286 KM trzeba zapłacić co najmniej 296,6 tys. zł. Auto z trzylitrowym silnikiem benzynowym 55 TFSI to wydatek co najmniej 304 tys. zł. Oczywiście to tylko ceny wyjściowe. Jeśli ktoś bowiem kocha i dobre samochody, i piękne brzmienie, to tylko za imponujące nagłośnienie będzie musiał dopłacić 36 tys. zł.

KONKURENCI

BMW serii 5, Mercedes klasy E, Jaguar XF, Volvo S90 ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 59fff9dc19

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 59fff9dc19

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Trump w kieszeni Putina?

MARCIN MAKOWSKI: Zapytam wprost: Czy helsińska konferencja Donalda Trumpa z Władimirem Putinem była najgorszym publicznym wystąpieniem w historii amerykańskiej prezydentury?

MATTHEW TYRMAND: Bez przesady, przynajmniej kilka wystąpień Baracka Obamy było gorszych. Kłanianie się w pas saudyjskim książętom, wyznaczanie „czerwonych linii" w sprawie Syrii, a następnie zachowywanie bierności w przypadku użycia broni chemicznej, wystąpienie z Raúlem Castro i ten pseudouścisk dłoni. Trump to facet, który załatwia interesy, dlatego często jedno mówi, a drugie robi. Zgadzam się, że sposób, w jaki poprowadził konferencję z Putinem, chluba mu nie przynosi. Z drugiej strony poza słowami nic istotnego w podejściu USA do Rosji się nie zmieniło. Sankcje nadal obowiązują, patrząc po ruchach dyplomacji – Ameryka nie szuka wielkiej przyjaźni z Rosją, podczas gdy Niemcy pozorują wrogość, a w rzeczywistości handlują z Putinem i budują wspólny gazociąg.

Której Ameryce mamy w takim razie wierzyć? Tej sceptycznie nastawionej wobec naszego wschodniego sąsiada, a może Trumpowi, który oskarża w towarzystwie prezydenta Rosji własne służby wywiadowcze o wymierzony w niego spisek?

A której wierzono, gdy inni prezydenci USA i wysocy rangą urzędnicy spotkali się z Putinem, uśmiechali i robili sympatyczne zdjęcia? Co z George'em Bushem, który stwierdził, że „zajrzał głęboko w oczy Putina i zobaczył w nim duszę demokraty"? Kto pamięta konferencję Hillary Clinton z Siergiejem Ławrowem, na której wspólnie naciśnięto symboliczny przycisk „resetu" wzajemnych stosunków? Szepty Obamy do ucha Miedwiediewa, że po wyborach będzie bardziej skłonny do ustępstw w sprawie tarczy antyrakietowej? Oczywiście wolałbym, żeby nasz prezydent pomaglował nieco Putina w sprawie Krymu, otrucia Skripala – tego zabrakło, a dyskusja skupiła się na ewentualnym wpływie Rosji na amerykańskie wybory. Jakby nie było rzeczą oczywistą, że oba państwa wpływają na głosowania w dziesiątkach krajów na świecie, i robią to od dekad. Natomiast jeśli chodzi o służby, to tutaj chyba nie ma wątpliwości, że przynajmniej ich część działa aktywnie w celu obalenia Trumpa, np. fabrykując dossier z rzekomymi materiałami kompromitującymi prezydenta. Wielu byłych agentów FBI zupełnie wprost formułuje takie opinie. Dlaczego on miałby im ufać?

A co z polityką energetyczną? Kilka dni przed Helsinkami Trump oskarżał Angelę Merkel o egoizm i dogadywanie się z Moskwą za plecami Europy Środkowo-Wschodniej. W cztery oczy nie był już taki odważny?

Nie po to robi się szczyty bilateralne, żeby szturchać rozmówcę kijem i patrzeć, jak zareaguje, ale po to, żeby coś ugrać. Tak jak mówiłem, formalnie strategia i działanie USA nie uległy zmianie, projekt Nord Stream 2 uważany jest za zagrożenie geopolityczne, i na tym polega główna różnica między administracją Obamy i Trumpa. Ten pierwszy bywał ostry w retoryce, ale słaby w działaniu, ten drugi zachowuje się odwrotnie – dozbraja Ukrainę, wyrzuca 60 rosyjskich agentów z kraju. Jak powiedział ostatnio Walter Russell Mead: „Jeśli Trump jest w kieszeni Putina, to robi dla niego fatalną robotę". Tymczasem media w USA wolą go oskarżać o zdradę stanu. Mówimy o dwóch największych potęgach nuklearnych świata i możliwym zmniejszeniu napięcia między nimi. To chyba nie jest zbrodnia? Tak czy inaczej Trump musi sobie uświadomić, że styl też ma znaczenie. Wielu republikanów uznało postawę wobec Putina za uległą, dlatego moim zdaniem możemy się spodziewać w najbliższym czasie takich komunikatów ze strony Białego Domu, które zmyją złe wrażenie – być może niektóre sprawy doprecyzują. Teraz trzeba iść do przodu, wyciągnąć wnioski i dalej walczyć o interes USA. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 59fff9dc19

XXVIII Forum Ekonomiczne

4-6 WRZEŚNIA 2018, KRYNICA-ZDRÓJ

Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA WSPÓLNYCH WARTOŚCI CZY EUROPA WSPÓLNYCH INTERESÓW?

Najważniejsza konferencja organizowana od ponad 25 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ponad 3500 gości - liderów świata polityki i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.

Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje.

Najbardziej znane miejsce spotkań elit gospodarczych w tej części Europy.

Znajdź nas na Facebooku!

- www.forum-ekonomiczne.pl
- kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl 59fff9dc19

OKIEM BLOGERKI

Twarz sprawiedliwości

KATARYNA

***SĄD:* Potrzeba wielkiej odwagi i siły, aby zdobyć się na powiedzenie o krzywdzie wyrządzonej przez osobę, która ma taką władzę jak wieloletni kapłan, jak powszechnie poważany autorytet i mentor, głoszący na co dzień głębokie treści etyczne. Komu bowiem w takiej sytuacji skłonni są uwierzyć zwykli ludzie? Równie zwykłym, szarym ludziom i ich dzieciom czy też drugiej stronie? Jeszcze większej determinacji potrzeba, żeby dowieść swoich racji i uzyskać ochronę swoich praw przed sądem.**

Tak w 2004 r. sędzia uzasadniał wyrok – niestety symboliczny i w zawieszeniu – w sprawie pedofila z Tylawy, przynajmniej trochę oddając sprawiedliwość odważnym kobietom, które przez kilka lat walczyły o nią dla ofiar księdza. A przecież tego wyroku mogło wcale nie być, bardzo się o to starał prokurator Stanisław Piotrowicz nadzorujący śledztwo i zrobił naprawdę wszystko, żeby winą obarczyć krzywdzone dzieci, i dwie kobiety, którym starczyło odwagi, żeby się postawić lokalnej władzy – bo taką na podkarpackiej wsi jest proboszcz. Gdyby nie interwencja zwierzchników Piotrowicza, nakazująca wszczęcie umorzonego pod jego okiem śledztwa, pedofil z Tylawy molestowałby do dzisiaj kolejne roczniki dzieci, a oskarżające go kobiety musiałyby pewnie opuścić swoją miejscowość – także dzięki temu, co o nich w mediach opowiadał Piotrowicz.

Tego wyroku mogło wcale nie być, bardzo się o to starał prokurator Stanisław Piotrowicz

Kiedy więc dzisiaj Stanisław Piotrowicz przekonuje, że „reformę" sądownictwa przepycha kolanem i na rympał, bo tego chcą zwykli ludzie i to właśnie z myślą o nich, nie wierzę w ani jedno jego słowo. Całym swoim zawodowym życiem dowiódł bowiem, że w sporze władzy z obywatelem zawsze staje po stronie silniejszego. Czy jest to komunistyczny dyktator, czy miejscowy proboszcz, czy wszechpotężny prezes partii. Taki charakter. Można Piotrowiczowi wybaczyć, że nie umiał być bohaterem w stanie wojennym, ale nie umiem wybaczyć, że już w wolnej Polsce wybrał stanie po stronie pedofila z Tylawy.

Nie rozumiem tylko – nie z etycznego punktu widzenia, bo w tych kategoriach już od dawna polityki nie oceniam, ale wyłącznie z wizerunkowego – dlaczego PiS postanowił zrobić twarzą „reformy" wymiaru sprawiedliwości właśnie człowieka, który jest elementarnej sprawiedliwości zaprzeczeniem i w chwili próby nie umiał stanąć po stronie naprawdę najsłabszych. Nie jest przecież jakoś intelektualnie wyjątkowy, zadanie, które mu powierzono, bez problemu umiałby wykonać każdy inny poseł, bo to żadna sztuka przeforsować ustawę, gdy ma się w Sejmie większość. A może odbiór byłby ciut lepszy, gdyby czystki w sądownictwie uzasadniał ktoś budzący choć odrobinę szacunku, ktoś, komu można byłoby przez chwilę uwierzyć, że faktycznie ma na względzie interes najsłabszego obywatela, a nie i tak silnej władzy. Oddelegowanie do tak kontrowersyjnej „reformy" osoby, którą trudno lubić i cenić, a jeszcze trudniej jej zaufać, wygląda jak prowokacja albo przynajmniej brak instynktu samozachowawczego.

Nawet najpewniejsza siebie władza powinna się dwa razy zastanowić, czy chce twarzą „uzdrawiania" wymiaru sprawiedliwości uczynić człowieka, który się nie wahał, gdy trzeba było niszczyć skrzywdzone dzieci, aby wybronić od kłopotów z prawem ich potężnego oprawcę. ©℗

PODSŁUCHANE

Z bagażnika

– Aśka!!!
– Słucham cię, Rysiu?

– Czy ciebie zupełnie porąbało?! Wwozić ludzi w bagażniku do Sejmu?! My teraz robimy poważne ugrupowanie, mamy poważnie się prezentować, a nie jakieś numery cyrkowe!
– Ależ Rysiu, nie krzycz, ja ich tam wcale nie zapakowałam.

– Jasne, sami weszli.
– A tak. Wiesz, jak w tym Kale we Francji ci imigranci do ciężarówek...

– Ty ignorantko, Kale to akurat jest w Anglii, „Kejl" się czyta. We Francji to jest Dower. Słyszysz – to „r" na końcu trzeba tak po francusku wymówić.
– Wszystko jedno. W każdym razie ja tam bardzo powoli jechałam przed Sejmem i oni wtedy – hyc, hyc! – i już byli w bagażniku.

– A ty się oczywiście nie połapałaś?
– Nie połapałam się, bo akurat malowałam paznokcie, ustawiałam radio, szukałam w torbie chusteczek i rozmawiałam przez komórkę z biurem podróży.

– W sprawie naszych wakacji?
– Tak.

– I jak?
– Ten domek na Maderze, co chcieliśmy wynająć, to niestety już jest zarezerwowany. Ale za to mam świetną ofertę w promocyjnej cenie nad morzem gdzieś niedaleko Kejl. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kraków, który pozwolił bestialsko zamordować Smoka Wawelskiego, zasłużył na Wassermann za karę. Powinni jom sobie wybraść na królowom, a ona powinna im dupy chłostać codziennie na rynku".

ZBIGNIEW HOŁDYS, *muzyk, na Twitterze*

eprasa.pl 59fff9dc19

Straszna klątwa

fot. Jerzy Gumowski

Brakuje tylko, by miłościwie nam panujący *„pontifex maximus”*, biskup Rzymu Franciszek Bergoglio, rzucił klątwę papieską na konserwatystów/tradycjonalistów, którzy krytykują awangardowe upolitpoprawnianie przezeń Kościoła katolickiego. Pradawny przepis (***„Dekret Gracjana”***) mówi, że podczas rzucania klątwy towarzyszyć będzie Ojcu Świętemu dwunastu kapłanów trzymających płonące pochodnie lub świece (które trzeba rzucić na ziemię i zdeptać gdy już przeklinanie się skończy), oraz że padną bardzo ciężkie słowa. Można się z nimi zapoznać cytując chociażby anatemę przeciw Aleksandrowi Koniecpolskiemu, który dokonał *„gwałtu na klasztorze”*, porywając ze świętego przybytku swą bogdankę, Zofię Dębińską. 4 maja 1612 roku biskup stojący przed wielkim ołtarzem krakowskiego kościoła Wszystkich Świętych (w szatach *„pontificaliter”*, a otaczało go dwunastu prałatów trzymających zapalone świece) głosem tubalnym obwieścił: *„ — Wyklęty jest Aleksander Koniecpolski ze wszystkimi co mu pomoc dawali lub wiedzieli i nie donieśli! Przeklęty niechaj będzie w domu i poza nim, w mieście i we wsi, siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, czyniąc i śpiąc! Przeklęty niechaj będzie tak, iż w nim żadnego nie uświadczysz zdrowego członka, od wierzchu głowy, aż do stopy nożnej! Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało niech toczy robak! Niech będzie przeklęty z Kainem, Judaszem i Diabłem po wiek wieków!”*.

Klątwy na ludzi rzucają nie tylko bliźni tronujący czy utytułowani, lecz i szaracy, których opanowuje mściwa złość. Nikt nie uświadomił nam tego celniej aniżeli *„starsi panowie dwaj”* (Kabaret Starszych Panów) w latach 60–ych minionego stulecia piosenką **„Przeklnij mnie”** (słowa Jeremi Przybora, muzyka Jerzy Wasowski), brawurowo wykonaną przez Barbarę Kraftównę i Bohdana Łazukę. Ona grozi:

„Przeklnę cię,
I twoje wiarołomstwo,
I twoje z nią potomstwo!
Przeklnę cię!”.

A on się kaja:

„Przeklnij mnie!
Nie mogłem postąpić podlej,
Lecz niczym mnie nie oblej,
Tylko przeklnij mnie!”.

Palce lizać — wokalne pyszności.

Klątwy towarzyszą nam od zarania dziejów, roją się w legendach, klechdach i mitach wszelakich kultur. Charakterystyczną stała się tematyczna (treściowa) powtarzalność klątw, a u niektórych klątw ich ponadczasowość, ergo: ciągła aktualność. Exemplum mit o *„klątwie Ondyny”*, pogańskiej litewskiej bogini, która mordowała swych kochanków. Został on prawdopodobnie wymyślony przez bajarzy doby Romantyzmu (brak jego historycznych świadectw wcześniejszych), ale w realnym życiu zdarza się nie tak rzadko. Bob Rafelson zrobił o nim film **„Czarna wdowa”** (1987) z Debrą Winger, pokazując śledztwo (mające kryptonim *„Klątwa Ondyny”*) przeciw seryjnej zabójczyni kolejnych tejże zabójczyni mężów.

Najsławniejszą dzisiaj klątwą historyczną jest chyba *„klątwa templariusza”*. Panujący we Francji od r.1285 król Filip IV Piękny miał tuż za progiem XIV stulecia duże kłopoty finansowe, długi rosły, skarbiec koronny świecił pustką. Ograbienie Żydów nie wystarczyło, więc monarcha dopadł templariuszy, rycerski zakon noszący czerwone krzyże na białych płaszczach i mający opinię bardzo bogatego (zwano templariuszy *„bankierami kontynentu”*). Zostali wydzie-

∞

Adam Mickiewicz:
„Te pokolenia, żałobami czarne,
Powietrze tylu klątwami ciężarne...”

∞

dziczeni ze swych skarbów, gdyż oskarżono ich o wszelkie możliwe grzechy i sprośności (m.in. o herezję, negowanie Chrystusa, czczenie diabła, deptanie krzyża, plucie na ołtarze, muzułmanizm, kanibalizm, profanację trupów, zapładnianie dziewic i perwersje seksualne, sodomiczne zwłaszcza — nawet Stalin nie miał wyobraźni równie uskrzydlonej co wyobraźnia *„instygatorów”* Filipa), do czego zresztą przyznawali się, bo nie żałowano im najwymyślniejszych tortur. 18 marca roku 1314 ponad pół setki hierarchów zakonu spłonęło na stosach. Wielki Mistrz, Jacques de Molay, tuż przed egzekucją rzucił klątwę, prorokując swym oprawcom (królowi i jego poplecznikowi, papieżowi Klemensowi V): *„ — Nim minie ten rok, spotkamy się na Sądzie Bożym!”*. Klemens zmarł miesiąc później, a Filip w listopadzie tegoż roku.

Powszechną (uznawaną globalnie) klątwą zwiastującą nieuchronne zatonięcie okrętu był przez kilka wieków dla marynarzy widok *„Latającego Holendra”*, demonicznego statku błąkającego się bez załogi po morzach i oceanach. Jako źródło tej legendy wskazuje się los holenderskiego kapitana Filipa van der Dakkena, który A. D. 1641 płynąc z Indii forsował Przylądek Dobrej Nadziei. Wiózł dwójkę nowożeńców i zakochawszy się w pannie młodej, zamordował pana młodego. Nieszczęsna dziewczyna wyskoczyła poza burtę, rzuciwszy na mordercę przekleństwo. Wkrótce charakterystyczne dla *„piekielnego przylądka”* sztormy odepchnęły galeon, a Dakken krzyknął, iż pokona przeszkodę choćby miało mu to zająć tysiąc lat. Co okazało się autoklątwą — jednostka Holendra przemieniła się w *„statek–widmo”* nękający inne okręty.

Niektóre skuteczne klątwy realizują się bezzwłocznie (jak *„klątwa templariusza”*), inne są długodystansowe, uderzają po kilku wiekach dopiero. Exemplum kultowa dla Rosjan *„klątwa Griszy”*. Gdy roku 1613 Sobór Ziemski obrał carem Michaiła Fiodorowicza Romanowa, koronacja miała miejsce w Kostromie, wewnątrz klasztoru Ipatjewskiego, który swą nazwę zawdzięczał fundatorom, majętnej rodzinie Ipatjewów. Podczas procesji koronacyjnej z tłumu wyrwał się *„dziad”* (żebrak) Griszka i zaczął tańczyć paraepileptycznie, przewracając oczami, jęcząc, wreszcie wieszcząc: *„ — Całe stulecia panować nam będzie ten ród! Sławy i potęgi dojdzie! Zginie pod dachem Ipatjewskim, niezbyt długo po Griszce!”*. Kiedy więc dwieście lat później (1812) Wielka Armia francusko–polska zwyciężyła Rosjan w bitwie pod Borodino, zajmując Moskwę, a resztki wojsk carskich cofały się ku Kostromie — sądzono, iż *„klątwa Griszy”* właśnie się wypełnia, zwłaszcza że pojawił się kolejny *„urodiwyj Griszeńka”*, prorokując rychły koniec cara Aleksandra I i Romanowów. Nic takiego jednak wtedy nie nastąpiło, *„generał Mróz”* wypchnął Napoleona z Rosji, a *„Griszka łże–prorok”* został wedle rozkazu moskiewskiego policmajstra wybatożony knutami na śmierć. Musiało minąć kolejne sto lat, by spełniła się klątwa pierwszego *„Griszki”*: uciekając z Kostromy przed bolszewikami car Mikołaj II i jego familia zostali zastrzeleni (decyzją Lenina) w Jekaterynburgu, wewnątrz domu Ipatjewów, półtora roku *„po Griszce”* (po śmierci ostatniego diabelskiego *„Griszki”* — Grigorija Rasputina).

Zaś spośród kościelnych rosyjskich klątw szczególnie malownicza wydaje się ta rzucona przez Cerkiew Prawosławną na głośnego powieściopisarza Lwa Tołstoja (**„Wojna i pokój”**). Hierarchowie prawosławni nie cierpieli go, więc został ekskomunikowany i w cerkwiach śpiewano uroczyście podczas nabożeństw: *„ — Proklatje Łżedymitrju, proklatje Stieńkie Razinu, proklatje Pugaczowu, proklatje bojarinu Lwu Nikołajewiczu Tołstomu!”*. Identycznie *„Bolek”* dzień w dzień przeklina Kaczyńskiego i ten straszny PiS, a wtórują mu niby górskie echa (czy raczej niby czkawka) Schetyna, jego platformersko .nowoczesny dwór i cały celebrycko–ćwierćinteligencki Salon. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 59fff9dc19

Poznań Malta
25-29 lipca 2018 r.

Enea – sponsor generalny wioślarskiej reprezentacji Polski, zaprasza na Mistrzostwa Świata U23 do Poznania!

Enea - dostawca energii do działania z pasją!

enea.pl

eprasa.pl 59fff9dc19